

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Prosper Mérimée

Carmen

Tłumaczył TADEUSZ ŻELEŃSKI-BOY

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

Carmen

1

Zawsze podejrzewałem geografów, że sami nie wiedzą, co plotą, mieszcząc pole bitwy pod Munda w okolicy Bastuli Poeni, w pobliżu nowoczesnej Monda, o jakie dwie mile na północ od Marbella. Wedle moich własnych wniosków z tekstu anonimowego autora „Bellum Hispaniense”, oraz kilku wskazówek, zebranych w doskonałej bibliotece księcia d'Ossuna, sądziłem, że to raczej w okolicy Montilla trzeba szukać pamiętnego miejsca, gdzie po raz ostatni Cezar zagrał w cetno i lichy przeciw obrońcom republiki. Znalazłszy się w Andaluzji z początkiem jesieni 1830 r., podjąłem dość daleką wycieczkę, aby rozjaśnić ostatnie wątpliwości. Memoriał, który ogłoszę niebawem, nie zostawi już, mam nadzieję, żadnej niepewności w umyśle rzetelnych archeologów. W oczekiwaniu, aż moja praca rozwiąże wreszcie problem geograficzny, trzymający w zawieszeniu całą naukową Europę, opowiem wam małą powiastkę; nie przesądza ona zresztą w niczym zajmującej kwestii położenia Mondy.

Nająłem w Kordowie przewodnika i dwa konie i puściłem się w drogę z „Komentarzami” Cezara i paroma koszulami za cały pakunek. Pewnego dnia, błędząc w dolinie Kaszena, wyczerpany zmęczeniem, umierając z pragnienia, spalony słońcem z ołowiu, stałem z całego serca do diaska Cezara i synów Pompejusza, kiedy spostrzegłem, dość daleko od mojej ścieżki, zieloną polankę zarosłą sitowiem i trzcinami. Zwiastowało to bliskość źródła. W istocie, skorom się zbliżył, spostrzegłem, że mniemany trawnik to było bajoro, do którego wpadał strumyk, wypływający, jak się zdawało, z ciasnej gardzieli między dwoma skałami. Wywnioskowałem stąd, iż idąc pod prąd strumienia, znajdę wodę chłodniejszą, mniej żab i pijawek i może nieco cienia. Przy wejściu do skalnej gardzieli koń mój zarżał, na co inny koń, niewidoczny, odpowiedział natychmiast. Ledwie uszedłem jakieś sto kroków, przesmyk, rozszerzając się nagle, odsłonił mi rodzaj naturalnego amfiteatru, doskonale zacienionego wysokimi ścianami. Niepodobna o miejsce, które by przyrzekało podróżnemu rozkoszniejszy postój! U stóp kończystych skał tryskało spienione źródło i spadało do małej sadzawki wyścielonej piaskiem białym jak śnieg. Kilka pięknych dębów, zasłoniętych od wiatru i odwilżanych źródłem, wznosiło się nad brzegiem i okrywało je swym gęstym cieniem: wreszcie dokoła sadzawki delikatna i lśniąca trawa przyrzekała lepsze łożo, niżby je można znaleźć w jakiegokolwiek gospodarzu na dziesięć mil wkoło.

Nie mnie przypadł zaszczyt odkrycia tak pięknego miejsca. W chwili gdy w nie zaszedłem, jakiś człowiek spoczywał tam już: prawdopodobnie spał. Obudzony rżeniem, wstał i podszedł do swego konia, który skorzystał ze snu pana, aby sobie uczynić dobry popas w okolicznej trawie. Był to młody chwat, średniego wzrostu, ale silnie zbudowany, o spojrzeniu dumnym i posepnym. Cera jego, niegdyś może piękna, stała się pod wpływem słońca ciemniejsza niż jego włosy. Jedną ręką trzymał za uzdę konia, w drugiej miał mosiężną rusznicę. Wyznaję, iż zrazu rusznica i sroga mina jej właściciela zaskoczyły mnie nieco, ale nie wierzyłem już w bandytów, tyle się o nich nasłuchawszy, a nie spotkawszy ich nigdy. Zresztą, widziałem tylu uczciwych rolników zbrojących się od stóp aż do głowy, aby iść na targ, iż widok palnej broni nie uprawniał mnie do wątplenia o czci godności nieznanego. A wreszcie, mówiłem sobie: cóż by począł z mymi koszulami i moimi „Komentarzami” w elzewirze?

Pozdrowiłem tedy właściciela rusznicy poufnym skinieniem głowy, pytając z uśmiechem, czym nie zakłócił jego snu. Nie odpowiedział nic i zmierzył mnie bystro wzrokiem; po czym, jak gdyby rad z egzaminu, przyjrzał się równie bacznie memu przewodnikowi, który właśnie się zbliżał. Ujrzałem, iż ten zbłądł i zatrzymał się z oznakami widocznej grozy. „Głupie spotkanie!”, rzekłem sobie. Ale roztropność radziła mi nie okazywać niepokoju. Zsiadłem z ko-

nia, rzekłem przewodnikowi, aby go rozkulbaczył, i kląkszy nad źródłem, zanurzyłem w nie głowę i ręce, następnie pociągnąłem dobry łyk, leżąc na brzuchu, jak owi źli żołnierze Gedeona.

Równocześnie przyglądałem się memu przewodnikowi i nieznanemu. Przewodnik zbliżał się bardzo niechętnie; obcy zdawał się nie żywić złych zamiarów; puścił wolno konia, a rusznica, którą trzymał zrazu poziomo, zwrócona była obecnie ku ziemi.

Nie uważając za właściwe formalizować się widocznym zlekceważeniem mej osoby, wyciągnąłem się na trawie i swobodnie spytałem właściciela rusznicy, czy nie ma przy sobie krzesiwa. Równocześnie wydobyłem puzderko z cygarami. Nieznajomy, wciąż bez słowa, sięgnął do kieszeni, wyjął krzesiwo i skwapliwie skrzesał mi ogień. Wyraźnie obłaskawiał się; usiadł na wprost mnie, ale nie wypuszczał broni z ręki. Zapaliwszy cygaro, wybrałem najlepsze z pozostałych i spytałem, czy pali.

– Owszem, proszę pana – odpowiedział.

Były to pierwsze słowa, które wyrzekł, przy czym zauważyłem, że akcent jego nie ma andaluzyjskiego brzmienia. Wyciągnąłem stąd wniosek, że jest podróżnym jak ja, tyle tylko, że nie archeologiem.

– Może to panu będzie smakowało – rzekłem – podając mu prawdziwe hawańskie regalia.

Skinął lekko głową, zapalił cygaro od mego, podziękował nowym skinieniem, po czym zaciągnął się z widoczną przyjemnością.

– Ach! – zawołał wypuszczając z wolna kłąb dymu ustami i nosem – jak dawno już nie paliłem!

W Hiszpanii ofiarowane i przyjęte cygaro stwarza stosunek gościnności, jak na Wschodzie podzielenie się chlebem i solą. Nieznajomy okazał się rozmowniejszy, niż się spodziewałem. Zresztą, mimo iż powiadał się mieszkańcem okolic Montilla, najwyraźniej znał kraj dość licho. Nie wiedział miana uroczej doliny, w której spoczywaliśmy; nie umiał nazwać żadnej wioski w pobliżu; wreszcie, zapytany, czy nie widział gdzie w okolicy uszkodzonych murów, rzeźbionych kamieni, wyznał, że nigdy nie zwracał uwagi na podobne rzeczy. W zamian okazał się biegłym znawcą koni. Skrytykował mego, co nie było trudne; następnie wywiódł mi rodowód swego, który pochodził ze sławnej kordowańskiej stadniny. Było to w istocie szlachetne zwierzę i, wedle tego, co mówił jego pan, tak wytrzymałe, że raz zdarzyło mu się zrobić trzydzieści mil w jednym dniu, galopem i kłusem. W toku swego wywodu nieznajomy zatrzymał się nagle, jakby zmieszany i nierad, że za dużo powiedział. „Bardzo mi było wtedy spieszo do Kordowy, dodał z pewnym zakłopotaniem. Musiałem odwiedzić sędziów w pewnym procesie...” Mówiąc spoglądał na mego przewodnika Antonia, który spuścił oczy.

Cień i źródło zachwyciły mnie do tego stopnia, że przypomniałem sobie o paru zrazach wybornej szynki, którą przyjaciele moi z Montilla włożyli do sakwy przewodnika. Kazałem ją przynieść i zaprosiłem obcego do udziału w improwizowanej przekąsce. Jeżeli od dawna nie palił, mogłem wnosić, iż nie jadł co najmniej od czterdziestu ośmiu godzin. Pożerał jak zgłodniały wilk. Pomyślałem, że spotkanie było opatrnościowe dla nieboraka. Przewodnik natomiast jadł mało; pił jeszcze mniej i nie mówił wcale, mimo że od początku naszej podróży okazał się nieporównanym gadułą. Obecność naszego gościa zdawała się go krępować; jakaś nieufność, z której przyczyn nie zdawałem sobie jasno sprawy, oddalała ich od siebie.

Znikły już ostatnie kruszyny chleba i szynki; wypaliliśmy po drugim cygarze; kazałem przewodnikowi okulbaczyć konie i miałem się żegnać z nowym przyjacielem, kiedy ów spytał, gdzie zamierzam spędzić noc.

Nim zdołałem spostrzec znak mego przewodnika, odpowiedziałem, że jadę do gospody Del Cuervo.

– Lichy to nocleg dla osoby takiej jak pan... I ja tam jadę; jeśli pan pozwoli sobie towarzyszyć, odbędziemy drogę razem.

– Bardzo chętnie – rzekłem dosiadając konia.

Przewodnik, który mi trzymał strzemie, dał znowu znak oczami. Odpowiedziałem wzruszeniem ramion, jakby dla upewnienia go, że jestem zupełnie spokojny, i puściliśmy się w drogę.

Tajemnicze znaki Antonia, jego niepokój, kilka słów, które wymknęły się nieznajomemu, zwłaszcza ów trzydziestomilowy kurs i mało prawdopodobne jego objaśnienie, ustaliły już moje pojęcie o towarzyszu podróży. Nie wątpiłem, że mam do czynienia z przemytnikiem, może złodziejem; cóż mi to szkodziło? Znałem na tyle Hiszpanów, aby być najpewniejszy, że nic mi nie grozi ze strony człowieka, który ze mną jadł i palił. Obecność jego była nawet dobrą rękojmią przeciw wszelkiemu niepożądanemu spotkaniu. Zresztą bardzo rad byłem dowiedzieć się, kto to jest rozbójnik. Nie widuje się ich co dzień i jest pewien urok w tym, aby się znaleźć w pobliżu istoty niebezpiecznej, zwłaszcza kiedy się czuje, że jest łagodna i oswojona.

Spodziewałem się doprowadzić stopniowo nieznajomego do zwierzeń; mimo mrugań przewodnika ściągnąłem rozmowę na temat opryszków. Rozumie się samo przez się, że mówiłem o nich z szacunkiem. Był wówczas w Andaluzji słynny bandyta zwany José Maria, którego czyny były na ustach wszystkich. „Gdybym się tak znajdował strzemie w strzemie z Josém Marią?”, mówiłem sobie... Opowiadałem znane mi ze słyszenia historie o tym bohaterze, wszystkie zresztą ku jego chwale, i wyrażałem głośno podziw dla jego męstwa i szlachetności.

– José Maria jest zwykłym ladaco – rzekł zimno nieznajomy.

„Czy oddaje sobie sprawiedliwość, czy też to nadmiar skromności z jego strony?”, pytałem siebie w myśli; w miarę bowiem jak przyglądałem się memu towarzyszowi, odnajdywałem w nim rysopis Joségo Marii, który czytałem obwieszczony na bramie niejednego miasta w Andaluzji. – Tak, tak, to on... Blond włosy, oczy niebieskie, duże usta, ładne zęby, małe ręce, koszula z cienkiego płótna, aksamitny kaftan ze srebrnymi guzami, białe skórzane kamasze, koń gniady... Nie ma wątpliwości! Ale szanujmy jego incognito.

Przybyliśmy do gospody. Była taka, jak mi ją odmalował, to znaczy jedna z najnudniejszych, jakie dotąd spotkałem. Duża izba służyła za kuchnię, jadalnię i sypialnię. Ogień zapalało się na płaskim kamieniu na środku izby, a dym wychodził przez dziurę w dachu, lub raczej nie wychodził, tworząc chmurę o kilka stóp nad ziemią. Pod ścianą leżało na ziemi kilka starych derek mulich: były to łóżka dla podróżnych. O dwadzieścia kroków od domu, lub raczej od tej jedynej izby, wznosiła się szopa, służąca za stajnię. W uroczym tym przybytku nie było istoty ludzkiej – przynajmniej na tę chwilę – prócz starej kobiety i małej dziesięcio- lub dwunastoletniej dziewczynki; obie były koloru sadzy, odziane w okropne łachmany. „Oto wszystko co zostało, pomyślałem, z ludności starożytnej Munda Boetica! O Cezarze! O Sekście Pompejuszu! Jakże bylibyście zdumieni, gdybyście wrócili na świat”.

Na widok mego towarzysza starej wyrwał się okrzyk zdumienia.

– Och! don Jos□! – wykrzyknęła.

Don Jos□ zmarszczył brwi i uczynił rozkazujący gest, który natychmiast opamiętał starszkę. Obróciłem się w stronę przewodnika i nieznacznym ruchem dałem mu do zrozumienia, że zdaję sobie doskonale sprawę, kim jest człowiek, z którym mam spędzić noc. Wieczera była lepsza, niż się spodziewałem. Podano nam, na małym stolyczku wysokim na nogę, starego koguta ugotowanego z ryżem i z obfitością tureckiego pieprzu, następnie turecki pieprz z oliwą, wreszcie *gaspacho*, rodzaj sałaty z pieprzu tureckiego. Trzy dania tak korzenne kazały nam często zaglądać do bukłaczka z winem, które okazało się wyborowe. Skorośmy podjedli, wówczas widząc na ścianie mandolinę – w Hiszpanii są wszędzie mandoliny – spytałem dziewczynkę, która nam usługiwała, czy umie grać.

– Nie – odparła – ale don Jośe gra tak pięknie!

– Bądź pan tak uprzejmy – rzekłem – zaśpiewaj mi coś; przepadam za waszą narodową muzyką.

– Nie mogę niczego odmówić grzecznemu panu, który mi daje tak wyborne cygara – wykrzyknął don Jośe, jak gdyby siląc się na wesołość.

Kazał podać mandolinę i zaczął śpiewać pobrzakując. Głos jego był surowy, ale miły, nuta melancholijna i oryginalna; co się tyczy treści, nie zrozumiałem ani słowa.

– Jeśli się nie mylę – rzekłem – to nie jest melodia hiszpańska. To przypomina *zorricos* z ziemi Basków i słowa muszą być też w tym języku.

– Tak – odparł don Jos□ z posępną twarzą.

Położył mandolinę i zaplótłszy ręce patrzył w gasnący ogień z wyrazem szczególnego smutku. Oświecona lampką stojącą na stoliku, twarz jego, szlachetna zarazem i dzika, przypominała mi Miltonowego szatana. Może, jak ów szatan, towarzysz mój myślał o siedzibie, którą opuścił, o wygnaniu, które na siebie ściągnął przez jeden błąd. Próbowałem nawiązać przerwana rozmowę, ale nie odpowiadał, wciąż zatopiony w smutnych myślach. Stara ułożyła się tymczasem w kącie, odgradzona dziurawą derką wiszącą na sznurku; dziewczynka wsunęła się za nią w to ustronie przeznaczone dla płci pięknej. Wówczas przewodnik mój wstał i poprosił mnie, abym się udał za nim do stajni; ale na to don Jos□, jak gdyby budząc się nagle, spytał go szorstko, dokąd idzie.

– Do stajni – odpowiedział przewodnik.

– Po co? Konie mają co jeść. Połóż się tutaj, pan ci pozwoli.

– Boję się, że koń mego pana zachorował; chciałbym, żeby go pan zobaczył; może będzie wiedział, czego mu trzeba.

Widoczne było, że Antonio chce mówić ze mną na osobności; ale ja nie miałem żadnej ochoty ściągać podejrzeń don Jos□go; zdawało mi się, że w danej sytuacji najwłaściwszą drogą jest okazać mu nieograniczone zaufanie. Odpowiedziałem tedy, że nie rozumiem się na koniach i że mam ochotę spać. Don Jos□ poszedł za Antoniem do stajni, skąd niebawem wrócił sam. Oznajmił mi, że koniowi nic nie jest, ale że mój przewodnik uważa go za tak cenne zwierzę, iż wyciera go kamizelką, aby mu się dać wypocić, i zamierza spędzić całą noc na tym miłym zajęciu. Wśród tego ja wyciągnąłem się na derkach, starannie owinięty w płaszcz, aby ich nie dotykać. Przeprosiwszy mnie za tę śmiałość, że kładzie się przy mnie, don Jos□ wyciągnął się pod drzwiami, nie zaniechawszy podsypać skałki u swojej flinty, którą ostrożnie umieścił pod sakwą służącą mu za poduszkę. W pięć minut później, powiedziawszy sobie wzajem dobranoc, usnęliśmy obaj głęboko.

Sądziłem, że jestem dość zmęczony, aby móc usnąć na podobnym legowisku; ale po jakiej godzinie przykre swędzenie wyrwało mnie z pierwszego snu. Z chwilą gdy zrozumiałem przyczynę, wstałem, przeświadczony, że lepiej spędzić resztę nocy pod gołym niebem niż pod tym niegościnnym dachem. Stąpając na palcach, dotarłem do drzwi, okraczyłem don Jos□go, który spał snem sprawiedliwych, i zdołałem się wydostać z izby nie zbudziwszy go. Koło drzwi znajdowała się szeroka drewniana ława; wyciągnąłem się na niej, układając się, jak mogłem, aby tam spędzić resztę nocy. Miałem zamknąć oczy po raz drugi, kiedy mi się zdało, że przesuwa się koło mnie cień człowieka i cień konia, oba kroczące bez szelestu. Podniosłem się na wpół i poznałem jak gdyby Antonia. Zdumiony, iż widzę go na dworze o tej godzinie, wstałem i podszedłem ku niemu. Spostrzegłszy mnie, przystanął.

– Gdzie on jest? – spytał Antonio szeptem.

– W izbie, śpi; nie boi się pluskiew. Po cóż ty wyprowadzasz tego konia?

Zauważyłem wówczas, iż aby nie robić hałasu, Antonio owinął kopyta zwierzęcia strzępami starej derki.

– Mów pan ciszej – rzekł Antonio – na imię nieba! Pan nie wie, kto jest ten człowiek. To Jos□ Navarro, najgroźniejszy bandyta w całej Andaluzji. Cały dzień dawałem panu znaki, których pan nie chciał zrozumieć.

– Bandyta, nie bandyta, co mnie to obchodzi? – odparłem. – Nas nie okradł i założyłbym się, że nie ma tego zamiaru.

– Niech i tak będzie; aleznaczono dwieście dukatów nagrody dla tego, kto go wyda. Wiem o posterunku lansjerów o półtorej mili stąd i, nim się zrobi dzień, sprowadzę tu paru tęgich zuchów. Byłbym wziął jego konia, ale jest tak zły, że nikt prócz Navarra nie może się doń zbliżyć.

– Niechże cię kaduk porwie! – rzekłem. – Cóż ci złego uczynił ten nieborak, aby go wydawać? Zresztą, czyś pewien, że to jest ten bandyta?

– Zupełnie pewien; przed chwilą udał się ze mną do stajni i rzekł: „Masz minę, jakbyś mnie znał; otóż, jeśli powiesz temu dobremu panu, kto jestem, strzelę ci w łeb”. Zostań pan, zostań pan przy nim; nie ma się pan czego obawiać. Póki będzie wiedział, że pan jest tutaj, niczego nie będzie podejrzewał.

Tak rozmawiając, oddaliśmy się od gospody na tyle, aby nie można było już dosłyszeć podków. Antonio w mgnieniu oka odwiązał lachy, którymi owinął nogi koniowi, i gotował się wskoczyć na siodło. Próbowałem prośby i groźby, aby go zatrzymać.

– Ja jestem biedak, panie – odpowiedział – dwieście dukatów, takiej gratki się nie przepuszcza, zwłaszcza gdy chodzi o oczyszczenie kraju z podobnego ścierwa. Ale niech pan uważa; jeśli Navarro się zbudzi, chwyci za rusznicę, i wówczas baczność! Ja już zaszedłem za daleko, aby się cofnąć; niech pan sobie daje radę, jak pan umie.

Ladaco był już na siodle; spał konia, niebawem straciłem go z oczu w ciemności.

Byłem oburzony na mego przewodnika i dość niespokojny. Po chwili namysłu powziąłem postanowienie i wróciłem do izby. Don Jos □ spał jeszcze, wynagradzając sobie niewątpliwie trudy i bezsenność wielu burzliwych dni. Musiałem silnie nim potrząsnąć, aby go zbudzić. Nigdy nie zapomnę jego straszego spojrzenia oraz gestu, jakim sięgnął po rusznicę, którą przez ostrożność umieściłem w pewnym oddaleniu.

– Panie – rzekłem – przepraszam, że pana budzę, ale chcę panu zadać jedno niedorzeczne pytanie: czy pan byłby rad spotkać tutaj jakie pół tuzina lansjerów?

Skoczył na równe nogi i rzekł grzmiącym głosem:

– Kto panu to powiedział?

– Mniejsza skąd pochodzi przestroga, byle była dobra.

– Pański przewodnik mnie zdradził, ale mi to zapłaci. Gdzie on jest?

– Nie wiem... Sądzę, że w stajni... ale ktoś mi powiedział...

– Kto panu powiedział?... Przecież nie ta stara...

– Ktoś, kogo nie znam... nie tracąc słów, czy ma pan powody, aby nie czekać tu na tych żołnierzy? Jeżeli tak, niech pan nie traci czasu; w przeciwnym razie dobranoc, i przepraszam, że zakłóciłem pański sen.

– Och! ten przewodnik! ten przewodnik! Od razu mi się nie podobał... ale dostanie mi się w ręce!... Żegnam pana. Niech panu Bóg odplaci przysługę, którą mi pan oddał. Ja nie jestem tak bardzo zły, jak pan sądzi... tak, jest we mnie jeszcze coś, co zasługuje na współczucie zaniego człowieka... Żegnam pana... Jednego mi tylko żal, że nie mogę się panu wypłacić.

– Jako cenę usługi, którą panu oddałem, przyrzeknij mi, don Jos □, nie podejrzewać nikogo, nie myśleć o zemście. Ot masz pan parę cygar na drogę; szczęśliwej podróży!

I podałem mu rękę.

Ścisnął ją bez słowa, wziął rusznicę i sakwę i rzuciwszy kilka słów starej w narzeczcu, którego nie rozumiałem, pobiegł do szopy. W chwilę później usłyszałem jego galop w szczerym polu.

Co do mnie, ułożyłem się z powrotem na ławce, ale nie zasnąłem. Pytałem sam siebie, czy miałem prawo ocalić od szubienicy złodzieja, może mordercę, jedynie dlatego, że jadłem z nim szynkę i ryż □ *la valentienne*. Czyż nie zdradziłem mego przewodnika, który bronił społeczeństwa; czy nie naraziłem go na zemstę zbrodniarza? Ale obowiązki gościnności!... „Przesąd dzikich, mówiłem sobie; stanę się odpowiedzialny za wszystkie zbrodnie, których ten bandyta się dopuści...” Mimo to, czy przesądem jest ów głos sumienia, opierający się

wszelkiemu rozumowaniu? Być może w drażliwym położeniu, w którym się znalazłem, nie mogłem się zeń wyplątać bez wyrzutów. Tonąłem jeszcze w największej niepewności co do moralnej strony mego postępuku, kiedy ujrzałem jakieś pół tuzina jeźdźców wraz z Antoniem, trzymającym się przezornie z tyłu. Wszedłem naprzeciw i uprzedziłem, że bandyta umknął już od dwóch godzin. Stara, wzięta na spytki przez kaprała, odparła, że zna Navarra, ale że żyjąc na tym odludziu, nie ośmieliłaby się nigdy narażać swego życia, wydając go. Dodała, iż obyczajem jego, ilekroć zajechał do niej, było zawsze wyjeżdżać o północy. Co do mnie, trzeba mi było udać się o kilka mil, aby pokazać paszport i podpisać oświadczenie w obliczu alkada, po czym pozwolono mi prowadzić dalej moje archeologiczne poszukiwania. Antonio dąsał się na mnie, podejrzewając, że to ja mu przeszkodziłem w zarobieniu dwustu dukatów. Mimo to rozstaliśmy się w Kordowie w dobrej zgodzie. Na pożegnanie dałem mu napiwek tak hojny, jak tylko pozwalał na to stan mojej sakiewki.

2

Spędziłem kilka dni w Kordowie. Powiedziano mi o jednym rękopisie w bibliotece dominikanów, w którym będę mógł znaleźć zajmujące wskazówki co do starożytnej Munda. Gościnnie przyjęty przez znanych ojców, trawiłem dni w ich klasztorze, a wieczór przechadzałem się po mieście. W Kordowie o zachodzie słońca mnóstwo próżniaków wystaje na wybrzeżu ciągnącym się wzdłuż prawego brzegu Gwadalkiwiru. Wdycha się tam wyziewy garbarni, która podtrzymuje starożytną sławę tego miasta głośnym wyprawą skór, ale w zamian zażywa się widowiska, które warte jest uwagi. Na kilka minut przed *Anioł Pański* mnogość kobiet zbiera się nad rzeką, poniżej wybrzeża, które jest dość wyniosłe. Żaden mężczyzna nie ośmieliłby się wmieszać w tę gromadkę. Skoro tylko oddzwonią *Anioł Pański*, znaczy to, że jest noc. Z ostatnim uderzeniem dzwonu kobiety rozbierają się i wchodzą do wody. Dopieroż krzyki, śmiechy, piekielny zgiełk! Z wysokiego brzegu mężczyźni przyglądają się kąpiącym, wypatrując oczy, i niewiele mogą dojrzeć. Bądź co bądź, te białe i mgliste kształty, rysujące się na ciemnym lazurze rzeki, nastrojają poetycznie; przy odrobinie wyobraźni nietrudno odtworzyć sobie Dianę i jej nimfy, nie narażając się na smutny los Akteona. Opowiadano mi, że paru urwisów złożyło się jednego dnia, aby przekupić dzwonnika i skłonić go, aby oddzwonił *Anioł Pański* na dwadzieścia minut przed legalną godziną. Mimo że był jeszcze jasny dzień, nimfy Gwadalkiwiru nie zawahały się i, bardziej wierząc w *Anioł Pański* niż w słońce, ukazały się z czystym sumieniem w toalecie kąpielowej, która jest zawsze nad wyraz prosta. Nie było mnie przy tym. Za mego pobytu dzwonnik był niesprzedajny, zmierzch dość ciemny, i chyba kot mógłby odróżnić najstarszą przekupkę pomarańcz od najładniejszej gryzетки kordowańskiej.

Jednego wieczora, o godzinie, kiedy nie widać już nic, paliłem oparty o parapet, gdy jakaś kobieta, wstępując po schodach wiodących od rzeki, przysiadła koło mnie. Miała we włosach duży bukiet jaśminu, którego płatki wydają wieczorem upajający zapach. Była skromnie, może nawet ubogo odziana, całkiem czarno, jak większość gryzettek wieczorem. Kobiety przyzwoite noszą kolor czarny jedynie rano; wieczorem ubierają się \square *francesa*. Zbliżając się do mnie, amatorka kąpeli spuściła na ramiona mantylkę okrywającą jej głowę: „przy mrocznej jasności, która spływa z gwiazd”, ujrzałem że jest mała, zgrabna i że ma bardzo duże oczy. Natychmiast rzuciłem cygaro. Zrozumiała ten akt na wskroś francuskiej grzeczności i pospieszyła mnie zapewnić, że bardzo lubi zapach tytoniu, a nawet sama pali, o ile ma pod ręką lekkie *papelitos*. Szczęściem miałem właśnie takie; poczęstowałem ją skwapliwie. Raczyła przyjąć jeden i zapaliła go od płonącego sznurka, który chłopak podał nam za cenę jednego solda. Zanurzeni w kłębie dymu, gawędziliśmy z piękną nieznajomą tak długo, aż zostaliśmy prawie sami na wybrzeżu. Sądziłem, że nie będę zbyt śmiały, zapraszając ją na lody do *neveria*¹. Po skromnym wahaniu przyjęła; ale nim się zdecydowała, spytała o godzinę. Nacisnąłem sprężynę zegarka, który zadzwonił; mechanizm ten uderzył ją wielce.

– Co u was są za wynalazki, panowie cudzoziemcy! Z jakiego pan kraju? Z pewnością Anglik?²

– Francuz, do usług. A panienka – czy pani – zapewne z Kordowy?

¹ Kawiarnia opatrzona lodownią lub raczej zbiornikiem śniegu. Nie ma w Hiszpanii wioski, która by nie miała swojej *neveria*.

² W Hiszpanii, każdy podróżny, który nie nosi ze sobą próbek perkalu lub jedwabiu, uchodzi za Anglika, *Ingle-sito*. To samo na Wschodzie. W Chalcis dostąpiłem tego zaszczytu, iż oznajmiano mnie jako *milordos frant-sevos*.

- Nie.
- W każdym razie z Andaluzji. Poznaję po miękkiej wymowie.
- Skoro pan jest tak biegły w rozróżnieniu akcentu, powinien pan odgadnąć, kto jestem.
- Sądzę, że pani jest z kraju Jezusa, o dwa kroki od raj. (Przenośni tej, która oznacza Andaluzję, nauczyłem się od mego przyjaciela Francisco Sevilla, głośnego pikadora).
- Ba! raj... tutejsi ludzie powiadają, że nie jest stworzony dla nas.
- Byłaby więc pani Mauretanką albo... (zatrzymałem się, nie śmiejąc powiedzieć: Żydówką).
- No! no! Widzi pan przecież, że jestem Cyganką; chce pan, abym mu powróżyła? Słyszał pan kiedy imię Carmencita? To ja.

Byłem wówczas (jakieś piętnaście lat temu) takim niedowiarkiem, że nie cofnąłem się ze zgrozą, dowiadując się, że stoję obok czarownicy. „Dobryś, pomyślałem sobie, zeszłego tygodnia wieczerałem z bandytą, chodźmyż dziś na lody ze służebnicą szatana. W podróży trzeba wszystkiego skosztować”. Miałem jeszcze inny powód, aby nawiązać tę znajomość. Po wyjściu z gimnazjum, wyznaję to ze wstydem, straciłem jakiś czas na studiowaniu nauk tajemnych, kilka razy nawet próbowałem zaklinać ducha ciemności. Uleczony od dawna z namiętności do podobnych dociekań, zachowałem, mimo to, żdźbło ciekawości dla wszystkich przesądów i ucieszyłem się ze sposobności poznania, jak daleko sięga sztuka magiczna u Cyganów.

Wciąż rozmawiając weszliśmy do *neveria* i siedliśmy przy stoliku oświetlonym świecą w szklanym kloszu. Mogłem wówczas przyjrzeć się swobodnie mojej *gitanie*, podczas gdy przyzwoici ludzie spożywający swoje lody wytrzeszczali oczy ze zdumieniem, widząc mnie w tak zacnym towarzystwie.

Wątpię, aby panna Carmen była czystej rasy; przynajmniej była nieskończenie ładniejsza od wszystkich jej krajanek, które kiedykolwiek spotkałem. Aby kobieta była ładna, powiadają Hiszpanie, trzeba, aby jednoczyła trzydzieści *si* lub, jeśli kto woli, aby można ją było określić za pomocą dziesięciu przymiotników, z których każdy odnosi się do trzech szczegółów jej osoby. Na przykład ma mieć trzy rzeczy czarne: oczy, powieki, brwi; trzy cienkie: palce, usta, włosy etc. Resztę znajdziecie w Brantomie. Moja Cyganka nie mogła sobie rościć praw do tyłu doskonałości. Skóra jej, bardzo zresztą gładka, zbliżała się barwą do tonu miedzi. Oczy były skośne, ale przesłicznie wykrojone; wargi nieco grube, ale dobrze zarysowane, odsłaniały zęby bielsze niż migdał obrany ze skóry. Włosy, może za mało jedwabiste, były czarne z odcieniem niebieskim, jak skrzydło kruka; przy tym długie i lśniące. Aby nie nużyć rozwlekłym opisem, powiem ogólnie, że z każdą wadą łączy się przymiot, uwydatniony jeszcze silniej przez kontrast. Była to piękność oryginalna i dzika, twarz, która zdumiewała w pierwszej chwili, ale której nie można było zapomnieć. Oczy jej zwłaszcza miały wyraz zmysłowy i okrutny, którego nie spotkałem później u żadnej ludzkiej istoty. „Cygańskie oko, wilcze oko” – jest takie przysłowie hiszpańskie, świadczące o spostrzegawczości. Jeśli nie macie czasu iść do ogrodu botanicznego, aby studiować spojrzenie wilka, przyjrzyjcie się swemu kotu, kiedy czai się na wróble.

Każdy rozumie, że śmieszne byłoby dać sobie wróżyć w kawiarni, toteż poprosiłem piękną czarownicę, aby mi pozwoliła towarzyszyć sobie do domu. Zgodziła się bez trudu, ale znowu chciała wiedzieć godzinę i poprosiła mnie, abym jeszcze raz zadzwonił w zegarek.

– Czy to naprawdę złote? – rzekła, przyglądając się z nadzwyczajną uwagą. Kiedyśmy się puścili w drogę, była ciemna noc; sklepy były przeważnie zamknięte, ulice niemal puste. Przebyliśmy most na Gwadalkiwirze i, już na krańcu miasta, zatrzymaliśmy się pod domem, który bynajmniej nie miał pozorów pałacu. Otworzyło nam dziecko; Cyganka rzekła kilka słów w języku mi nie znanym; dowiedziałem się później, że to był *rommani* albo *chipe kali*, narzecze *gitanos*. Natychmiast dziecko znikło, zostawiając nas w dość obszernym pokoju,

którego umeblowanie stanowił stolik, dwa krzeselka i kufer. A, prawda: zapomniałem o garnku z wodą, stercie pomarańcz i wiązce cebuli.

Skorośmy zostali sami, Cyganka dobyła z kufra karty, widocznie mocno wysłużone, magnes, zasuszonego kameleona i parę innych przedmiotów właściwych jej sztuce. Następnie kazała mi uczynić w lewej dłoni znak krzyża moneta, i zaczęły się ceremonie magiczne. Zbyteczne byłoby przytaczać jej przepowiednie, co zaś do sposobu, w jaki brała się do rzeczy, widać było, że z niej czarownica całą gębą.

Na nieszczęście przeszkadzono nam niebawem. Drzwi otworzyły się gwałtownie i mężczyzna, zawinięty aż po oczy w brunatny płaszcz, wszedł, zwracając się do Cyganki w sposób niezbyt uprzejmy. Nie rozumiałem, co mówi, ale ton świadczył, że jest w bardzo złym humorze. Na jego widok *gitana* nie okazała zdumienia ani gniewu, ale podbiegła i z nadzwyczajną płynnością wymowy rzekła doń kilka zdań w tajemnym narzeczu, którym posługiwała się już wobec mnie. Słowo *payllo*, często powtarzane, było jedyne, które zrozumiałem. Wiedziałem, że Cyganie nazywają tak każdego człowieka nie ich rasy. Przypuszczając, że chodzi o mnie, spodziewałem się drażliwych wyjaśnień; już ujmowałem krzeselko i siłę się wyczuć moment, w którym wypadnie rzucić je na głowę natrętowi. Ten odepchnął szorstko Cygankę i postąpił ku mnie; po czym, cofając się o krok, wykrzyknął:

– Ach! To pan!

Spojrzałem ja z kolei i poznałem mego przyjaciela don Jos□go. W tej chwili żałowałem nieco, że go nie pozwolił powiesić.

– A, to ty, mój zuchu – wykrzyknąłem, śmiejąc się najmniej kwaśno, jak mogłem – prze-rwałeś panience w chwili, gdy przepowiadała mi nader ciekawe rzeczy.

– Zawsze ta sama! Ale to się skończy – rzucił przez zęby, zwracając na nią posępne spoj-rzenie.

Tymczasem Cyganka mówiła doń dalej w swoim języku. Stopniowo rozgrzewała się. Oko jej nabiegło krwią i stawało się straszne, rysy ściągnęły się, tupąła nogą. Zdawało mi się, że nagli go żywo, aby zrobił coś, co się spotkało u niego z wahaniem. Co to było, zdawało mi się, że rozumiem aż nadto, widząc ją, jak przeciąga szybko swoją drobną rączką pod brodą. Byłem skłonny mniemać, że chodzi o podejrzenie gardła, i miałem niejakię podejrzenie, że to szło o moje gardło.

Na ten potok wymowy don Jos□ odpowiedział jedynie paroma słowy, wyrzeczonymi zwięzłym tonem. Wówczas Cyganka obrzuciła go spojrzeniem pełnym głębokiej wzdargy; następnie, siadłszy po turecku w kącie, wybrała pomarańczę, obrała ją i zaczęła jeść.

Don Jos□ wziął mnie za ramię, otworzył drzwi i wyprowadził na ulicę. Przeszliśmy jakieś dwieście kroków w najgłębszym milczeniu. Następnie, wyciągając rękę, rzekł:

– Wciąż prosto, a dojdzie pan do mostu.

Odwrócił się i oddalił szybko.

Wróciłem do gospody nieco markotny i w dość lichym humorze. Najgorsze było, iż, roz-bierając się, spostrzegłem brak zegarka.

Różne względy nie pozwoliły mi dochodzić tego nazajutrz lub też upraszać pana kore-gidora, aby go kazał poszukać. Ukończyłem pracę nad rękopisem oo. dominikanów i wyje-chałem do Sewilli. Po wielu miesiącach wędrówek po Andaluzji miałem wracać do Madrytu i trzeba mi było przejeżdżać przez Kordowę. Nie miałem zamiaru zabawić tam długo; nabra-łem odrazy do tego pięknego miasta i do kąpiących się w Gwadalkiwirze.

Mimo to odwiedziłem przyjaciół, parę sprawunków do załatwienia, wszystko to miało mnie zatrzymać co najmniej trzy lub cztery dni w dawnej stolicy władców muzułmańskich.

Skorom się pojawił w klasztorze, jeden z ojców, który okazywał zawsze zainteresowanie mymi pracami dotyczącymi położenia Mundy, przyjął mnie z otwartymi ramionami wołając:

– Pochwalone niech będzie imię Pana! Witajże nam, drogi przyjacielu. Mieliśmy cię wszy-scy za nieboszczyka, i ja, jak mnie tu widzisz, odmówiłem niejedno *pater* i *ave* – których nie

żałuję! – za zbawienie twojej duszy. Zatem nie zamordowano cię? Bo że cię okradziono, to wiemy.

– Jak to? – spytałem nieco zaskoczony.

– No, tak, wie pan przecie, ten piękny zegarek, w który dzwoniłeś w bibliotece, kiedyśmy panu mówili, że czas na chór. Otóż znalazł się, oddadzą go panu.

– To jest... – przerwałem nieco zakłopotany – właściwie zgubiłem...

– Hultaj jest pod kluczem, że zaś wiadomo było, że on zdolny jest wygnać z fuzji do człowieka, aby mu zabrać jednego srebrnika, umieraliśmy z obawy, że pana uśmiercił. Pójdę z panem do koregidora i odbierze pan swój piękny zegarek. I niech pan potem opowiada w kraju, że policja niedobrze funkcjonuje w Hiszpanii!

– Wyznaję – rzekłem – że wolałbym raczej stracić zegarek, niż musieć świadczyć przed sądem po to, aby wyprawić na szubienicę biednego nieboraka, zwłaszcza że... zwłaszcza...

– Och, niech pan się tym nie kłopotuje; ma już swoją porcję, a nie mogą go powiesić dwa razy. To jest myślę się, kiedy mówię: powiesić. Ten pański złodziej to *hidalgo*; uduszą go tedy pojutrze bez ochyby. Widzi pan, że jedna kradzież mniej albo więcej nie zmieni nic w jego sprawie. Dałby Bóg, aby on tylko kradł! Ale on popełnił wiele morderstw, jedno okropniejsze od drugiego.

– Jak się nazywa?

– Znają go w okolicy pod mianem Jos □ Navarro ale ma jeszcze inne nazwisko, baskijskie, którego ani pan, ani ja nie wymówimy nigdy. To człowiek, którego warto widzieć; pan, który lubisz poznawać miejscowe osobliwości, nie powinieneś zaniedbać sposobności przyjrzenia się, w jaki sposób w Hiszpanii hultaje schodzą ze świata. Jest w kaplicy, ojciec Martinez zaprowadzi pana.

Zacny dominikanin tak nalegał, abym obejrzał przygotowania do „cacanego uduszenia”, że nie mogłem się oprzeć. Poszedłem odwiedzić więźnia, zaopatrzony w paczkę cygar, które, miałem nadzieję, powinny były okupić moje natręctwo.

Spytałem go, czy za cenę pewnej kwoty lub za pomocą stosunków moich przyjaciół mógłbym uzyskać jakąś ulgę w jego losie. Zrazu wzruszył ramionami, uśmiechając się smutno; później namyślił się i poprosił, abym kazał odprawić mszę za zbawienie jego duszy.

– Czy zechciałby pan – dodał nieśmiało – zakupić i drugą, za osobę, która pana obraziła?

– Oczywiście, mój drogi – rzekłem – ale nikt, o ile wiem, nie obraził mnie w tym kraju.

Wziął mnie za rękę i uścisnął mi ją poważnie. Po chwili podjął:

– Czy mogę pana jeszcze poprosić o jedną usługę?... Kiedy pan będzie wracał do swoich, może będzie pan przejeżdżał przez Navarrę, a w każdym razie przez Vitorię, która leży niedaleko.

– Tak – rzekłem – z pewnością będę jechał przez Vitorię, ale bardzo być może, że zбочę, aby udać się do Pampeluny, i sądzę, iż dla pana nadłożyłbym chętnie drogi.

– Wybornie! Skoro pan jedzie do Pampeluny, ujrzy pan tam niejedną rzecz, która pana zaciekawi... To ładne miasto... Dam panu ten medalik (pokazał mi medalik srebrny, który miał na szyi), zawinie go pan w papier... (zatrzymał się chwilę, aby opanować wzruszenie)... i oddasz go lub każesz oddać dobrej kobiecie, której adres dam panu. – Powie jej pan, że umarłem, ale nie powie jej pan jak.

Przyrzekłem spełnić zlecenie. Odwiedziłem go znów nazajutrz i spędziłem z nim kilka godzin. Z jego ust dowiedziałem się smutnej historii, którą przeczytacie.

3

„Urodziłem się, mówił, w Elizondo, w dolinie Baztan. Nazywam się don Jos□ Lizzarrabengoa; zna pan na tyle Hiszpanię, aby z mego nazwiska natychmiast poznać, że jestem Baskiem. Jeżeli piszę się «don», to że mam do tego prawo; gdybym był w Elizondo, pokazałbym panu mój rodowód na pergaminie. Rodzice chcieli, abym został księdzem, i dali mnie kształcić, ale nie szło mi to do głowy. Nadto lubiłem grać w piłkę, i to mnie zgubiło. My, ludzie z Nawarry, kiedy gramy w piłkę, zapominamy o wszystkim. Jednego dnia, kiedy grałem partię, chłopak jeden z Alava szukał ze mną burdy; chwyciliśmy nasze *maquilas* (okute kije Basków) i znowuż ja byłem górą; ale przez to musiałem opuścić kraj. Spotkałem dragonów i zaciągnąłem się do pułku. My, górale, łatwo uczymy się żołnierskiego rzemiosła. Niebawem zostałem kapralem, obiecywano mnie zrobić sierżantem, kiedy, na moje nieszczęście, postawiono mnie na warcie przy fabryce tytoniu w Sewilli. Jeśli pan był w Sewilli, musiał pan widzieć ten wielki budynek poza wałami, blisko Gwadalkiwiru. Zdaje mi się, że widzę jeszcze bramę i strażnicę tuż obok. Hiszpanie, kiedy mają służbę, grają w karty albo śpią; ja, jako szczerzy Nawarczyk, zawsze starałem się czymś zająć. Robiłem łańcuszek z mosiężnego drutu, aby nosić na nim przetyczkę do fuzji. Naraz koledzy mówią: «Oho, dzwon słychać, dziewczęta będą wracały do roboty». Wiadomo panu zapewne, że w fabryce pracuje kilkaset dziewcząt. To one zwijają cygara w wielkiej sali, do której mężczyźni nie wchodzi bez specjalnego pozwolenia, ponieważ one się tam rozbierają, zwłaszcza młode, kiedy jest gorąco. W porze gdy robotnice wracają z obiadu, wielu młodych ludzi czeka na nie w przejściu i umizgają się, ile wlezie! Mało która z tych panienek odmówi jedwabnej mantylki; toteż, przy tym połowie amatorzy potrzebują tylko się schylić, aby pochwycić rybkę. Gdy inni się gapili, ja siedziałem na swojej ławce koło drzwi. Byłem wówczas młody i myślałem wciąż o swoich stronach; nie przypuszczałem, aby mogła być ładna dziewczyna bez niebieskiej spódnicy i warkocza spadającego na plecy³. Zresztą, bałem się Andaluzyjek; nie nawykłem jeszcze do ich obejścia; wciąż drwiny, nigdy rozsądnego słowa. Siedziałem tedy nad swoim łańcuszkiem, kiedy usłyszałem, jak cywile mówią: «O, o, gitanilla!» Podniosłem oczy i ujrzałem ją. Było to w piątek, nie zapomnę tego dnia nigdy. Ujrzałem Carmen, tę, którą pan zna, u której pana spotkałem przed kilkoma miesiącami.

Miała bardzo krótką, czerwoną spódnicę, poniżej której widać było białe jedwabne pończochy, mocno dziurawe, oraz maleńkie trzewiczki z czerwonego safianu, przymocowane wstążkami koloru płomienia. Rozchyliła mantylkę, tak aby pokazać ramiona i duży bukiet kasji sterczący zza koszuli. Miała też kwiat kasji w kącie ust i szła kołysząc się w biodrach niby klacz z kordowiańskiej stadniny. W naszych stronach, na widok kobiety w tym stroju, każdy by się przeżegnał. W Sewilli każdy rzucał jej dwuznaczny komplement: odpowiadała przewracając oczyma, z ręką na biodrach, bezczelna jak szczerza Cyganka. W pierwszej chwili nie podobała mi się, wróciłem też do swojej roboty; ale ona, obyczajem kobiet i kotów, które nie przychodzą kiedy je wołać, a przychodzą, kiedy nie wołać, przystanęła i zwróciła się do mnie:

- Kumoterku – rzekła modą andaluzyjską – czy zechcesz mi dać ten łańcuszek? Nosiłabym na nim klucze od mojej kasy.
- To na przetyczkę do strzelby – odparłem.
- Do strzelby! – wykrzyknęła śmiejąc się.

³ Strój wieśniaczek w Nawarze i w prowincjach baskijskich.

– Myślałam, że pan dobrodziej będzie robił koronkę tym szydełkiem.

Wszyscy zaczęli się śmiać, ja czułem, że się czerwienię, nie umiałem nic odpowiedzieć.

– Doskonale, moje serduszko – podjęła – zrób mi siedem łokci czarnej koronki na mantylkę, ty moja słodka koronczarko!

I wyjmując kwiat kasji, który miała w ustach, rzuciła mi go zręcznym ruchem wprost między oczy. Panie, to mnie tak ugodziło jak kula... Nie wiedziałem, gdzie się podziać, stałem jak słup. Kiedy weszła do fabryki, spostrzegłem kwiat kasji, który upadł mi pod nogi; nie wiem, co mi się stało, ale podniosłem go tak, żeby koledzy nie widzieli, i schowałem troskliwie do kieszeni. Pierwsze głupstwo.

W parę godzin później myślałem o tym jeszcze, kiedy wpada na strażnicę odźwierny, bez tchu, zmieniony na twarzy. Powiada, że w wielkiej sali fabrycznej zamordowano kobietę i że trzeba tam posłać straż. Sierżant kazał mi wziąć dwóch ludzi i iść zobaczyć. Biorę dwóch ludzi i idę. Niech pan sobie wyobrazi, iż wszedłszy do sali, widzę najpierw trzysta kobiet w koszuli lub prawie – wszystkie krzyczą, wyją, wymachują rękami, robią hałas taki, że grzmotu byś nie usłyszał. Z jednej strony leży jedna, na wznak, okryta krwią, z twarzą naznaczoną w kształt litery X dwoma cięciami noża. Na wprost rannej, którą opatrywały najpoczciwsze dziewczęta z tej zgrai, widzę Carmen; kilka robotnic przytrzymuje ją. Zraniona kobieta woła: «Księdza! księdza! umieram!» Carmen nie mówiła nic; zaciskała zęby, toczyła oczami jak kameleon.

– Co się stało? – spytałem. Z trudem dowiedziałem się, co zaszło, bo wszystkie mówiły na raz. Zdaje się, że zraniona kobieta chwaliła się, że ma w kieszeni dosyć pieniędzy, aby kupić osła na jarmarku w Triana. «Ej, rzekła Carmen, która miała ostry języczek, nie wystarczy ci już miotła?» Tamta, dotknięta przymówką (może i miała nieczyste sumienie w tej mierze), odparła, że nic jej po miotle, ile że nie ma zaszczytu być chrześniaczką szatana, ale że panna Carmen pozna się niebawem z jej osłem, kiedy pan koregidor zaprowadzi ją na przechadzkę, z dwoma lokajami idącymi za nią, aby ją oganiać od much. «A ja, powiada Carmen, zrobię ci na twarzy koryto do picia dla much i narysuję ci szachownicę». Na to, ciach! ciach! nożem, którym ucina końce cygar, kreśli jej krzyż św. Andrzeja na policzku.

Sprawa była jasna; ująłem Carmen za ramię:

– Moja panno – rzekłem grzecznie – trzeba iść za mną. – Rzuciła mi spojrzenie takie, jakby mnie poznała, ale rzekła z rezygnacją:

– Chodźmy. Gdzie mój płaszczyk? – Włożyła go na głowę w ten sposób, iż było widać tylko jedno wielkie oko, i poszła za mymi dwoma ludźmi, potulna jak baranek. Skorośmy przybyli na strażnicę, sierżant orzekł, że rzecz jest poważna i że trzeba odprowadzić dziewczynę do więzienia. Znowuż ja miałem ją eskortować. Umieściłem ją między dwoma dragonami i szedłem z tyłu, jak jest powinnością kaprała w takich razach. Zrazu Cyganka milczała: ale na ulicy Wężej – zna ją pan, zasługuje na swą nazwę, tak jest kręta – otóż na ulicy Wężej zaczyna od tego, że spuszcza płaszczyk na ramiona, aby mi pokazać swego szelmowskiego buziaka, i obracając się ku mnie, rzecze:

– Panie oficerze, dokąd mnie pan prowadzi?

– Do więzienia, moje biedne dziecko – odparłem najłagodniej, jak umiałem, tak jak dobry żołnierz powinien mówić do więźnia, a zwłaszcza do kobiety.

– Och! i cóż się tam ze mną stanie? Panie oficerze, niech się pan zlituje nade mną. Pan jest taki młody, taki ładny!... – Potem, nieco ciszej:

– Niech mnie pan puści – rzekła – a dam panu kawałek *bar lachi*, który sprawi, że wszystkie kobiety będą pana kochały.

Bar lachi, proszę pana, to kamień magnetyczny, o którym Cyganie twierdzą, że można nim działać mnogo czarów, o ile ktoś umie go używać. Dajcie się napić pożądanej kobiecie trochę tego kamienia utartego w białym winie, a nie oprze się wam. Odpowiedziałem najpoważniej:

– Nie jesteśmy tu po to, aby się bawić głupstwami; trzeba iść do więzienia, taki rozkaz, nie ma na to rady.

My, ludzie z kraju Basków, mamy akcent, który pozwala z łatwością odróżnić nas od Hiszpanów; w zamian nie znajdzie się tu ani jednego, który by się nauczył mówić bodaj: *bai jaona* (tak, panie). Carmen odgadła tedy bez trudu, skąd pochodzę. Wiadomo panu, że Cyganie, jako nie należący do żadnego kraju, wędrujący ciągle, mówią wszystkimi językami; większość jest jak w domu w Portugalii, we Francji, u Basków, w Katalonii, wszędzie; dogadają się nawet z Maurami i z Anglikami. Carmen umiała dość dobrze po baskijski.

– *Laguna ene bihotsarena*, miły ziomku – rzekła nagle do mnie – czyś ty z naszych stron?

Nasz język, panie, jest tak piękny, że kiedy go usłyszymy w cudzoziemskim kraju, serce nam omdlewa... – Chciałbym mieć spowiednika stamtąd, od nas – dodał ciszej bandyta.

Po chwili milczenia podjął:

– Jestem z Elizondo – odpowiedziałem po baskijski, wzruszony mocno, że słyszę rodzinną mowę.

– Ja jestem z Etchalar (to wioska o cztery godziny od nas). Cyganie porwali mnie do Sewilli. Pracowałam w fabryce tytoniu, aby zarobić na powrót do Nawarry, do mojej biednej matki, która ma za całą podporę tylko mnie i mały *barratcea* (ogródek) z dwudziestoma jabłunkami! Och, znaleźć się znów tam, u nas, wśród białych gór! Znieważono mnie, bo nie jestem z tego kraju hultajów, przekupniów zgniłych pomarańcz; i te szelmy stanęły przeciw mnie, bo im powiedziałam, że ich dudki z Sewilli, ze swymi nożami, nie nastraszyłyby chwata z naszych stron, w niebieskim berecie i z *maquila* (okuty kij) w garści. Bracie mój, przyjacielu, czy nie pomożesz swojej krajance?

Kłamała, panie, ona zawsze kłamała. Nie wiem, czy ta dziewczyna w życiu swoim powiedziała słowo prawdy; ale kiedy mówiła, wierzyłem jej; nie umiałem się oprzeć. Kaleczyła nasz język, a ja brałem ją za Nawarkę: same oczy jej i usta, i płeć świadczyły, że jest Cyganką. Oszalałem, nie zważałem już na nic. Myślałem, że gdyby Hiszpanie ośmielili się źle mówić o moim kraju, pokrajałbym im twarz, tak samo jak ona zrobiła swojej koleżance. Krótko mówiąc, byłem jak pijany; zaczynałem mówić głupstwa, gotów byłem je robić.

– Gdybym cię popchnęła i gdybyś upadł, mój bracie – podjęła po baskijski – to pewna, że te dwa kastylijskie rekruty nie zdołałyby mnie zatrzymać...

Daje słowo, zapomniałem o rozkazie i o wszystkim, i rzekłem:

– A więc, siostró, krajanko moja, próbuj, i niech Najświętsza Panna z Gór będzie ci pomocą.

W tej chwili przechodziliśmy koło jednej z tych wąskich uliczek, jakich tyle jest w Sewilli. Naraz Carmen odwraca się i uderza mnie w pierś. Padam umyślnie na wznak. Jednym susem skacze przeze mnie i zmyka, pokazując nam parę nóżek, i co za nóżek!... Mówi się «nogi baskijskie», te z pewnością nie ustępowały im... a szybkie, a zgrabne! Ja zrywam się natychmiast, ale chwytam lancę w poprzek, zamykając nią ulicę, tak iż w pierwszej chwili wstrzymałem pościg towarzyszków. Potem zacząłem sam pędzić, oni za mną; ale dogonić ją! Nie było obawy, z naszymi ostrogami, szablami, lancami! W krótszym czasie niż trzeba, aby to opowiedzieć, znikła nam z oczu. Zresztą wszystkie kumoszki pomagały jej w ucieczce, drwiąc sobie z nas i pokazując nam mylną drogę. Po wielu marszach i kontrmarszach trzeba nam było wrócić na strażnicę bez poświadczenia od zarządu więzień.

Moi ludzie, aby uniknąć kary, zeznali, że Carmen mówiła ze mną po baskijski. Aby rzecz prawdę, nie wydało się rzeczą naturalną, aby jedno uderzenie pięści drobnej dziewczyny obaliło dryblasa takiego jak ja. Wszystko to wydało się mętne, lub raczej zbyt jasne. Zdegradowano mnie i posłano na miesiąc do więzienia. Była to pierwsza kara od czasu mej służby. Bywajcie zdrowe galony sierżanta, które zdawały się już tak pewne!

Pierwsze dni więzienia spłynęły bardzo smutno. Przystając do wojska, wyobrażałem sobie, że zostanę co najmniej oficerem. Longa, Mina, moi krajanie, są wszakże kapitanami; Chapa-

langarra, który jest z czarnych, jak Mina, i jak on uciekł do waszego kraju, Chapalangarra był pułkownikiem; grywałem często w piłkę z jego bratem, biedaczną jak ja. Teraz mówiłem sobie: Cały czas, który służyłeś bez kary, stracony. Masz złą notę; aby odzyskać zaufanie przełożonych, trzeba ci będzie starać się dziesięć razy więcej, niż kiedy byłeś rekrutem! I dlaczego naraziłeś się na karę? Dla szelmy Cyganki, która zadrwiła sobie ze mnie i która w tej chwili kradnie, gdzie może w mieście.

Mimo to nie mogłem się wstrzymać, aby o niej nie myśleć. Czy uwierzyłby pan? Te dziurawe jedwabne pończochy, które mi pokazała uciekając, ja miałem je ciągle przed oczami. Patrzyłem przez kraty więzienne na ulicę i wśród wszystkich kobiet, które przechodziły, nie widziałem ani jednej, która by warta była tej diabelskiej dziewczyny. A przy tym, a przy tym, mimo woli, wahałem ten kwiat kasji, który mi rzuciła i który, mimo iż uschnięty, zachował swój zapach... Jeśli są czarownice, ta dziewczyna była czarownicą!

Jednego dnia wchodzi odźwierny i podaje mi bułkę alkalskiego chleba⁴.

– Masz – powiada – to od pańskiej krewniaczki.

Wziąłem chleb, bardzo zdziwiony, bo nie miałem krewniaczki w Sewilli. To może pomyłka, mówiłem sobie, patrząc na chleb; ale był tak apetyczny, pachniał tak ładnie, że nie trzsząc się, od kogo pochodzi i dla kogo jest przeznaczony, postanowiłem go zjeść. Kiedym go krajał, nóż natrafił na coś twardego. Patrząc i znajdując piłkę angielską, którą wsunięto w ciasto przed wypieczeniem chleba. Była też w chlebie dwupiastrowa sztuka złota. Nie było wątpliwości: to podarunek od Carmen. Dla ludzi jej rasy wolność jest wszystkim; podpaliłaby miasto, aby oszczędzić sobie więzienia. Zresztą dziewczuszka była sprytna: mając taki chlebuś, można było sobie drwić z dozorców. W godzinę przepiłowałbym tą piłką najgrubszą kratę, a za cenę dwóch piastrów zamieniłbym u pierwszego z brzegu handlarza starzyzny mundur na cywilne ubranie. Domyśla się pan, że dla człowieka, który nieraz wybierał orły z gniazd w naszych skałach, drobnostką było puścić się na ulicę z okna nie mającego więcej nad trzydzieści stóp od ziemi; ale ja nie chciałem uciekać. Miałem jeszcze honor żołnierski i dezercję uważałem za zbrodnię. Wzruszył mnie wszelako ten dowód pamięci. Kiedy człowiek jest w więzieniu, miło mu czuć za murami przyjazną duszę, która o nim myśli. Sztuka złota mierzila mnie nieco, byłbym rad ją zwrócić; ale gdzie szukać mego wierzyciela? Nie zdawało mi się to łatwe.

Po obrzędzie degradacji sądziłem, że nic mnie już gorszego nie czeka; ale zostawało mi jeszcze jedno upokorzenie: a to po wyjściu z więzienia, kiedy mnie przydzielono do służby i postawiono na warcie jak prostego żołnierza. Nie wyobraża pan sobie, co człowiek z ambicją odczuwa w podobnej chwili. Sądzę, że byłbym wolał, aby mnie rozstrzelano. Przynajmniej wtedy idę sam, przed swoim plutonem; czuję się kimś, ludzie patrzą na mnie.

Postawiono mnie na warcie pod bramą pułkownika. Był to młody człowiek, bogaty, wesoły, lubiący się bawić. Wszyscy młodzi oficerowie byli u niego, i wielu cywilnych, i kobiety, aktorki, jak mówiono. Co do mnie, miałem uczucie, że całe miasto naznaczyło sobie schadzkę u jego bramy, aby się na mnie gapić. Naraz nadjeżdża powóz pułkownika, lokaj na koźle. Kogóż widzę, jak wysiada?... gitanillę. Wystrojona była tym razem jak monstrancja, wymuska, same złoto i wstążki. Suknia naszywana blaszkami, niebieskie trzewiki również naszywane, kwiaty, galony... W ręku miała baskijski bębenek. Były z nią jeszcze dwie Cyganki: jedna młoda i jedna stara. Zawsze mają przy sobie taką starą; był i staruch z gitarą, też Cygan, aby im grać do tańca. Wiadomo panu, że często, dla uciechy, sprowadzają do towarzysstwa Cyganki, aby im kazać tańczyć *romalis* – to ich taniec – a często i po co innego.

⁴ *Alcala de los Panaderos*, miasteczko o dwie mile od Sewilli, gdzie wypiekają znakomite bułeczki. Utrzymują, że to woda w Alcala nadaje im ten smak, i przynoszą codziennie wielką ich mnogość do Sewilli.

Carmen poznała mnie, wymieniliśmy spojrzenia. Nie wiem, ale w tej chwili byłbym pragnął zależeć się na sto stóp pod ziemią.

– *Agur, laguna* (dzień dobry, kamracie) – rzekła. – Mój oficerze, stoisz na warcie jak rekrut.

I nim miałem czas coś odpowiedzieć, już znikła.

Całe towarzystwo było w *patio* i mimo tłoku widziałem przez kratę niemal wszystko, co się działo wewnątrz⁵. Słyszałem kastaniety, bębenek, śmiechy i brawa; od czasu do czasu widziałem głowę Carmen, kiedy tańczyła z bębniem. Słyszałem też oficerów, mówiących jej rzeczy, od których krew nabiegała mi do twarzy. Co im odpowiadała, nie wiedziałem. Od tego dnia, zdaje mi się, zacząłem ją kochać na dobre; parę razy bowiem przychodziło mi do głowy wpaść do *patio* i wpakować szablę w brzuch owym chłystkom, którzy się do niej umiżgali. Męczarnie moje trwały dobrą godzinę, po czym Cyganie wyszli, powóz zajechał po nich. Mijając mnie, Carmen spojrzała znowu tymi oczami, które pan zna, i szepnęła:

– Mój ziomku, kto lubi dobre smażone rybki, niech przyjdzie do Triana, do Lillas Pastia.

Lekka jak kozica skoczyła do pojazdu, woźnica zaciął muły i cała wesoła banda pomknęła, nie wiem gdzie.

Domyśla się pan, iż zeszedłszy z warty, pogałem do Triana; ale wprzód wstąpiłem się ogolić i wyczyściłem się jak na paradę. Znalazłem Carmen u Lillas Pastia, starego handlarza ryb, Cygana czarnego jak Maur. Wiele osób zachodziło tam na smażone rybki, zwłaszcza, jak sądzę, odkąd Carmen założyła tam swój obóz.

– Lillas – rzekła, skoro mnie ujrzała – nie ma mnie dla nikogo. Jutro także będzie dzień! Chodź, mój ziomku, przejdziemy się trochę.

Naciągnęła płaszczyk na twarz i oto znalazłem się z nią na ulicy, nie wiedząc, dokąd idę.

– Panienko – rzekłem – sądzę, że pani winienem dziękować za podarek, który mi przysłałaś, kiedy byłem w więzieniu. Zjadłem chleb, piłka zda mi się do ostrzenia lancy i zachowałem ją jako pamiątkę po pani; ale pieniądze – proszę.

– Nie! zachowaj pieniądze – krzyknęła wybuchając śmiechem. – Zresztą, tym lepiej, bo nie jestem obecnie przy kapitałach, ale cóż? Wędrowny pies z głodu nie umiera⁶. Chodź, przejedźmy wszystko. Ty prosisz.

Ruszyliśmy z powrotem do Sewilli. U wejścia ulicy Wężej Carmen kupiła tuzin pomarańcz, które kazała mi zawinąć do chustki. Nieco dalej kupiła chleb, kiełbasę, butelkę *mazanilla*; wreszcie weszła do cukierni. Tam rzuciła na ladę sztukę złota, którą jej oddałem, drugą jeszcze, którą miała w kieszeni, wraz z paroma srebrnikami; kazała mi dać wszystko, co miałem przy sobie. Miałem tylko jedną sztukę srebra i parę miedziaków, które oddałem jej, mocno zawstydzony, że nie posiadam więcej. Zdawało się, że chce wynieść cały sklep. Brała wszystko, co było najpiękniejszego i najdroższego, *yemas* (żółtka w cukrze), *turon* (rodzaj nugata), owoce kandyzowane, póki tylko starczyło pieniędzy. W dodatku musiałem to wszystko nieść w torbach papierowych. Zna pan może ulicę Candilejo, gdzie znajduje się popiersie króla Piotra Sędziogo⁷. Powinien był przywieść mnie do zastanowienia. Zatrzymali-

⁵ Większość domów w Sewilli posiada dziedziniec otoczony portykami. Siaduje się tam w lecie. Dziedziniec ten przykryty jest płótnem, które polewa się wodą w dzień, a ściąga wieczorem. Brama od ulicy jest prawie zawsze otwarta, sień zaś prowadząca w dziedziniec, *zagan*, zamknięta jest żelazną kratą wykwintnej roboty.

⁶ *Chuquel sos pirela cocal terela* – „Wędrowny pies znajdzie kość”. Przysłowie cygańskie.

⁷ Król don Pedro, którego nazywano Okrutnym, a którego królowa Izabela Katolicka nazywała zawsze sprawiedliwym, lubił przechadzać się wieczorami po ulicach Sewilli, szukając przygód, jak niegdyś kalif Harun al-Raszid. Pewnej nocy posprzeczali się na ustronnej ulicy z jakimś kawalerem, który wyprawiał serenadę. Dobyli oręża i król zabił czulego kochanka. Słyszając szczęki broni, starszka wyjrzała oknem i oświeciła te scenę małą lampką, *candilejo*, którą trzymała w dłoni. Trzeba wiedzieć, że król Pedro, zresztą krzepki i zwinny, miał osobliwą przyrodzoną wadę: kiedy siedł, w kolanach chrupało mu straszliwie. Stara poznała go łatwo po tym chrupaniu. Nazajutrz urzędnik będący na służbie przyszedł z raportem do króla. „Panie, tej nocy odbył się na ulicy śmiertelny pojedynek. Jeden z walczących zginął. – Czy odkryliście zabójcę? – Tak, panie. – Czemu nie jest

śmy się w tej ulicy pod jakimś starym domem. Carmen weszła do sieni i zakukała na parterze. Cyganicha, istna służebnica szatana, otworzyła nam. Carmen rzekła jej parę słów po romańsku. Stara mruczała zrazu; aby ją ułagodzić, Carmen dała jej dwie pomarańcze, garść cukierków i pozwoliła pokosztować wina. Następnie zarzuciła jej mantylkę na plecy i przeprowadziła ją do drzwi, które zaryglowała drewnianą zaporą. Skorośmy zostali sami, zaczęła tańczyć i śmiać się jak szalona, śpiewając:

– Ty jesteś mój *rom* (mąż), a ja twoja *romi* (żona).

Stałem na środku pokoju, obarczony sprawunkami, nie wiedząc, gdzie je złożyć. Rzuciła wszystko na ziemię i skoczyła mi na szyję, mówiąc:

– Płacę swoje długi, płacę swoje długi.

Ach, panie, ten dzień! ten dzień!... Kiedy o nim myślę, zapominam o jutrzejszym.

Bandyta zamilkł na chwilę, po czym zapaliwszy zgasłe cygaro, podjął:

Spędziliśmy razem cały dzień, jedząc, pijąc itd. Kiedy Carmen opchała się cukierkami jak sześćoletnie dziecko, wetknęła całe ich garście do dzbanka z wodą: «Będzie stara miała sorbet», mówiła... Nie było szaleństwa, psoty, której by nie zrobiła. Rzekłem, iż chciałbym widzieć, jak tańczy; ale skąd wziąć kastaniety? Natychmiast bierze jedyny talerz starej, tłucze go na kawałki, i oto tańczy *romalis*, przygrywając kawałkami fajansu równie dobrze, jak gdyby miała kastaniety z hebanu lub z kości słoniowej. Nie było sposobu znudzić się przy tej dziewczynie, ręczę panu. Zapadł zmrok, usłyszałem bębny grające capstrzyk wieczorny.

– Trzeba mi wracać do koszar, na apel – powiedziałem.

– Do koszar? – rzekła ze wzgardą. – Więc ty jesteś Murzyn, żeby się tak dać poganiać prętem? Jesteś prawdziwy kanarek⁸, z ubrania i z charakteru. Et, tyle masz serca co kura.

Zostałem, skazany z góry na areszt. Rano ona pierwsza wspomniała o rozstaniu.

– Słuchaj, Joseito – rzekła – wypłaciłam ci się. Wedle naszego prawa nie byłam ci winna nic, ponieważ jesteś *payllo* (obcy), ale jesteś ładny chłopak, spodobałeś mi się. Bywaj zdrów.

Spytałem, kiedy ją zobaczę.

– Kiedy będziesz mniejszym dudkiem – odparła śmiejąc się. Następnie poważniej: – Czy ty wiesz, mój, synu, zdaje mi się, że ja cię kocham troszeczkę? Ale to nie może trwać. Pies i wilk nie długo wyżyją w zgodzie. Może, gdybyś przyjął prawo Egiptu, rada bym być twoją *romi*. Ale to są głupstwa, to niemożliwe. Ba! mój chłopcze, wierzaj mi, wykpiłeś się tanim kosztem. Spotkałeś diabła, tak, diabła; nie zawsze jest czarny i nie ukręcił ci szyi. Mam na sobie wełnę, ale nie jestem owieczką. Idź, zapal świecę przed swoją *majari* (madonna); zarobiła na nią. No, bywaj zdrów jeszcze raz. Zapomnij już, co to Carmencita, lub zaślubiłbyś przy niej wdowę o drewnianych nogach (szubienicę).

Tak mówiąc, odsuwała zaporę zamykającą drzwi; znalazłszy się na ulicy, zawinęła się w mantylkę i pomknęła.

Mówiła prawdę. Byłoby rozsądniej nie myśleć o niej; ale od owego dnia przy ulicy Candilejo, nie mogłem już myśleć o czym innym. Wafęsałem się cały dzień, w nadziei, że ją spotkam. Pytałem o nią starą Cyganekę i handlarza ryb. Oboje odpowiadali, że pojechała do *Laloro* (ziemia czerwona): tak nazywają Portugalię. Prawdopodobnie mówili tak na rozkaz Carmen, ale niebawem dowiedziałem się, że kłamię.

jeszcze ukarany? – Panie, czekam twoich rozkazów. – Wypełnijcie prawo”. Owóz, król wydał był świeżo dekret, iż każdy pojedynkujący się ma być ścięty, a głowa jego wystawiona w miejscu spotkania. Urzędnik wykpił się zręcznie ze sprawy. Kazał odpiłować głowę posągu króla i wystawił ją we framudze na ulicy, na której spełniono zbrodnię. Spodobało się to królowi i mieszkańcom; nazwano ulicę od lampki owej staruszki, która to lampka była jedynym świadkiem zdarzenia. – Oto tradycja ludowa; Zuniga opowiada rzecz nieco odmienną. (Patrz *Roczniki Sewilli*, t.II). Jak bądź się rzeczy miały, istnieje jeszcze w Sewilli ulica Candilejo, a na tej ulicy popiersie kamienne, będące rzekomo portretem don Pedra. Na nieszczęście popiersie to jest nowoczesne. Dawne było bardzo zniszczone już w XVII wieku, a ówczesny zarząd miasta kazał je zastąpić tym, które widzi się dziś.

⁸ Dragoni hiszpańscy ubrani są na żółto.

W kilka tygodni po owym dniu przy ulicy Candilejo stałem na warcie u jednej z bram miejskich. Niedaleko tej bramy zrobił się wyłom w murze okalającym miasto; naprawiano go w dzień, a w nocy stawiano tam żołnierza, aby powściągnąć przemytników. Przez cały dzień widziałem, jak Lillas Pastia krąży koło strażnicy i zagaduje moich kolegów; wszyscy go znali, a jego rybki i pączki jeszcze lepiej. Zbliżył się do mnie i spytał, czy mam wiadomości od Carmen.

– Nie – rzekłem.

– To będziesz miał, kochasiu.

Nie mylił się. W nocy postawiono mnie na warcie przy wyłomie. Skoro tylko kapral się oddalił, ujrzałem zbliżającą się kobietę. Serce mi powiadało, że to Carmen. Mimo to krzyknąłem;

– Stój! Nie wolno!

– Nie bądźże taki srogi – rzekła odsłaniając twarz.

– Jak to?! To ty, Carmen?

– Tak, ziomku. Mówmy mało, ale mądrze. Chcesz zarobić całego *duro*? Przyjdą tu ludzie z pakunkami; przepuść ich.

– Nie – odparłem. – Muszę ich zatrzymać: taki rozkaz.

– Rozkaz! Rozkaz! Nie myślałeś o rozkazie przy ulicy Candilejo.

– Och! – odparłem wzruszony do żywego tym wspomnieniem, dla tego warto było zapomnieć o rozkazie – ale nie chcę pieniędzy przemytników.

– Słuchaj, jeśli nie chcesz pieniędzy, czy chcesz, żebyśmy jeszcze poszli na obiad do starej Doroty?

– Nie – odparłem, dławiąc się od wysiłku, jaki mnie to kosztowało. – Nie mogę.

– Doskonale. Jeżeli ty jesteś taki nieprzystępny, wiem, do kogo się zwrócić. Zaproponuję twemu oficerowi obiadek u Doroty. Wygląda na dobrego chłopca, postawi na warcie zucha, który będzie widział tylko to, co trzeba. Bądź zdrow, kanarku. Uśmieję się w dniu, w którym będziesz miał rozkaz powiesić się.

Miałem tę słabość, że ją odwołał i przyrzekłem przepuścić wszystkich Cyganów świata, jeśli trzeba, byle otrzymać jedyną nagrodę, której pragnąłem. Przysięgła mi dotrzymać słowa zrazu jutro i pobiegnęła uprzedzić swoich kompanów, którzy czekali tuż. Było ich pięciu, w ich liczbie Pastia, wszyscy objuczeni angielskim towarem. Carmen stała na czatach. Miała ich ostrzec kastanietami z chwilą, gdy ujrzy ront, ale nie było potrzeby. Przemytnicy załatwili się w jednej chwili.

Nazajutrz poszedłem na ulicę Candilejo. Carmen dała na siebie czekać i przyszła w kwaśnym humorze.

– Nie lubię ludzi, którzy się każą prosić – rzekła. – Oddałeś mi większą przysługę pierwszym razem, nie wiedząc, czy coś na tym zyskasz. Wczoraj targowałeś się ze mną. Nie wiem, po com przyszła, bo cię już nie kocham. Et, idź sobie, masz tu jednego *duro* za fatygę.

Mało brakło, a byłbym jej rzucił pieniądz w twarz; musiałem sobie zadać gwałt, aby jej nie wybić. Po godzinnej sprzeczce wyszedłem wściekły. Błądziłem jakiś czas po mieście, goniąc jak szalony; wreszcie wszedłem do kościoła i, wcisnąwszy się w najciemniejszy kąt, płakałem gorącymi łzami. Naraz słyszę głos:

– Krokodyle ły! Daj mi je na eliksir.

Podnoszę oczy, widzę Carmen tuż przed sobą.

– I cóż, ziomku, jeszcze masz żal do mnie? – rzekła. – Muszę cię chyba kochać, na przekór samej sobie, bo od czasu, jak odszedłeś, nie wiem co mi się dzieje. Słuchaj, teraz ja cię proszę, abyś przyszedł na ulicę Candilejo.

Pojedналиśmy się tedy; ale charakter Carmen był taki jak pogoda u nas. Nigdy u nas w górach burza nie jest bliżej, niż kiedy słońce najjaśniej świeci. Naznaczyła mi znowu schadzkę

u Doroty i nie przyszła; Dorota powiedziała mi znów w żywe oczy, że pojechała do Laloro «w sprawach Egiptu».

Wiedząc już z doświadczenia, co o tym mniemać, szukałem Carmen wszędzie; dwadzieścia razy dziennie przechodziłem ulicą Candilejo. Jednego wieczora byłem u Doroty, którą niemalże obłaskawiłem, stawiając jej od czasu do czasu jakiś kieliszek, kiedy weszła Carmen w towarzystwie młodego człowieka, porucznika z naszego pułku.

– Zmykaj stąd – rzuciła mi po baskijsku.

Stałem osłupiały z wściekłością w sercu.

– Co ty tu robisz? – zawołał porucznik. – Dalej, zmykaj!

Nie mogłem uczynić kroku, byłem jak porażony. Oficer, wściekły, widząc, że nie odchodzę i że nie zdjąłem nawet czapki, wziął mnie za kołnierz i potrząsnął mną. Nie wiem, com mu powiedział. Dobył szabli, ja również. Stara chwyciła mnie za rękę, a porucznik zadał mi cięcie w czoło, od którego jeszcze noszę ślad. Cofnąłem się i uderzeniem łokcia przewróciłem Dorotę na wznak; kiedy porucznik szedł na mnie, nastawiłem mu sztych; nabił się. Wówczas Carmen zgasiła lampę i rzekła w swoim narzeczu do Doroty, aby uciekała. Ja sam wypadłem na ulicę i zacząłem biec nie wiedząc dokąd. Zdawało mi się, że ktoś biegnie za mną. Kiedym odzyskał przytomność, spostrzegłem, że Carmen nie opuściła mnie na krok.

– Oj, ty głupi kanarku! – rzekła. – Umiesz robić same głupstwa. Mówiłam, że ci przyniosę nieszczęście. No, ale jest rada na wszystko, kiedy się ma za przyjaciółkę poczciwą Cyganczkę. Na początek weź tę chustkę na głowę, a rzuć mi swój pas. Czekaj na mnie w tej sieni. Wracam za dwie minuty.

Znikła i przyniosła mi niebawem prążkowany płaszcz, po który chodziła nie wiem gdzie. Kazała mi zdjąć mundur i włożyć płaszcz na koszulę. Tak przystrojony, z chustką, którą przewiązała mi ranę na czole, dość byłem podobny do wieśniaka, jakich sporo przychodzi do Sewilli sprzedawać orszadę. Następnie zaprowadziła mnie do domku dość podobnego do domku Doroty, w małej uliczce. Ona i druga Cyganka umyły mnie, opatrzyły lepiej, niżby to mógł zrobić chirurg pułkowy, dały mi się napić, nie wiem czego, w końcu ułożyły mnie na materacu, i zasnąłem.

Prawdopodobnie musiały wmieszać do napoju jakiś lek usypiający, który Cyganie umieją sporządzać, obudziłem się bowiem nazajutrz bardzo późno. Czułem silny ból głowy i nieco gorączki. Trzeba było dobrej chwili, abym odzyskał pamięć straszliwej sceny, w której brałem udział w wilię.

Opatrzywszy moją ranę, Carmen i jej przyjaciółka, siedząc w kucki przy moim tapczanie, wymieniły w swoim języku parę słów, które wyglądały na konsylium lekarskie. Następnie upewniły mnie, że będę zdrow niebawem, ale że trzeba co rychlej opuścić Sewillę; gdyby mnie złapano, rozstrzelano by mnie bez pardonu.

– Mój chłopcze – rzekła Carmen – musisz się wziąć do czegoś; obecnie, kiedy król nie daje ci już ryżu ani sztokfisa, trzeba ci myśleć o zarobieniu na życie. Jesteś za głupi, aby kraść *pastetas* (zręcznie, sztuką); ale jesteś mocny i zwinny: jeśli masz serce po temu, idź na wybrzeże i zostań przemytnikiem. Czy nie przyrzekłam ci, że będziesz wisiał przeze mnie? To przecież lepiej, niż być rozstrzelanym. Zresztą, jeśli będziesz umiał brać się do rzeczy, będziesz żył jak książę, póki celnicy i żandarmi nie chwycą cię za kołnierz.

W ten zachęcający sposób diabelska dziewczyna wskazała mi nowy zawód, do którego mnie przeznaczała, jedyny, prawdę rzekłszy, jaki mi zostawał, odkąd ściągnąłem na siebie karę śmierci. Mam rzec prawdę? Skłoniła mnie bez wielkiego trudu. Miałem uczucie, że to życie przygody i buntu zespala mnie z nią ściślej. Sądziłem, iż odtąd zapewnię sobie jej miłość. Często słyszałem o głośnych przemytnikach, jak przebiegają Andaluzję na dobrym koniu, z rusznicą w garści, z kochanką za siodłem. Widziałem się już cwałującego przez góry i doliny ze śliczną Cyganczką za sobą. Kiedy jej o tym mówiłem, brała się za boki ze śmiechu

i powiadała, że nie ma nic ładniejszego niż noc spędzona na biwaku, kiedy każdy *rom* chroni się ze swoją *romi* w namiocie sporządzonym z trzech obręczy, pokrytych derką.

– Skoro cię raz będę miał w górach – mówiłem – będę pewny ciebie! Tam nie ma porucznika, który by szedł ze mną do podziału.

– A, jesteś zazdrosny – odparła. – Tym gorzej dla ciebie. Jak możesz być tak głupi? Czy nie widzisz, że cię kocham, skoro nigdy nie żądałam od ciebie pieniędzy?

Kiedy tak mówiła, miałem ochotę ją udusić.

Aby się streszczać, powiem, że Carmen dostarczyła mi cywilnego ubrania, w którym wymknąłem się z Sewilli nie poznany. Udałem się do Jerez z listem Pastii do pewnego szynkarza, u którego schodzą się przemytnicy. Zapoznałem się z tymi ludźmi, a herszt, zwany Dancaire, przyjął mnie do swej bandy. Puściliśmy się do Gaucin, tam odnalazłem Carmen, z którą naznaczyliśmy sobie spotkanie w tej miejscowości. W wyprawach naszych ona pełniła funkcje szpiega, i to najlepszego, jak sobie można wyobrazić. Wracając z Gibraltaru i już ułożyła z kapitanem pewnego okrętu wyładowanie towarów angielskich, które mieliśmy odebrać na wybrzeżu. Udaliliśmy się, by czekać ich w pobliżu Estepony, po czym ukryliśmy część w górach; z resztą ładunku wędrowaliśmy do Ronda. Carmen poprzedziła nas tam. Ona również wskazała nam chwilę, w której mamy wejść do miasta. Ta pierwsza wyprawa oraz kilka następnych odbyły się szczęśliwie. Życie przemytnika lepiej mi się podobało niż życie żołnierza; obsypywałem Carmen podarkami. Miałem pieniądze i kochankę. Nie miałem wyrzutów, bo jak mówią Cyganie: *w ś r ó d p r z y j e m n o ś c i ś w i e r z b n i e s w ę d z i*. Wszędzie znajdowaliśmy dobre przyjęcie, koledzy traktowali mnie życzliwie, nawet z szacunkiem. Ale najbardziej przywiązywało mnie do nowego życia to, że widywałem często Carmen. Była dla mnie serdeczniejsza niż kiedykolwiek; mimo to wobec towarzyszy nie przyznawała się, że jest moją kochanką; a nawet kazała mi przysiąc na wszystkie świętości, że nikomu tego nie zdradzę. Byłem tak słaby wobec tej istoty, że ulegałem wszystkim jej kaprysom. Zresztą to było pierwszy raz, że mogłem w niej dostrzec skrupuły uczciwej kobiety, i byłem dość naiwny, aby wierzyć, że w istocie poprawiła się ze swych dawnych obyczajów.

Nasza banda, która składała się z dziesiątka ludzi, zbierała się jedynie w stanowczej chwili, zwykle zaś żyliśmy rozproszeni po dwóch lub trzech w miastach i miasteczkach. Każdy z nas rzekomo miał jakieś rzemiosło; ten był kotlarzem, ów koniarzem, ja byłem przekupniem wstążek, ale nie pokazywałem się w uczęszczanych miejscach, z przyczyny mojej brzydkiej sprawy w Sewilli. Jednego dnia, lub raczej jednej nocy, mieliśmy się spotkać u stóp Veger. Dancaire znalazł się tam przed innymi. Wydawał się bardzo wesół.

– Będziemy mieli jednego kamrata więcej – rzekł. – Carmen dokazała niesłychanej wręcz sztuki. Uwolniła swego *roma*, który był w kajdanach w Tarifa.

Zaczynałem już rozumieć język cygański, którym mówili prawie wszyscy moi towarzysze, i oto słowo *rom* wstrząsnęło mną.

– Jak to, swego męża? Ona jest zameżna? – spytałem herszta.

– Tak – odparł – z Garcją Jednookim, Cyganem równie szczwanym jak ona. Biedny chłopak był na galerach. Carmen tak omotała więziennego chirurga, że uzyskała przezeń wolność swego *roma*. Och! Ta dziewczyna to szczere złoto. Już dwa lata, jak pracuje nad jego wolnością. Wszystko było na nic aż do chwili, w której wpadło się na ten pomysł, aby zmienić lekarza. Zdaje się, że z tym znalazła szybko drogę do porozumienia.

Wyobraża pan sobie, jak miłą była mi ta nowina. Ujrzałem niebawem Garcję; zaiste najszkaradniejszą poczwarę, jaką wydała rasa Cyganów. Czarny na ciele, a czarniejszy jeszcze w duszy, był to największy łajdak, jakiego widziałem w życiu. Carmen przybyła wraz z nim; kiedy go nazywała przy mnie *rom*, trzeba było widzieć oczy, jakie robiła do mnie, oraz miny jej, kiedy Garcja odwrócił głowę. Byłem oburzony, nie odzywałem się do niej całą noc. Rano spakowaliśmy toboły i byliśmy już w drodze, kiedyśmy spostrzegli, że jakiś tuzin jeźdźców depce nam po piętach. Fanfaronom andaluzyjskim, którzy mieli w gębie jedynie śmierć i po-

żogę, zrzędała mocno mina. Wszystko zaczęło zmykać. Jedyne Dancaire, Garcja, ładny chłopak z Ecija nazwiskiem Remendado i Carmen nie stracili głowy. Reszta zostawiła muły i rzuciła się w wyrwy, gdzie konie nie mogły ich ścigać. Nie mogąc zachować naszych bydła, zdjeliśmy z nich najlepszą część łupu i naładowawszy ją na ramiona, próbowaliśmy zmykać skałami przez najstrome urwiska. Rzucaliśmy toboły przed siebie i goniliśmy je, jakieśmy mogli, ślizgając się na piętach.

Tymczasem nieprzyjaciel wciąż nas ostrzeliwał; pierwszy raz usłyszałem koło uszu świst kul, i nie wzruszyło mnie to zbyt. Kiedy na człowieka patrzy kobieta, mała to zasługa drzwi sobie ze śmierci. Wymknęliśmy się, z wyjątkiem biednego Remendado, który dostał postrzał w krzyż. Rzuciłem swój tobolek i próbowałem rannego unieść.

– Głupcze! – krzyknął na mnie Garcja. – Na co nam się zda padlina? Dokończ go i nie trać czasu.

– Rzuć go! – wołała Carmen.

Zmęczenie kazało mi złożyć go na chwilę za wystającą skałą. Garcja podszedł i wypalił mu z garłacza w łeb.

– Sprytny będzie, kto go teraz pozna – rzekł patrząc na twarz, którą dwanaście kul poszarpało w kawałki.

Oto, panie, piękne życie, jakie wiodłem. Wieczorem znaleźliśmy się w gąszczu, wyczerpani, znużeni, nie mając nic do jedzenia, zrujnowani stratą mułów. Cóż robi ten piekielnik Garcja? Dobywa z kieszeni talię kart i zaczyna grać z Dancairem przy blasku ognia, który rozpalili. Przez ten czas leżałem patrząc na gwiazdy, myślałem o Remendado i powiadałem sobie, że chętnie bym się z nim zamienił.

Carmen siedziała na ziemi przy mnie i od czasu do czasu podzwaniała kastanietami nucąc. Potem, zbliżywszy się, jak gdyby chcąc mi coś rzec do ucha, ucałowała mnie prawie przemocą parę razy.

– Ty jesteś diabeł – mówiłem.

– Tak – odpowiadała.

Po kilku godzinach spoczynku udała się do Gaucin; nazajutrz rano mały koziarek przyniósł nam chleba. Przesiedzieliśmy tam cały dzień, a w nocy zbliżyliśmy się do Gaucin. Czekaliśmy nowin od Carmen. Nic nie nadchodziło. Z nastaniem dnia widzimy mulnika, który prowadzi kobietę wytwornie ubraną, pod parasolką oraz małą dziewczynkę, wyglądającą na jej pokojówkę. Na to Garcja:

– Oto dwa muły i dwie kobiety, które zsyła nam święty Mikołaj; wołałbym cztery muły; ale mniejsza, podejmuję się z nimi załatwić!

Wziął rusznicę i zaczął iść ku drodze, kryjąc się w zaroślach. Dancaire i ja szliśmy tuż za nim. Kiedyśmy podeszli dość blisko, pokazaliśmy się i krzyknęliśmy na mulnika, aby się zatrzymał. Widząc nas, kobieta, zamiast się przestraszyć – a nasz strój wystarczyłby na to – parsknęła głośnym śmiechem.

– Och! och! ci *lilipendi* (głupcy) biorą mnie za *erani* (przyzwoitą kobietę)!

Była to Carmen, lecz tak doskonale przebrana, że ja sam nie byłbym jej poznał, gdyby mówiła innym językiem. Zeskoczyła z muła, poszeptowała chwilę z Dancairem i Garcją, po czym rzekła do mnie:

– Kanarku, zobaczymy się, nim będziesz wisiał. Jadę do Gibraltaru, w sprawach Egiptu. Usłyszycie niebawem o mnie.

Przed rozstaniem wskazała nam miejsce, gdzie byśmy mogli znaleźć schronienie na kilka dni. Ta dziewczyna była Opatrznością naszej bandy. Otrzymaliśmy niebawem trochę pieniędzy, które nam przesłała, i wiadomość, która była warta więcej: że tego a tego dnia rusza w drogę dwóch lordów angielskich, jadąc z Gibraltaru do Grenady tą a tą drogą. Mądrej głowie dość na słowie. Mają z sobą piękne i ważne gwinee. Garcja chciał ich zabić, ale Dancaire i ja

sprzeciwiliśmy się temu. Wzięliśmy im tylko pieniądze i zegarki; no i koszule, które nam były bardzo potrzebne.

Panie, człowiek staje się łajdakiem ani wiedząc o tym. Ładna dziewczyna opęta cię, pobięsz się dla niej, zdarzy się nieszczęście, trzeba żyć w górach i z przemytnika stajesz się złodziejem, nim się obejrzyysz. Uznaliśmy, że niezdrowo jest nam zostać w okolicach Grenady po sprawie milordów, i zapuściliśmy się w Sierra de Ronda. Wspomniał mi pan o Jos□m-Marii, tam właśnie zawarłem z nim znajomość. Brał z sobą kochankę swoją na wyprawy. Była to ładna dziewczyna, obyczajna, skromna, przyzwoita w obejściu, nigdy brzydkiego słowa, i jak oddana!... Za to on obchodził się z nią strasznie. Gonił za lada spódnicą, znęcał się nad nią, a od czasu do czasu wyprawiał sceny zazdrości.

Pewnego dnia pchnął ją nożem. I cóż, ona kochała go tym mocniej! Kobiety są już takie, zwłaszcza Andaluzyjki. Ta była dumna z blizny, którą miała na ramieniu; pokazywała ją niby najpiękniejszą rzecz na świecie. Przy tym Jos□-Maria, na dobitkę, był bardzo złym kolegą!... W wyprawie, którą odbyliśmy razem, urządził się tak, że cały zysk przypadł jemu, a nam guzy i kłopoty. Ale wracam do mojej historii. Zginął wszelki słuch o Carmen. Dancaire rzekł:

– Trzeba, aby jeden z nas poszedł do Gibraltaru dowiedzieć się o niej czego; musiała przygotować jakąś psotę. Poszedłbym ja, ale zanadto znają mnie w Gibraltarze.

Jednooki rzekł:

– I mnie znają, wypłatałem tyle figłów *Rakom* (nazwa Anglików, od czerwonych mundurów)! Że zaś mam tylko jedno oko, trudno mi się przebrać.

– Mam więc ja iść? – rzekłem, upojony na samą myśl o zobaczeniu Carmen. – Mówcie, co trzeba zrobić.

Tamci rzekli:

– Zrób tak: jedź wodą albo idź przez Saint-Roc, jak wolisz, a kiedy będziesz w Gibraltarze, spytaj w porcie, gdzie mieszka handlarka czekolady imieniem Rollona. Znajdziesz ją i dowiesz się, co się dzieje.

Stało na tym, że wszyscy trzej pójdziemy do *sierry* Gaucin, że tam zostawię moich dwóch towarzyszy i udam się do Gibraltaru jako handlarz owoców. W Ronda nasz człowiek postarał mi się o paszport; w Gaucin dano mi osła: naładowałem go pomarańczami i melonami i puściłem się w drogę. Skorom przybył do Gibraltaru, okazało się, że znają tam Rollonę, ale że umarła, lub też poszła do *finibus terrae* (na galery, lub też do wszystkich diabłów); to jej zniknięcie tłumaczyło, moim zdaniem, dlaczego straciliśmy kontakt z Carmen. Umieściłem osła w stajni i wziąwszy pomarańcze, szedłem przez miasto, rzekomo, aby je sprzedać, w istocie, aby zobaczyć, czy nie spotkam znajomej twarzy. Jest tam moc kanalii ze wszystkich kątów świata, istna wieża Babel, nie można zrobić dziesięciu kroków, aby nie usłyszeć tyluż języków. Widziałem Egipcjan (Cyganów), ale nie śmiałem im zaufać; ja ich macałem i oni mnie macali. Zgadywaliśmy wzajem, że jesteśmy łajdaki; grunt zgadnąć, czy z tej samej bandy. Po dwóch dniach daremnej włączęgi nie dowiedziałem się niczego o Rollonie ani o Carmen i miałem wracać do towarzyszy poczyniwszy parę sprawunków, kiedy przechodząc się po ulicy o zachodzie słońca, słyszę kobiecy głos, który woła na mnie: «Hej tam, pomarańcze!...» Podnoszę głowę i widzę na balkonie Carmen wspartą o poręcz obok oficera w czerwonym mundurze, złotych epoletach, z ufryzowaną głową i miną wielkiego milorda. Ona sama ubrana była wspaniale: szal na ramionach, złoty grzebień, cała w jedwabiach, i dopieroż szelma – zawsze ta sama! – śmieje się, aż trzyma się za boki. Anglik, kalecząc hiszpański, woła, abym wszedł, że pani chce pomarańcze; a Carmen powiada po baskijsku:

– Wchodź i nie dziw się niczemu.

Nie, w istocie, nie powinno mnie było dziwić z jej strony. Nie wiem, czy uczułem więcej radości czy bólu odnajdując ją. Stał tam w drzwiach służący Anglik, rosły, upudrowany, który mnie wprowadził do wspaniałego salonu. Carmen rzekła natychmiast po baskijsku:

– Nie umiesz ani słowa po hiszpańsku, nie znasz mnie.

Po czym, zwracając się do Anglika:

– Mówiłam ci, zaraz poznałam, że to Bask, usłyszysz, co to za pocieszny język. Jaką on ma głupią minę, prawda? Rzekłbyś, kot przyłapany w spizarni.

– A ty – rzekłam do niej w moim języku – masz minę beczelnej hultajki i mam ochotę przeorać ci facjatę w obecności twego gacha.

– Mój gach? – rzekła. – Doprawdy sameś to odgadł? Zazdrosny jesteś o tego dudka? Jesteś jeszcze większy głuptas, niż zanimes zaczął bywać przy ulicy Candilejo. Nie widzisz, głupcze, że ja pracuję dla spraw Egiptu, i to w najwspanialszy sposób. Ten dom jest mój, gwinee *Raka* będą moje; wodzę go za nos, zawiodę go tam, skąd nie wróci nigdy.

– A ja – rzekłam – powiadam ci, że jeśli jeszcze będziesz pracować dla spraw Egiptu w ten sposób, wnet zrobię koniec z tym wszystkim.

– Ho, ho! Patrzcie! Czy ty jesteś mój *rom*, żeby mną rządzić? Jednooki nic nie mówi, a co ty masz do gadania? Czyś nie powinien być szczęśliwy, że ty jeden możesz się uważać za mego *minchorro* (kochanek, kaprys)?

– Co on mówi? – spytał Anglik.

– Że ma pragnienie i że napiłby się czego – odparła Carmen.

I przewróciła się na kanapę, śmiejąc się do rozpuku ze swego tłumaczenia.

Panie, kiedy ta dziewczyna się śmiała, nie było sposobu mówić rozsądnie. Kto żył, śmiał się wraz z nią. Ten dryblas Anglik zaczął się śmiać również – ot, głupiec! – i kazał, aby mi przyniesiono pić.

Gdy piłem, ona rzekła:

– Widzisz ten pierścionek, który ma na palcu? Jeśli chcesz, dam ci go.

Odparłam:

– Dałbym palec, aby spotkać twego milorda w górach, każdy z *maquila* (okuty kij) w garści.

– *Maquila*, co to znaczy? – spytał Anglik.

– *Maquila* – rzekła Carmen śmiejąc się – to pomarańcza. Czy to nie jest uciészne słowo na pomarańczę? Mówi, że chciałby poczęstować się *maquila*.

W czasie tej rozmowy wszedł służący i oznajmił, że obiad gotów. Wówczas Anglik wstał, dał mi piasra i podał ramię Carmen, jak gdyby nie mogła chodzić sama. Carmen, śmiejąc się ciągle, rzekła do mnie:

– Mój chłopcze, nie mogę cię zaprosić na obiad; ale jutro, skoro tylko usłyszysz capstrzyk na paradę, przychodź tu z pomarańczami. Znajdziesz pokój lepiej umeblowany niż przy ulicy Candilejo i przekonasz się, czy jestem zawsze twoja Carmencita. A potem pomówimy o sprawach Egiptu.

Nie odpowiedziałem nic; byłem już na ulicy, kiedy Anglik krzyczał za mną:

– Przynies jutro *maquile*! – i słyszałem wybuchy śmiechu Carmen.

Wyszedłem nie wiedząc, co zrobię, nie spałem, rano byłem tak wściekły na tę zdrajczynię, że postanowiłem opuścić Gibraltar nie widząc się z nią; ale z pierwszym uderzeniem bębna cała energia mnie opuściła: wziąłem naręcz pomarańcz i pobiegłem do Carmen. Żaluzja była uchylona: ujrzałem jej czarne oko wypatrujące mnie. Upudrowany lokaj wprowadził mnie natychmiast; Carmen dała mu jakieś zlecenie i skorośmy zostali sami, parsknęła swoim krockodylim śmiechem, rzucając mi się na szyję. Nigdy nie wydała mi się tak piękna. Ustrojona jak madonna, uperfumowana, meble jedwabne, haftowane firanki... ach!... i ja ubrany jak złodziej... którym też byłem.

– *Minchorro*! – mówiła Carmen. – Mam ochotę wszystko tu potłuc, podpalić dom i uciec w *sierre*.

I dopieroż pieszczoty!... i śmiech!... i tańczyła, i darła falbanki; żadna małpka nie nawyprawiała tyle skoków, minek, figłów. Później znowuż spoważniała.

– Słuchaj – rzekła – chodzi o Egipt. Chcę, aby mnie zawiózł do Ronda, gdzie mam siostrę zakonnicę... (Tu nowe wybuchy śmiechu). Przejedźmy przez miejsce, które ci wskażę. Wpadacie nań: oskubać do nitki! Najlepiej byłoby go zatłamsić, ale – dodała z szatańskim uśmiechem, który miewała w pewnych momentach i wówczas nikt nie miał ochoty śmiać się – czy wiesz, co by trzeba zrobić? Żeby Jednooki szedł pierwszy. Ty trzymaj się nieco z tyłu; *Rak* jest dzielny i zręczny, ma dobre pistolety... Rozumiesz?...

Przerwała sobie nowym wybuchem śmiechu, który przyprawił mnie o dreszcz.

– Nie – odparłem – nienawidzę Garcji, ale to mój kamrat. Pewnego dnia może uwolnię się od niego, ale załatwimy się z sobą obyczajem mego kraju. Jestem Cyganem jedynie z przypadku; w pewnych rzeczach zostanę zawsze szczerym Nawarczykiem.

Odparła:

– Jesteś głupiec, ciemiega, prawdziwy *payllo*. Jesteś jak karzeł, który myśli, że jest wielki, kiedy umie daleko pluwać. (Przysłowie cygańskie.) Nie kochasz mnie już, idź precz.

Kiedy ona mi mówiła «Idź precz», nie mogłem odejść. Przyrzekłem jechać, wrócić do kamratów i czatować na Anglika; nawzajem ona przyrzekła mi udawać chorą aż do chwili podróży. Zostałem jeszcze dwa dni w Gibraltarze. Miała to zuchwalstwo, aby przyjść do mnie przebrana do gospody. Puściłem się w drogę; i ja miałem swój plan. Wróciłem w miejsce umówione z towarzyszami, znając czas i okolice, w której Anglik i Carmen mieli się zjawić. Zastałem Dancaira i Garcję, którzy mnie oczekiwali. Spędziliśmy noc w lesie przy ogniu z szyszek, który doskonale się pali. Zaproponowałem Garcji, aby zagrał ze mną w karty; zgodził się. Przy drugiej partii powiedziałem mu, że oszukuje; zaczął się śmiać. Rzuciłem karty w twarz. Chciał chwycić rusznicę; przystąpiłem ją nogą i rzekłem: «Powiadają, że jesteś wielki gracz na noże; czy chcesz spróbować się ze mną?» Dancaire starał się nas rozłączyć. Uderzyłem parę razy Garcję pięścią. Wściekłość uczyniła go odważnym; dobył swego noża, ja również. Rzekliśmy Dancairowi, aby nam zostawił wolne pole i nie mieszał się. Widząc, że nie ma sposobu nas powstrzymać, usunął się. Garcja zebrał się już w sobie, niby kot gotowy rzucić się na mysz. Trzymał kapelusz w lewej ręce, aby chwytać ciosy, prawą z nożem wysunął ku przodowi. To ich moda andaluzyjska. Ja stanąłem po nawarsku, na wprost niego, z podniesioną lewą ręką, z lewą nogą naprzód, z nożem przy prawym udzie. Czuję się silniejszy od olbrzyma. Rzucił się na mnie jak strzała, okręciłem się na lewej nodze tak, iż uderzył w próżnię; ale ja ugodziłem go w gardło; nóż wszedł tak głęboko, że ręka moja znalazła się pod brodą. Obróciłem ostrze tak mocno, że się złamało. Miał dość. Ostrze długości ramienia wyszło z rany wypchnięte strumieniem krwi. Padł na twarz, wałąc się jak kłoda.

– Coś ty zrobił? – rzekł Dancaire.

– Słuchaj – rzekłem – za dużo było jednego z nas na świecie. Kocham Carmen i chcę mieć ją sam. Zresztą Garcja był łajdak; pamiętam, co zrobił z biednym Remendado. Jest nas już tylko dwóch, ale jesteśmy szczerze chłopcy. Powiedz, chcesz być moim druhem na śmierć i życie?

Dancaire podał mi rękę. Był to mężczyzna pięćdziesięcioletni.

– Do czarta z miłośkami! – krzyknął. – Gdybyś poprosił go o Carmen, byłby ci ją sprzedał za piasra. Jest nas tylko dwóch; jakże sobie damy radę jutro?

– Zostaw to mnie – odparłem. – Teraz drwię sobie z całego świata.

Pogrzebaliśmy Garcję i przenieśliśmy obóz o dwieście kroków dalej. Nazajutrz nadjechała Carmen ze swoim Anglikiem, dwoma mulnikami i służącym. Rzekłem do Dancaira:

– Biorę na siebie Anglika. Nastraszę tamtych, są bez broni.

Anglik nie był tchórzem. Gdyby go Carmen nie trąciła w ramię, byłby mnie zabił. Krótko mówiąc, odzyskałem Carmen tego dnia; pierwszym moim słowem było powiedzieć jej, że jest wdową. Wysłuchawszy, jak się to stało, rzekła:

– Ty zawsze będziesz dudek! Garcja powinien cię był zabić. Twoja nawarska sztuka to głupstwo; pochował on już tęższych od ciebie. Ale widać jego czas przyszedł. I twój przyjdzie.

– I twój – odparłem – jeśli nie będziesz dla mnie szczerą *romi*.

– Doskonale – rzekła – widziałam niejednego raz w fusach od kawy, że mamy skończyć razem. Ba! przyjdą inni po nas!

I zadzwoniła w kastaniety, jak czyniła zawsze, ilekroć chciała spędzić jakąś niewczesną myśl.

Człowiek traci miarę, kiedy mówi o sobie. Wszystkie te szczegóły nudzą pana może, ale niebawem skończę. Życie, któreśmy wiedli, trwało dość długo. Dancaire i ja pozyskaliśmy kilku nowych towarzyszy, pewniejszych niż dawni, i trudniliśmy się przemytnictwem, a niekiedy, trzeba przyznać, i rozbojem na gościńcu, ale to tylko w ostateczności, kiedy nie było sposobu inaczej. Zresztą, nie czyniliśmy krzywdy podróżnym; poprzestawaliśmy na tym, żeśmy im odbierali pieniądze. Przez kilka miesięcy byłem zadowolony z Carmen; była nam pomocna we wszystkich przedsięwzięciach, wskazując gratki, które się nastreczały. Przebywała to w Maladze, to w Kordowie, to w Grenadzie, ale na jedno moje słowo rzucała wszystko, aby się ze mną spotkać w ustronnej gospodzie lub nawet w biwaku. Raz tylko – było to w Maladze – dała mi przyczynę do niepokoju. Dowiedziałem się, że wzięła na oko bogatego kupca, z którym prawdopodobnie zamierzała powtórzyć figiel z Gibraltaru. Mimo perswazji Dancaira, który chciał mnie zatrzymać, pogałem, wpadłem do Malagi w biały dzień, odszukałem Carmen i zabrałem ją z sobą. Przyszło do gwałtownych wyjaśnień.

– Czy wiesz – rzekła – że od czasu, jak jesteś na dobre moim *rom*, mniej cię kocham, niż kiedy byłeś moim *minchorro*. Ja nie lubię, aby mnie kto dręczył, a zwłaszcza, aby nade mną przewodził. Chcę być wolna, robić, co mi się podoba. Uważaj, abyś nie przeciągnął struny. Skoro mnie znudzisz, znajdę tęgiego chłopca, który zrobi z tobą to, co ty z Jednookim.

Dancaire pojednał nas; ale powiedzieliśmy sobie rzeczy, które zostają na sercu, i nie byliśmy już z sobą tak jak wprzód. Wkrótce zdarzyło się nam nieszczęście. Osaczyło nas wojsko. Dancaire padł, a z nim dwaj towarzysze; dwóch innych pochwycono. Ja otrzymałem ciężką ranę; gdyby nie mój dobry koń, byłbym wpadł w ręce żołnierzy. Wyczerpany znużeniem, mając kulę w ciele, ukryłem się w lesie z jednym kamratem, który mi został. Zsiadając z konia zemdlałem; myślałem, że zdechnę już w krzakach jak zając postrzelony śrutem. Towarzysz zaniósł mnie do znanej nam groty, poszedł po Carmen. Była w Grenadzie; przybyła natychmiast. Dwa tygodnie nie opuściła mnie ani na chwilę. Nie zmrużyła oka, pielęgnowała mnie z umiejętnością i względami, jakich chyba żadna kobieta nie miała dla najukochańszego mężczyzny. Skoro tylko mogłem utrzymać się na nogach, zaprowadziła mnie w największej tajemnicy do Grenady. Cyganki umieją wszędzie znaleźć bezpieczne schronienie; spędziłem tam sześć tygodni w pewnym domu, o dwie bramy od koregidora, który mnie szukał. Widziałem go niejednego raz, przez przymknięte okiennice. Wreszcie przyszedłem do siebie; ale na moim łożu boleści przemyślałem wiele rzeczy i postanowiłem odmienić życie. Wspomniałem Carmen o tym, aby opuścić Hiszpanię i starać się żyć uczciwie w Nowym Świecie. Wyśmiała mnie.

– Nie jesteśmy stworzeni na to, by sadzić kapustę; nasza dola to żyć kosztem *payllos*. Słuchaj, ubiłam interes z Natanem ben-Józefem z Gibraltaru. Chodzi o bawełniane materie, które czekają tylko na ciebie, aby przejść roгатkę. Wie, że żyjesz. Liczy na ciebie. Co by powiedzieli nasi wspólnicy z Gibraltaru, gdybyś im chybił słowa?

Dałem się wciągnąć i znów podjąłem swoje szpetne rzemiosło.

Podczas gdy ja się kryłem w Grenadzie, były tam walki byków, na które Carmen poszła. Za powrotem wiele mówiła o bardzo zręcznym pikadorze imieniem Łukasz. Znała imię jego konia, wiedziała, ile kosztuje jego haftowany kubrak. Nie zwróciłem na to uwagi. Juanito, ów towarzysz, który mi pozostał, powiedział mi w kilka dni później, że widział Carmen z Łuka-

szem w jakimś sklepie. Zaczęło mnie to niepokoić. Spytałem Carmen, jak i w jakim celu za-
znajomiła się z pikadorem.

– To chłopak – rzekła – z którym warto gadać. W rzece, która szumi, jest woda albo ka-
mien. (Przysłowie cygańskie.) Zarobił tysiąc dwieście realów na walkach. Jedno albo dru-
gie: albo trzeba wyciągnąć zeń te pieniądze, albo też, ponieważ jest dobry jeździec i tęgi
chwat, można go przyjąć do naszej bandy. Ten i ów zginął, trzeba ich zastąpić. Weź go z so-
bą.

– Nie chcę – odparłem – ani jego pieniędzy, ani jego samego, i zabraniam ci odzywać się
doń.

– Uważaj – odparła – kiedy mi ktoś czego zabrania, tylko patrzeć, jak to się stanie.

Szczyściem pikador wyjechał do Malagi, ja zaś poczytywałem sobie za obowiązek prze-
myć żydowską bawełnę. Miałem dużo do roboty w tej wyprawie, Carmen także; zapomnia-
łem o Łukaszu. Może i ona zapomniała o nim, przynajmniej na tę chwilę. W owym to czasie
spotkałem pana; najpierw w okolicy Mantilli, później w Kordowie. Nie będę panu nic mówił
o naszym ostatnim widzeniu. Może pan wie o nim więcej ode mnie. Carmen ukradła panu
zegarek; chciała też pańskich pieniędzy, a zwłaszcza tego pierścionka, który widzę na pań-
skim palcu. Powiadała, że to pierścionek magiczny i że jej na nim, bardzo zależy. Mieliśmy
gwałtowną sprzeczkę, uderzyłem ją. Zbladła, rozplakała się. Pierwszy raz widziałem ją płą-
czącą, zrobiło to na mnie straszne wrażenie. Przeprosiłem ją, ale dąsała się na mnie cały ty-
dzień; kiedy jechałem do Mantilli, nie chciała mnie uściskać. Ciężko mi było na sercu, ale w
trzy dni później zjawiała się z jasną twarzą, wesoła jak szczygieł. Wszystko poszło w niepa-
mięć, byliśmy niby para najczulszych kochanków. W chwili gdyśmy się mieli rozstać, rzekła:

– Jest zabawa w Kordowie, chcę ją zobaczyć, przy tym wypatrzę ludzi, którzy wracają z
pieniędzmi, i powiem ci.

Pozwoliłem jej odjechać. Zostawszy sam, dumałem o tej zabawie i o odmianie humoru
Carmen. Musiała już się zemścić, rzekłem sobie, skoro wróciła pierwsza. Wieśniak jakiś po-
wiedział mi, że w Kordowie są byki. Krew zakipiała we mnie; pędzę jak szalenciec, przyby-
wam do cyrku. Pokazano mi Łukasza; na ławeczce przy barierze poznałem Carmen. Wystar-
czyło mi widzieć ją przez minutę, aby zyskać pewność. Łukasz, przy pierwszym byku, złożył
jej hołd, jak przewidywałem. Zerwał kokardę⁹ z byka i zaniósł ją Carmen, która ustroiła się w
nią natychmiast. Byk pomścił mnie: Łukasz padł z koniem, który przygniótł mu pierś, byk
zwałił się na nich obu. Spojrzałem w stronę Carmen, nie było jej już. Niepodobna mi było
wydostać się ze swego miejsca; musiałem czekać końca zapasów. Wówczas udałem się do
domu, który pan zna, i siedziałem tam spokojnie do późnej nocy. Około drugiej rano Carmen
wróciła i zdziwiła się nieco moim widokiem.

– Chodź ze mną – rzekłem.

– Dobrze, jedźmy! – odparła.

Poszedłem po konia, posadziłem ją za sobą, jechaliśmy całą noc nie mówiąc słowa. O
brzasku zatrzymaliśmy się w ustronnej gospodzie, dość blisko małej pustelni. Tam rzekłem
do Carmen:

– Słuchaj, zapomnę o wszystkim. Nie powiem ci o tym nigdy ani słowa; ale przysięgnij mi
jedno, że pojedziesz ze mną do Ameryki i że będziesz tam żyła uczciwie.

– Nie – odparła z dąsem – nie chcę jechać do Ameryki. Dobrze mi tutaj.

– Dlatego, że jesteś blisko Łukasza; ale pomyśl, jeśli się wyliże, i tak nie czeka go długie
życie. Ba, zresztą, co mi do niego! Za dużo roboty zabijać wszystkich twoich kochanków;
ciebie zabiję.

Wpiła we mnie swoje dzikie spojrzenie i rzekła:

⁹ *La divisa*, pęk wstążek kolorem swoim oznaczających pastwisko, z którego byk pochodzi. Pęk ten przymoco-
wany jest do skóry byka za pomocą haczyka, a szczytem galanterii jest wyrwać go żywemu zwierzęciu i ofiaro-
wać kobiecie.

– Zawsze myślałam, że mnie zabijesz. Za pierwszym razem, kiedy cię ujrzałam, spotkałam księdza pod bramą. A tej nocy wyjeżdżając z Kordowy, czy nic nie zauważyłeś? Zając przebiegł nam drogę tuż pod kopytami konia. Tak jest napisane.

– Carmencita – spytałem – czy ty mnie już nie kochasz?

Nie odpowiedziała nic. Siedziała ze skrzyżowanymi nogami na pleciance i kreśliła po ziemi palcem.

– Odmieńmy życie, Carmen – mówiłem błagalnie. – Chodźmy żyć gdzieś, gdzie się nigdy nie będziemy rozłączali. Ty wiesz, że mamy niedaleko stąd, pod dębem, zakopanych sto dwadzieścia uncyj... A także mamy pieniądze u Żyda ben-Józefa.

Uśmiechnęła się i rzekła:

– Ja najpierw, ty potem. Wiem, że tak ma być.

– Zastanów się – podjąłem – cierpliwość moja, siła wyczerpały się; decyduj się, albo ja się zdecyduję.

Opuściłem ją i poszedłem w stronę pustelni. Zastałem pustelnika na modlitwie. Czekałem, aż skończy; bardzo byłbym chciał się modlić, ale nie mogłem. Kiedy wstał, podszedłem ku niemu.

– Mój ojciec – rzekłem – czy zechcesz pomodlić się za kogoś, kto jest w wielkim niebezpieczeństwie?

– Modlę się za wszystkich strapionych – odparł.

– Czy mógłbyś odprawić mszę za duszę, która stanie może przed swoim Stwórcą?

– Tak – odparł, wpatrując się we mnie pilnie. I jak gdyby dojrzał w mojej twarzy coś szczególnego, chciał mnie wyciągnąć na słowa:

– Zdaje mi się, że ja cię gdzieś widziałem – rzekł. Położyłem piasra na ławce.

– Kiedy odprawisz mszę, ojciec? – spytałem.

– Za pół godziny. Syn oberżysty przyjdzie mi posłużyć. Powiedz mi, chłopcze, czy nie masz na sumieniu czegoś, co cię dręczy? Czy chcesz posłuchać rady chrześcijanina?

Czułem się bliski płaczu. Odpowiedziałem, że wrócę, i uciekłem. Poszedłem położyć się na trawie, do chwili gdy usłyszę dzwonek. Wówczas zbliżyłem się, ale nie wszedłem do kaplicy. Skoro msza się skończyła, wróciłem do gospody. Miałem nadzieję, że Carmen uciekła; mogła wziąć mego konia i umknąć... ale zastałem ją. Nie chciała, aby można było rzec, że się mnie zlekła. W czasie mojej nieobecności rozpruła rąbek sukni, aby wyjąć ołów. Obecnie siedziała przy stole, patrzyła w miskę pełną wody, w którą świeżo lała ołów, kazawszy go stopić. Była tak zajęta, że nie spostrzegła zrazu mego powrotu. To brała kawałek ołowiu to obracała go na wszystkie strony z wyrazem smutku, to śpiewała jakąś czarnoksięską piosenkę z zaklęciami do Marii Padilla, kochanki don Pedra, która była, jak mówią, *Bari Cralissa*, czyli wielką królową Cyganów.

– Carmen – rzekłem – chcesz iść ze mną? – Wstała, rzuciła drewnianą miseczkę i włożyła mantylkę na głowę, jakby gotowa do drogi. Przyprawiono mi konia, siadła za mną i ruszyliśmy.

– Zatem – rzekłem, skorośmy ujechali kawałek – Carmen moja, chcesz iść ze mną, prawda?

– Iść za tobą w śmierć, tak; ale nie będę już żyła z tobą.

Znaleźliśmy się w ustronnym wąwozie; zatrzymałem konia.

– To tu? – rzekła.

Jednym skokiem była na ziemi. Zdjęła mantylkę, rzuciła ją sobie pod nogi i stała nieruchomo z ręką na biodrze, patrząc na mnie bystro.

– Chcesz mnie zabić, widzę to dobrze – rzekła – tak jest pisane; ale nie sprawisz, abym ustąpiła.

– Proszę cię – mówiłem – bądź rozsądna. Słuchaj mnie! Wszystko, co było, zapomniane. Pomyśl, wiesz o tym, to ty mnie zgubiłaś; dla ciebie zostałem złodziejem i mordercą. Carmen! moja Carmen! pozwól mi ocalić cię i ocalić siebie wraz z tobą!

– Jos □ – odparła – żądasz niepodobieństwa. Nie Kocham cię już; ty mnie jeszcze Kochasz i dlatego chcesz mnie zabić. Mogłabym cię jeszcze okłamywać, ale nie chce mi się tego trudu. Wszystko skończone między nami. Jako mój *rom*, masz prawo zabić swoją *romi*; ale Carmen zawsze będzie wolna. Urodziła się *kalli*, jako *kalli* umrze.

– Kochasz tedy Łukasza? – spytałem.

– Tak, kochałam go jak ciebie, przez chwilę, mniej może niż ciebie. Obecnie nie Kocham już nic i brzydzę się sobą, że cię kochałam.

Rzuciłem się do jej nóg, ująłem jej ręce, wilżąc je łzami. Przypominałem jej wszystkie szczęsne chwile, które spędziliśmy razem. Ofiarowałem się zostać rozbójnikiem, byle zachować jej miłość. Wszystko, panie; ofiarowałem jej wszystko, byle mnie chciała Kochać jeszcze!

Rzekła:

– Kochać cię jeszcze, to niemożliwe. Życ z tobą dłużej – nie chcę.

Wściekłość mnie ogarnęła. Wyjąłem nóż. Byłbym chciał, aby się zlekła i prosiła mnie o litość, ale ta kobieta to był wcielony czart.

– Po raz ostatni – krzyknąłem – chcesz zostać ze mną?

– Nie! nie! nie! – rzekła tupiąc nogą. Zdjęła z palca pierścionek, który jej niegdyś dałem, i rzuciła go w krzaki.

Ugodziłem dwa razy. Był to nóż Garcji, który wziąłem, złamawszy na nim swój. Za drugim ciosem padła bez krzyku. Zdaje mi się, że widzę jeszcze jej wielkie czarne oko patrzące na mnie uparcie; potem zamgliło się i przymknęło. Stałem dobrą godzinę bezwładny nad trupem. Potem przypomniałem sobie, że Carmen mawiała często, że chciałaby być pochowana w lesie. Wykopałem jej grób nożem i złożyłem ją w nim. Długo szukałem jej pierścionka; znalazłem go wreszcie. Włożyłem go do dołu obok niej wraz z małym krzyżykiem. Może źle uczyniłem. Następnie dosiadłem konia, pocwałowałem do Kordowy i przy pierwszej strażnicy rzekłem, kim jestem. Powiedziałem, że zabiłem Carmen; ale nie chciałem zdradzić, gdzie leży jej ciało. Pustelnik był święty człowiek. Modlił się za nią! Odprawił mszę za jej duszę... Biedne dziecko! To oni są winni, że ją tak wychowali...”.

Hiszpania jest krajem, w którym można dziś spotkać w większej liczbie owe koczujące plemiona rozsypane po całej Europie, a znane pod nazwą *Bohémien*s, *Gitanos*, *Gypsies*, Cyganów. Większość ich mieszka lub raczej koczuje w prowincjach południowych i wschodnich, w Andaluzji, w Estramadurze, w królestwie Murcji; sporo ich jest w Katalonii. Ci przechodzą często do Francji: spotyka się ich u nas po wszystkich jarmarkach na południu. Zwyczaj ludzie ci praktykują rzemiosło koniarzy, konowałów i postrzygaczy mułów; z rzemiosłem tym łączą umiejętność naprawiania rynek i naczyń miedzianych, nie mówiąc o przemytnictwie i innych niedozwolonych praktykach. Kobiety wróżą, żebrzą i sprzedają wszelkie rodzaje leków, niewinnych lub mniej niewinnych.

Typ fizyczny Cyganów łatwiej jest rozpoznać niż opisać; gdy się widziało jednego, poznałoby się wśród tysiąca ludzi osobnika tego szczepu. Fizjonomia, wyraz, oto zwłaszcza co ich różni od miejscowej ludności. Płeć ich jest bardzo smągła, zawsze ciemniejsza od cery ludności, wśród której żyją. Stąd miano *Kale*, czarni, którym określają się często¹⁰. Oczy ich wybitnie skośne, ładnie wykrojone, bardzo czarne, ocienione są długimi i gęstymi rzęsami; wzrok ich można porównać jedynie do wzroku dzikiego zwierzęcia. Zuchwalstwo i lękliwość malują się w nim równocześnie; pod tym względem oczy ich wyrażają dość wiernie charakter narodu, chytry, śmiały, ale z natury lękający się – jak Panurg – guzów¹¹. Mężczyźni są przeważnie dobrze zbudowani, zręczni, zwinni; nie pamiętam, abym kiedy widział otyłego Cygana. W Niemczech, Cyganki są bardzo ładne; wśród Gitan hiszpańskich piękność jest nader rzadka. Bardzo młode mogą uchodzić za sympatyczne brzydule, ale po dziecku stają się ohydne. Niechlujstwo obu płci jest czymś niewiarygodnym; kto nie widział włosów matrony cygańskiej, z trudem wytworzy sobie o nich pojęcie, nawet wyobrażając sobie szczer najbardziej twardą, tłustą, nabita kurzem. W większych miastach Andaluzji młode dziewczyny, powabniejsze od innych, bardziej dbają o siebie. Te chodzą tańczyć za pieniądze – tańce ich bardzo są podobne do tych, których zabroniono u nas na balach publicznych w karnawale. Pastor Borrow, misjonarz angielski, autor dwóch interesujących dzieł o hiszpańskich Cyganach, których zamierzał nawrócić na koszt Towarzystwa Biblijnego, upewnia, iż bez przykładu jest, aby Gitana dopuściła do siebie mężczyznę obcej rasy. Zdaje mi się, że jest wiele przesady w pochwałach, jakie oddaje ich czystości. Zresztą większość jest w położeniu owej brzyduli z Owidiusza: *Casta quam nemo rogavit*. Co się tyczy ładnych, są, jak wszystkie Hiszpanki, trudne w wyborze kochanka. Trzeba im się podobać, trzeba je sobie zasłużyć. Pastor Borrow przytacza jako dowód ich cnoty rys, który przynosi zaszczyt jego własnej cnoty, a zwłaszcza naiwności. Ktoś z jego znajomych, człowiek niemoralny, ofiarował, rzekomo bez skutku, kilka uncji złota ładnej Gitanie. Andaluzyjczyk, któremu powtórzyłem tę anegdotkę, orzekł, iż ów niemoralny człowiek łatwiej dopiąłby celu, pokazując dwa albo trzy piastry; ofiarować kilka uncj złota Cygance było równie lichym argumentem, co przyrzekać jeden lub dwa miliony pomywacze w gospodzie. Jak bądź się rzeczy mają, to pewne, że Gitany okazują swoim mężom nadzwyczajne oddanie. Nie ma niebezpieczeństwa ani utrapienia, na które by się nie narażały, aby im pomóc w złej doli. Jedno z mian, jakie sobie dają Cyganie, *rome*, czyli małżonkowie, świadczy o czci tego plemienia dla instytucji małżeństwa. W ogóle

¹⁰ Zdaje mi się, że Cyganie niemieccy, mimo, że doskonale rozumieją słowo *Kale*, nie lubią aby ich tak nazywano. Nazywają się między sobą *Romane czawe*.

¹¹ Rabelais, Pantagruel.

można powiedzieć, że ich główną cnotą jest patriotyzm, jeśli tak można nazwać wiarę, której strzegą w stosunku do współplemieńców, ich gorliwość w pomaganiu sobie wzajem, niezłomna tajemnica, jaką zachowują w kompromitujących sprawach. Zresztą, we wszystkich tajnych stowarzyszeniach, będących poza prawem, widzi się coś podobnego.

Odwiedziłem przed kilku miesiącami bandę Cyganów koczujących w Wogezach. W namiocie starej Cyganki, najstarszej z gromady, znajdował się Cygan, nie z jej rodziny, nawiedzony śmiertelną chorobą. Człowiek ten opuścił szpital, gdzie miał troskliwą opiekę, aby umrzeć wśród swoich ziomeków. Od trzynastu tygodni leżał u swoich gospodarzy, zażywając o wiele większych wygód niż synowie i zięciowie żyjący pod tym samym dachem. Miał dobre posłanie ze słomy i mchu, z dość czystym prześcieradłem, gdy reszta rodziny – jedenaście osób – leżała na deskach na trzy stopy długich. Oto przykład ich gościnności. Ta sama kobieta, tak ludzka dla swego gościa, mówiła do mnie w obecności chorego: *Singo, singo, homte hi mulo*. (Niedługo, niedługo trzeba mu umrzeć.) Życie tych ludzi jest tak nędzne, że świadomość śmierci nie ma dla nich nic przerażającego.

Znamienny rys charakteru Cyganów to ich obojętność w sprawach religii. Nie iżby byli wolnomyślni lub sceptycy; nigdy nie zdradzają poglądów trącających niedowiarstwem. Wręcz przeciwnie, religię kraju, w którym mieszkają, przyjmują za swoją; ale zmieniając ojczyznę zmieniają i wiarę. Przesady, które u ludów pierwotnych zastępują uczucia religijne, są im również obce. Trudno w istocie, aby przesady istniały u ludzi żyjących najczęściej z łatwo-wierności drugich. Mimo to zauważyłem u hiszpańskich Cyganów wstręt do dotknięcia trupa. Mało który zgodzi się za pieniądze zanieść człowieka na cmentarz.

Wspomniałem, iż większość Cyganów trudni się wróżbiarstwem. Wywiązują się z tego bardzo dobrze. Ale co jest dla nich źródłem wielkich zysków, to sprzedaż talizmanów i lubczyków. Nie tylko mają w zapasie *ropusze łapy* dla ustalenia płochych serc lub sproszkowany kamień magnetyczny dla skłonienia serc nieczułych, ale robią w potrzebie potężne zaklęcia, zniewalające diabły, aby im użyczyły pomocy. Zeszłego roku pewna Hiszpanka opowiadała mi następującą historię: przechodziła raz ulicą Alkala, smutna i zadumana; Cyganka siedząca w kucki na chodniku krzyknęła do niej: „Paniusiu, śliczna paniusiu, kochanek cię zdradza. (Była to prawda.) Czy chcesz, paniusiu, abym ci go ściągnęła z powrotem?” Można zgadnąć, z jaką radością przyjęto tę propozycję i jaką ufność musiała budzić osoba zgadująca, ot tak, od pierwszego rzutu oka, najskrytsze tajemnice serca. Niepodobna było podjąć czarnoksięskich zabiegów na jednej z najludniejszych ulic Madrytu; umówiono tedy schadzkę na dzień następny. „Nic łatwiejszego, niż sprowadzić niewiernego do twoich stóp – rzekła Gitana. – Czy ma pani może chustkę, szarfę, mantylkę, które on ci dał?” Pani dała jej chustkę jedwabną. „Teraz zaszyj czerwonym jedwabiem piasra w róg chustki. W drugi róg zaszyj pół piasra; tu srebrnika; tam dwa reale. A teraz trzeba zaszyć w samym środku sztukę złota. Najlepiej dubeltowego dukata”. Zaszyto dukata i resztę. „A teraz daj mi, paniusiu, chustkę, zaniosę ją o samej północy do Campo Santo. Chodź ze mną, jeśli chcesz zobaczyć ładną diabelską sztuczkę. Przyrzekam ci, że nie dalej niż jutro ujrzysz przedmiot swego kochania”. Cyganka puściła się sama do Campo Santo, dama bowiem zanadto się bała diabła, by jej towarzyszyć. Możecie się domyśleć, czy biedna, opuszczona istota ujrzała kiedy chustkę i kochanka.

Mimo swej nędzy i mimo wstrętu, jaki budzą, Cyganie zażywają wszelako pewnego szacunku u ludzi ciemnych, i wielce są z tego dumni. Czują się rasą wyższą, inteligentniejszą, i gardzą serdecznie ludem, który im użycza gościnności. „Tutejsi ludzie są tak głupi, mówiła mi Cyganka z Wogezów, że nie ma żadnej sztuki ich oszukać. Któregoś dnia wieśniaczka woła mnie z ulicy; wchodzę do chaty. Piec dymił; prosiła mnie o zaczarowanie go, aby dobrze ciągnął. Kazałam sobie dać spory kawał słoniny, po czym zaczęłam mamrotać po naszymu jakieś wyrazy. «Głupia jesteś, mówiłam, urodziłaś się głupia, umrzesz głupia...» Kiedy się znalazłam blisko drzwi, rzekłam w czystej niemczyźnie: «Dam ci niezawodny sposób, aby ci piec nie dymił: nie pal w nim». I nogi za pas!”

Historia Cyganów jest jeszcze zagadką. Wiadomo tyle, że pierwsze ich gromady, bardzo nieliczne, pojawiły się we wschodniej Europie w początku XV wieku; ale nikt nie umie powiedzieć, ani skąd się wzięli, ani po co przybyli do Europy. Co osobliwsze, nie wiadomo zupełnie, w jaki sposób rozmnożyli się w krótkim czasie tak zdumiewająco w wielu okolicach bardzo od siebie oddalonych. Sami Cyganie nie zachowali żadnej tradycji swego pochodzenia; jeżeli większość z nich mówi o Egipcie jako o swej pierwotnej ojczyźnie, powtarzają bajkę od bardzo dawna krążącą w tej mierze.

Większość orientalistów, którzy badali język cygański, sądzi, iż wiedzą się oni z Indii. W istocie, zdaje się, że liczne źródłosłowy i wiele form gramatycznych języka *rommani* można odnaleźć w narzeczach pochodzących od sanskrytu. Zrozumiałe jest, że w swoich długich wędrówkach, Cyganie przyswoili sobie wiele wyrazów cudzoziemskich. We wszystkich dialektach *rommani* znajduje się obfitość słów greckich. Na przykład *cocal*, kość, od *kokkali*; *petalli*, podkowa, od *petalon*; *kafi*, gwóźdź, od *karfi*; etc. Dziś Cyganie mają prawie tyle odmiennych narzeczy, ile istnieje oddzielnych band cygańskich. Wszędzie mówią językiem kraju, który zamieszkują, bieglej niż własnym narzeczem, którym posługują się jedynie po to, aby się porozumiewać swobodnie wobec cudzoziemców. Jeśli się porówna dialekt Cyganów niemieckich z gwarą Cyganów hiszpańskich, nie stykających się z tamtymi od wieków, znajdzie się wielką ilość wspólnych słów; ale wszędzie, mimo iż w różnym stopniu, pierwotny język skaził się przez zetknięcie z językami bardziej wykształconymi, którymi ten koczujący lud musiał się posługiwać. Z jednej strony niemiecki, z drugiej hiszpański tak bardzo przeobraziły pierwotne *rommani*, że Cyganowi ze Szwarzwaldu niepodobna byłoby rozmówić się z którymś z braci andaluzyjskich, mimo że starczyłoby wymiany kilku zdań, aby poznać, że obaj mówią dialektem tego samego narzecza. Pewne słowa bardzo pospolitego użytku wspólne są, jak sądzę, wszystkim gwarom; tak we wszystkich słownikach, które miałem sposobność zbadać, *pani* oznacza wodę, *manro* – chleb, *mas* – mięso, *lon* – sól.

Nazwy liczb są prawie wszystkie te same. Dialekt niemiecki zdaje mi się o wiele czystszy niż hiszpański; zachował wiele pierwotnych form gramatycznych, gdy Gitanos przyjęli je z kastylijskiego. Mimo to kilka słów stanowi wyjątek, świadcząc o dawnej wspólności mowy. Czas przeszły dialektu niemieckiego tworzy się dodając *ium* do imperatywu, który jest zawsze źródłosłowem czasownika. W *rommani* hiszpańskim czasowniki odmienia się wszystkie na wzór czasowników kastylijskich pierwszej koniugacji. Od bezokolicznika *jamad*, jeść, powinno by się prawidłowo tworzyć *jame*, jadłem; od *lillar*, brać, powinno być *lille*, brałem. Jednakże niektórzy starzy Cyganie mówią wyjątkowo: *jayon*, *lillon*. Nie znam innych słów, które by zachowały tę starodawną formę.

Skoro się już tak popisuję moimi skromnymi wiadomościami z zakresu języka *rommani*, muszę zanotować parę słów z francuskiej gwary, które złodzieje nasi zapożyczyli od Cyganów. „Tajemnice Paryża” uświadomiły wytworną publiczność, że *czurin* znaczy nóż. Jest to czyste *rommani*; „czuri” jest jednym z owych słów wspólnych wszystkim dialektom. P. Vidocq¹² nazywa konia *gres*, jest to również cygańskie słowo, *gras*, *gre*, *graste*, *gris*. Dodajcie jeszcze słowo *romanizel*, które w gwarze paryskiej oznacza Cyganów. Jest to zepsute *rommane czawe*, chłopcy cygańscy. Ale z czego jestem dumny, to z wywiedzenia etymologii słowa *frimousse*, twarz, mina, którego to słowa wszystkie uczniaki używają lub używały za mego czasu. Zważcie, iż Oudin w swoim interesującym słowniku pisał w 1640 r. *firlimousse*. Otóż *firla*, *fila* w języku *rommani* znaczy twarz, *mui* ma to samo znaczenie, jest to ściśle łacińskie *os*. Cygan-purysta zrozumiał natychmiast kombinację *firlamui*, i sądzę, że jest zgodna z duchem języka.

¹² Słynny naczelnik policji francuskiej, autor pamiętników.

To chyba dosyć, aby dać czytelnikom „Carmen” korzystne wyobrażenie o moich studiach nad językiem *rommani*. Zakończę tym przysłowiem, które nasuwa mi się w porę: *En retudi panda nasti abela macha*. (Do zamkniętej gęby nie wleci mucha.)

Czyśćcowe dusze

Cycero gdzieś powiada (zdaje mi się, w traktacie „O naturze bogów”), że istniało wielu Jowiszów: Jowisz na Krecie, inny w Olimpii, inny jeszcze indziej; tak iż nie ma w Grecji nicco znaczniejszego miasta, które by nie miało swojego Jowisza. Ze wszystkich tych Jowiszów uczyniono jednego, którego obdarzono łącznie wszystkimi przygodami jego imienników. To tłumaczy ową niesłychaną ilość zdobyczy miłosnych, przypisywanych temu bogu.

To samo zamieszanie panuje w sprawie don Juana, osobistości, która, co do rozgłosu, niewiele ustępuje Jowiszowi. Sama Sewilla posiada kilku don Juanów; wiele innych miast chlubi się swoim. Każdy miał niegdyś swoją odrębną legendę. Z czasem wszystkie stopiły się w jedno.

Mimo to, skoro się przyjrzeć z bliska, łatwo wyróżnić cząstkę każdego z nich lub bodaj rozróżnić dwóch spośród tych bohaterów, a mianowicie: don Juana Tenorio, którego, jak wiadomo, porwał kamienny posąg, i don Juana de Marana, którego koniec był zgoła odmienny.

Opowiadają na jedną modłę życie ich obu; różne są jedynie rozwiązania. Są zakończenia na wszystkie gusty, jak w sztukach Ducisa, które kończą się dobrze lub źle, wedle wrażliwości czytelników.

Co do prawdziwości tej historii lub tych dwóch historii, jest ona niewątpliwa i wielce by obraził miejscowy patriotyzm sewillian, kto by podawał w wątpliwość istnienie tych dwóch hultajów, którzy zamacili genealogię najszlachetniejszych tamecznych rodów. Pokazują tam cudzoziemcom pałac don Juana Tenorio, a żaden miłośnik sztuki nie opuścił z pewnością Sewilli, nie zwiedziwszy kościoła Miłosierdzia. Ujrzał tam grób kawalera de Marana, z tym napisem, podyktowanym przez pokorę lub, jeśli kto chce, przez pychę: *Aquí yace el peor hombre que fuà en el mundo*¹³. Jak można wobec tego wątpić? Prawda, iż oprowadziwszy was po tych dwóch zabytkach, *cicerone* opowie wam jeszcze, jak don Juan (nie wiadomo który) uczynił szczególne propozycje Giroldzie, owej brązowej figurze, która wznosi się na mauretańskiej wieży katedralnej, i jak je Girolda przyjęła; jak don Juan, przechadzając się, podochocony winem, po lewym brzegu Gwadalkiwiru, poprosił o ogień człowieka, który siedł prawym brzegiem pałac cygaro, i jak ramię palącego (był to nie kto inny, tylko diabeł we własnej osobie) wydłużyło się tak, że przebyło rzekę i podało cygaro don Juanowi, który zapalił odeń swoje, ani mrugnawszy okiem i nie korzystając z przestrogi, tak był zatwardziały.

Pragnąłem wydzielić każdemu don Juanowi cząstkę, jaka mu przypada ze wspólnego skarbcza niegodziwości i zbrodni. W braku lepszej metody starałem się opowiedzieć o don Juanie de Marana, moim bohaterze, jedynie te przygody, które nie przynależą, prawem „zasiedzenia”, don Juanowi Tenorio, tak znanemu u nas dzięki arcydziełom Mozarta i Moliera.

Hrabia don Carlos de Marana był to jeden z najbogatszych i najszlachetniejszych magnatów w Sewilli. Pochodził ze znakomitego rodu, w wojnie zaś przeciw zbuntowanym Maurom dowiódł, że nie odrodził się od mężnych przodków. Po ujarzmieniu Alpuzarów wrócił do Sewilli ze szramą na czole oraz z wielką liczbą dzieci wziętych do niewoli, które to dzieci, dawszy je wprzód ochrzcić, sprzedał z zyskiem do chrześcijańskich domów. Rany jego, nie oszpeciwszy go zgoła, nie przeszkodziły mu się spodobać panience z dobrego domu, która dała mu pierwszeństwo wśród wielkiej liczby zalotników. Z tego małżeństwa urodziło się zrazu kilka córek, z których jedne wyszły za mąż, inne wstąpiły do klasztoru. Don Carlos de

¹³ Tu leży najgorszy człowiek na świecie.

Marana rozpaczał, iż nie ma dziedzica nazwiska, kiedy urodzenie syna przepeliło go radością i pozwoliło mieć nadzieję, że jego starożytny majorat nie przejdzie na boczną linię.

Don Juan, ów syn tak upragniony i bohater tej wiarygodnej historii, psuty był przez ojca i matkę, jak przystało na jedyne go spadkobiercę wielkiego nazwiska i wielkiej fortuny. Od dziecka był niemal samowładnym panem swoich czynów; nikt w pałacu ojcowskim nie ośmielił mu się sprzeciwić. Tyle tylko, iż matka pragnęła, aby był pobożny jak ona, ojciec zaś chciał, aby syn jego był dzielny jak on. Matka łakociami i pieśczętami skłaniała dziecko do uczenia się litanii, różańców, wszystkich obowiązkowych i nadobowiązkowych modłów. Usypiała go czytając mu żywoty świętych. Z drugiej strony ojciec uczył syna pieśni o Cydzie i o Bernardzie del Carpio, opowiadał mu o buncie Maurów i zachęcał, aby się cały dzień ćwiczył w rzucaniu oszczepem, strzelaniu z ręcznej kuszy lub zgoła z muszkietu do lalki ubranej za Maura, którą kazał ustawić w ogrodzie.

W ołtarzyku hrabiny de Marana znajdował się obraz, malowany w suchym i twardym stylu Moralesa, a przedstawiający męki czyścówce. Wszystkie rodzaje męczarni, jakie malarz mógł wyroić, oddane były z taką dokładnością, że sam wielki Inkwizytor nie mógłby nic przyganić.

Dusze czyścówce znajdowały się w wielkiej piwnicy, która miała w górze okienko. Siedząc przy tym otworze, anioł podawał rękę duszy opuszczającej kaźń, gdy tuż obok sędziwy mężczyzna, trzymający w złożonych rękach różaniec, modlił się wielce żarliwie. Człowiek ten był to fundator obrazu, który kazał sporządzić dla kościoła w Huesca. W czasie powstania Maurów podpalili miasto; kościół padł ofiarą zniszczenia, ale obraz cudem ocalał. Hrabia Marana wziął go do domu i ozdobił nim ołtarzyk żony.

Zazwyczaj mały Juanek, ilekroć wszedł do pokoju matki, stał długo zapatrzony w ten obraz, który przerażał go i przykuwał zarazem. Nie mógł zwłaszcza oderwać oczu od człowieka, któremu wąż wyjadał wnętrzności, gdy on sam wisiał za żebra na hakach nad gorejącym ogniskiem. Obracając z trwogą oczy ku okienku, pacjent zdawał się błagać ofiarodawcę o modlitwę, która by mu oszczędziła tylu cierpień. Hrabina nie zaniedbała za każdym razem objaśnić syna, iż ten nieszczęśnik cierpi męki za to, że nie uczył się porządnie katechizmu, żartował sobie z księdza lub był roztargniony w kościele. Dusza, która ulatywała do raju, była to dusza krewniaka rodziny Marana, który miał z pewnością jakieś grzeszki na sumieniu; ale hrabia Marana modlił się zań, dał sporo grosza księżom, aby go wykupił z męczarni ognio- wych i osiągnął tę satysfakcję, iż wyprawił duszę krewniaka do nieba, nie pozwalając jej długo markocić w czyścucu.

– Pomyśl tylko, Juanku – dodawała hrabina – że ja może będę kiedyś tak cierpiała i spędzę miliony lat w czyścucu, jeśli ty nie będziesz pamiętał o mszach, aby mnie wybawić! Jak by to było okrutnie zostawić tam matkę, która cię wykarmiła!

Wówczas chłopczyzna płakał; o ile miał parę realów w kieszeni, dawał je pierwszemu kwe- starzowi, który się nawinał ze skarbonką „za dusze czyścówce”.

Kiedy wszedł do pokoju ojca, widział pancerze pogięte od kuł, kask, który hrabia Marana miał przy zdobyciu Almerii i który zachował ślad siekiery muzułmańskiej; lance, szable mau- retańskie, sztandary zdobyte na niewiernych zdobyły tę komnatę.

– Ten bułat – mówił hrabia – wydarłem Kadiemu Wajerskiemu, który uderzył mnie nim trzykrotnie, nim pozbawiłem go życia. Ten sztandar nieśli powstańcy z Góry Elwirskiej. Wła- śnie spustoszyli chrześcijańską wioskę; nadbiegłem z dwudziestoma rycerzami. Cztery razy próbowałem się wdrzeć w ich batalion, aby zdobyć ten sztandar; cztery razy mnie odparto. Za piątym uczyniłem znak krzyża, krzyknąłem: „Pomagaj, święty Jakubie!” i runąłem w sze- regi pogan. A widzisz ten kielich złoty w moim herbie? Herszt Maurów ukradł go w kościele, gdzie dopuścił się tysięcznych bezeceństw. Konie jego jadły owies na ołtarzu, a żołnierze rozwłóczyli kości świętych. Łotr kazał sobie podać w tym kielichu sorbet mrożony. Dopa- dłem go w chwili, gdy przykładał do ust poświęcone naczynie. Zanim krzyknął Ała!, gdy napój był jeszcze w jego gardzieli, ciałem tego psa tęgim mieczem w wygoloną głowę, tak że

klina oparła się aż o zęby. Na pamiątkę tej świętej pomsty król pozwolił mi nosić złoty kielich w herbie. Mówię ci to, Juanku, abys opowiedział swoim dzieciom i aby wiedziały, czemu twój herb różni się nieco od herbu twego dziadka, don Diega, który widzisz nad jego portretem.

Tak pędząc życie między dewocją a wojną, dzieciak trawił czas na struganiu krzyżyków lub, uzbrojony w drewnianą szabelkę, ćwiczył się w sadzie na melonach, które wyobrażały dlań głowy Maurów.

Mając lat osiemnaście, don Juan dość lichy czytał po łacinie, doskonale służył do mszy i władał rapierem – jedną ręką lub oburącz – lepiej od samego Cyda. Ojciec jego, uważając iż spadkobierca rodu Maranów winien posiadać jeszcze i inne talenty, postanowił wysłać go do Salamanki.

Przygotowania do tej podróży nie zajęły wiele czasu. Matka dała mu mnóstwo różańców, szkaplerzy i poświęconych medalików. Nauczyła go też wielu modlitw, bardzo pomocnych w różnych okolicznościach. Don Carlos dał mu szpadę, której rękojeść, wykładaną srebrem, zdobiły herby rodzinne; przy czym rzekł:

– Dotąd żyłeś jedynie z dziećmi; obecnie przyjdzie ci żyć z ludźmi. Pamiętaj, że najcenniejszy skarb szlachcica to jego honor; a twój honor, to honor Maranów. Niech raczej zginie ostatni potomek naszego domu, niżby honor jego miał ścierpieć jaką plamę! Weź tę szablę: ona cię obroni, jeśli cię ktoś zaczepi. Nigdy nie dobywaj jej pierwszy; ale pamiętaj, iż przodkowie twoi wkładali ją do pochwy nie wprzód, aż osiągnęli zwycięstwo i pomstę.

Tak opatrzony bronią duchową i doczesną, potomek Maranów wszedł na konia i opuścił siedzibę ojców.

Uniwersytet w Salamance był wówczas w pełni chwały. Nigdy uczniowie jego nie byli liczniejsi ani mistrzowie bardziej uczeni; ale nigdy też obywatele tyle nie cierpieli od zuchwalstwa nieposkromionej młodzieży, która przebywała lub raczej panowała w ich mieście. Serenady, kocie muzyki, nocne burdy to był zwyczajny tryb życia, którego jednostajność urozmaicały od czasu do czasu porwania żon lub córek, kradzieże lub pobicia. Przybywszy do Salamanki, don Juan strawił kilka dni na oddawaniu listów polecających do przyjaciół ojcowskich, na składaniu wizyt profesorom, zwiedzaniu kościołów i oglądaniu relikwii. W myśl zalecenia ojca wręczył jednemu z profesorów dość okrągłą sumkę do rozdziału między niezamożnych uczniów. Hojność ta spotkała się z żywym poklaskiem i zyskała mu od razu wielu przyjaciół.

Don Juan pałał wielką żądzą nauki. Zamierzał słuchać jak ewangelii wszystkiego, co wychodzi z ust profesorów; aby nie stracić nic, chciał się umieścić jak najbliżej katedry. Wszedłszy do sali, gdzie miał się odbyć wykład, spostrzegł puste miejsce bardzo blisko profesora, jak właśnie pragnął. Usiadł. Jakiś szkolarz, brudny, nie uczesany, odziany w łachmany, jak tyłu ich jest po uniwersytetach, podniósł na chwilę oczy znad książki, aby je zwrócić na don Juana z wyrazem tępego zdumienia.

– Siadacie tutaj – rzekł niemal z przerażeniem – czy nie wiecie, że tu siada zazwyczaj don Garcja Navarro?

Don Juan odparł, że zawsze słyszał, iż miejsce należy do pierwszego, który je zajmie, i że wobec tego, że było puste, sądził, iż może usiąść, zwłaszcza o ile don Garcja nie polecił sąsiadowi, aby mu je zatrzymał.

– Jesteście obcy, jak widzę – rzekł szkolarz – i bawicie tu od niedawna, skoro nie znacie don Garcji. Wiedźcie tedy, że to jest człowiek naj...

Tu szkolarz zniżył głos, jak gdyby się lękał, aby go nie usłyszeli studenci.

– Don Garcja to straszny człowiek! Biada temu, kto go obrazi! Cierpliwość jego jest krótka, a rapier długi; bądźcie pewni, że jeśli ktoś siądzie na miejscu, gdzie don Garcja usiadł dwa razy, to wystarczy, aby wynikła zwada: jest bardzo drażliwy i obraźliwy. Kiedy ma z kim na pieńku, wyzywa go i kładzie trupem. Ostrzegłem was; zrobicie, co się wam spodoba.

Don Juanowi wydało się dziwne, aby don Garcja miał pretensję zajmować najlepsze miejsca, nie zadając sobie trudu zdobycia ich swoją pilnością. Zarazem widział, iż wielu studentów przygląda mu się bacznie; czuł, jak bardzo byłoby upokarzające opuścić tę ławkę, skoro raz na niej usiadł. Z drugiej strony, wcale nie miał ochoty, ledwo przybywszy, wchodzić w zwadę, zwłaszcza z człowiekiem tak niebezpiecznym, na jakiego wyglądał don Garcja. Wahał się, nie wiedział, na co się zdecydować, i siedział wciąż machinalnie na tym samym miejscu, kiedy wszedł jakiś student i skierował się prosto ku niemu.

– Oto don Garcja – rzekł sąsiad.

Ów Garcja był to młody człowiek, szeroki w barach, silnie zbudowany, z ogorzałą cerą, dumnym spojrzeniem i wzgardliwą twarzą. Kaftan, niegdyś czarny, był bardzo wytarty, płaszcz dziurawy; na tym wszystkim wisiał długi złoty łańcuch. Wiadomo, że od niepamiętnych czasów studenci Salamanki i innych hiszpańskich uniwersytetów mieścili punkt honoru w tym, aby chodzić obdarci, chcąc tym prawdopodobnie okazać, że prawdziwa zasługa umie się obyć bez czczego blasku.

Don Garcja zbliżył się do ławki, gdzie don Juan siedział jeszcze, i kłaniając mu się bardzo dwornie, rzekł:

– Mości studencie, jesteś tu nowo przybyłym, mimo to imię twoje jest mi dobrze znane. Ojcowie nasi byli wielkimi przyjaciółmi; jeśli raczysz pozwolić, i synowie będą nimi również.

Tak mówiąc, podał rękę don Juanowi z najserdeczniejszą miną w świecie. Don Juan, który spodziewał się zgoła innego początku, przyjął skwapliwie uprzejmość don Garcji i odpowiedział, że przyjaźń takiego jak on kawalera będzie dlań zaszczytem.

– Nie znasz jeszcze Salamanki – ciągnął don Garcja – jeśli zechcesz wziąć mnie za przewodnika, z rozkoszą pokażę ci wszystko, od cedru do hyzopu.

Następnie, zwrócił się do szkolarza siedzącego obok don Juana: – Nuże, Perico – rzekł – zabieraj się stąd. Czy myślisz, że taki cham jak ty to odpowiednie towarzystwo dla szlachetnego don Juana Marany?

To mówiąc, pchnął go szorstko i sam zajął miejsce, które szkolarz skwapliwie opuścił.

Skoro wykład się skończył, don Garcja dał swój adres nowemu przyjacielowi i zaprosił go do siebie. Następnie, pozdrowiwszy go poufale dłonią, wyszedł, drapując się z wdziękiem w płaszcz dziurawy jak sito.

Don Juan, trzymając książki pod pachą, zatrzymał się w krużganku, przyglądając się starym napisom zdobiącym mury kolegium, kiedy spostrzegł, iż szkolarz, który przemówił doń pierwszy, zbliża się, jak gdyby również chcąc obejrzyć napisy. Skinąwszy mu głową, aby okazać, że go poznaje, don Juan chciał, odejść, ale szkolarz przytrzymał go za płaszcz.

– Szlachetny don Juanie – rzekł – jeśli cię nic nie nagli, czy byłbyś łaskaw udzielić mi chwili rozmowy?

– Chętnie – odparł don Juan i oparł się o filar – słucham.

Perico obejrzał się na wszystkie strony niespokojnie, jak gdyby się obawiał, że go ktoś śledzi, po czym zbliżył się do don Juana, szepcząc mu do ucha. Don Juanowi wydała się ta ostrożność zbędna, gdyż w dużym krużganku gotyckim nie było w tej chwili nikogo.

– Czy mógłbyś mi powiedzieć, szlachetny don Juanie – spytał po chwili milczenia szkolarz cichym i niemal drżącym głosem – czy mógłbyś mi powiedzieć, czy ojciec twój znał w istocie ojca don Garcji Navarro? Don Juan uczynił gest zdumienia.

– Wszak słyszałeś, że don Garcja powiedział to przed chwilą.

– Tak – odparł szkolarz jeszcze bardziej zniżając głos – ale czy słyszałeś kiedy od ojca, iż znał pana Navarro?

– Owszem, niewątpliwie; byli razem na wojnie przeciw Maurom.

– Doskonale; ale czy słyszałeś, aby ten szlachcic miał... syna?

– Co prawda, nigdy nie zwracałem zbytnej uwagi na to, co ojciec mój mówił w tej mierze... Ale na co te pytania? Czy don Garcja nie jest synem szlachetnego pana Navarro?... Byłżeby bękartem?

– Klnę się niebem, nie rzekłem nic podobnego – wykrzyknął przerażony szkolarz, zagładając za filar, o który wspierał się don Juan. – Chciałem was tylko spytać, czy nie znacie dziwnej historii, którą wielu ludzi opowiada o tym don Garcji.

– Ani słowa.

– Powiadają... zważcie, powtarzam jedynie to, co słyszałem... powiadają, że don Diego Navarro miał syna, który licząc sześć czy siedem lat, zapadł na chorobę ciężką, a tak dziwną, że lekarze nie wiedzieli, jakiego lekarstwa się imać. Ojciec, który miał tylko to jedno dziecko, ofiarował wota w wielu kaplicach, dał choremu dotykać relikwii, wszystko na próżno. Zrozpaczony, rzekł jednego dnia... (tak mnie zapewniano) rzekł jednego dnia, patrząc na obraz św. Michała:

– Skoro ty nie możesz ocalić mego syna, spróbuję, czy ten, którego depczesz nogami, nie będzie miał więcej mocy.

– Ależ to straszne bluźnierstwo! – wykrzyknął don Juan, zgorszony w najwyższym stopniu.

– Wkrótce potem dziecko wyzdrowiało... a to dziecko... to don Garcja!

– Tak że od tego czasu don Garcja ma diabła w sobie – rzekł parszkając śmiechem don Garcja, który się ukazał w tej chwili i który, zdaje się, słuchał rozmowy ukryty za filarem. – W istocie, Perico – rzekł zimno i wzgardliwie do zdumionego szkolarza – gdybyś nie był tchórzem, kazałbym ci pożałować zuchwalstwa, z jakim mówisz o mnie. – Mości don Juanie – ciągnął zwracając się do Marany – kiedy się lepiej poznamy, nie będziesz tracił czasu na słuchanie tego gaduły. A teraz, aby się przekonać, że ze mnie nie taki czarny diabeł, jak go malują, uczyni mi ten zaszczyt i chodź ze mną do kościoła św. Piotra; skoro zmówimy kilka paciery, pozwolę sobie zaprosić cię do siebie na lichy obiadek wraz z kilkoma kolegami.

Tak mówiąc, wziął pod ramię don Juana, który, zawstydzony tym, iż zaskoczono go, jak słucha szczególnych plotek szkolarza, skwapliwie przyjął zaproszenie nowego przyjaciela, aby mu dowieść, jak mało dba o oszczerstwa słyszane przed chwilą.

Wszedłszy do kościoła, don Juan i Garcja ukłękli przed ołtarzem, koło którego tłoczyła się cizba wiernych. Don Juan zmówił po cichu paciery; mimo że to pobożne ćwiczenie zajęło mu dobrą chwilę, ujrzał, podniósłszy głowę, że towarzysz jego trwa jeszcze w nabożnej ekstazie: poruszał lekko wargami, można by rzec, że nie doszedł ani do połowy swoich medytacji. Zawstydzony nieco, że tak prędko skończył, don Juan zaczął odmawiać po cichu wszystkie litanie, które mu przyszły na pamięć. Gdy skończył, don Garcja również ani nie drgnął. Don Juan odklepał z roztargnieniem jeszcze parę paciorków; po czym, widząc że towarzysz jego wciąż się nie rusza, sądził, iż może nieco rozejrzeć się dokoła, aby zabić czas i doczekać końca tej wiekuiestej modlitwy. Trzy kobiety, klęczące na tureckim dywanie, ściągnęły jego uwagę. Jedna, sądząc z wieku, okularów i obszernego czepka, mogła być jedynie duenną. Dwie inne były młode i ładne; mimo iż oczy miały spuszczone na różaniec, można było dojrzeć, że te oczy są duże, żywe i ładnie oprawione. Don Juan znajdował wiele rozkoszy w widoku jednej z nich; więcej rozkoszy, niżby się godziło w tak świętym miejscu. Zapominając o modłach towarzysza, pociągnął go za rękaw i spytał cicho, kto jest owa panienka trzymająca w dłoniach różaniec z bursztynu.

– To – odparł Garcja, nie okazując zgorszenia tym, że mu przerwano – jest dona Teresa de Ojeda, a tamta to dona Fausta, jej starsza siostra; obie są córkami audytora w Radzie Kastylii. Ja durzę się w starszej, staraj się rozkochać młodszą. O – dodał – właśnie wstają i wychodzą z kościoła; śpieszmy się, aby zdążyć, jak będą wsiadały do powozu; może wiatr uniesie spódniczki i zobaczymy jaką ładną nóżkę albo i dwie.

Don Juan był tak oczarowany pięknnością dony Teresy, że nie zwracając uwagi na nieprzy-
stojność tej mowy, podążył za don Garcją aż do bram świątyni i ujrzał, jak szlachetne panien-
ki wsiadły do karocy i opuściły plac przed kościołem, śpiesząc na jedną z bardziej uczęszcza-
nych ulic. Skoro odjechały, don Garcja, wsadzając kapelusz na bakier, zakrzyknął wesoło:

– Oto mi śliczne dziewczęta! Niech mnie czart porwie, jeśli starsza nie będzie moją, nim
minie dziesięć dni! A ty czy daleko zaszedłeś z młodszą?

– Jak to, czy daleko zaszedłem? – odparł don Juan naiwnie – ależ ja ją widzę pierwszy raz
w życiu!

– Dobra racja! – wykrzyknął don Garcja. – Czy sądzisz, że ja o wiele dawniej znam Fau-
stę? Mimo to dziś oddałem jej bilecik, który przyjęła bardzo łaskawie.

– Bilecik? Nie widziałem, abyś pisał.

– Mam zawsze przy sobie gotowe: byle nie kłaść imienia, nadadzą się dla wszystkich.
Uważaj tylko, aby się nie zdradzić wyszczególnieniem koloru włosów albo oczu. Co do wes-
tchnień, mąk i zapałów, każda, brunetka czy blondynka, panna czy mężatka, weźmie je jed-
nako za dobrą monetę.

Tak gwarząc, don Garcja i don Juan znaleźli się przed domem, gdzie czekał na nich obiad.
Był to prawdziwy stół studencki, bardziej obfity niż wykwinny i urozmaicony, wiele korzen-
nych przystawek, solonego mięsiwa, same rzeczy pobudzające pragnienie. Także wina było
pod dostatkiem. Kilku studentów, przyjaciół don Garcji, czekało jego przybycia.

Wszyscy siedli natychmiast do stołu; jakiś czas nie było słyhać innego hałasu niż łomot,
szczęk i trącanie kielichów. Niebawem wino wprawiło w dobry humor biesiadników i roz-
mowa stała się nader ożywiona. Mówiono jedynie o pojedynkach, miłośkach i figlach stu-
denckich. Jeden opowiadał, jak oszukał swoją gospodynię, wyprowadzając się w wilię ko-
mornego. Drugi posłał do winiarza po kilka dzbanów trunku podpisując się imieniem jednego
z najpoważniejszych profesorów teologii, po czym zgrabnie skierował te dzbany do swego
mieszkania, zostawiając profesorowi, o ile zechce, zapłacenie rachunku. Ten pobił ront, ów za
pomocą drabinki sznurowej wszedł do pokoju kochanki, mimo czujności zazdrośnika.

Zrazu don Juan słuchał z pewnym zgorszeniem tych wybryków. Stopniowo wino oraz we-
solałość towarzyszków rozbroiły jego skrupuły. Śmiał się z przygód, które opowiadano, a nawet
zaczął zazdrościć reputacji, którą ten i ów zdobył swymi figlami i hultajstwem. Zaczynał
przepominać roztropnych zasad, które przyniósł z sobą na uniwersytet, przyjmując regułę
kodeksu studenckiego, regułę prostą i łatwą, polegającą na tym, iż wszystko jest dozwolone
wobec *pillos*, tzn. rodzaju ludzkiego nie zapisanego w registry uniwersyteckie. Student po-
śród *pillos* jest niejako w kraju nieprzyjacielskim i ma prawo poczynać sobie z nimi jak He-
brajczycy z Kaneńczykami. Wobec tego jednak, że pan koregidor mało ma, niestety, szacun-
ku dla świętych praw uniwersyteckich i sili się, gdzie może, szkodzić ich kapłanom, powinni
zespolic się jak bracia, pomagać sobie wzajem, a zwłaszcza święcie dochowywać sekretu.

Ta budująca rozmowa trwała póty, póki trwały butelki. Skoro się opróżniły, wszystkie mó-
zgownice były już w stanie osobliwie mętym, a każdy odczuwał gwałtowną potrzebę snu.
Ponieważ słońce przypiekało jeszcze z całą siłą, rozeszli się na sjęstę; don Juan wyciągnął się
u don Garcji. Za ledwie się rozłożył na skórzanym materacu, kiedy znużenie i opary wina po-
grążyły go w głębokim śnie.

Długi czas marzenia jego były tak dziwne i mętne, iż jedynym uczuciem, jakiego dozna-
wał, był stan nieokreślonej mdłości, bez świadomości obrazu lub myśli, które by mogły być
jego przyczyną.

Stopniowo zaczął czytać w swoim śnie, jeśli można się tak wyrazić, i zaczął śnić z pew-
nym związkiem. Zdawało mu się, że jest w łódce, na wielkiej rzece, szerszej i mętniejszej, niż
kiedykolwiek bywa Gwadalkiwir w porze zimowej. Nie było żagla, wiosła ani steru, a brzeg
był pusty. Prąd podrzucał łódkę tak silnie, iż sądząc z mdłości, jakich doznawał, mniemał, że
znajduje się w ujściu Gwadalkiwiru, w chwili gdy mieszczuchy sewilskie, jadące do Kadyksu,

zaczynają odczuwać dolegliwości morskiej choroby. Niebawem znalazł się w węższej o wiele okolicy rzeki, tak iż mógł łatwo rozejrzeć się po obu brzegach, a nawet dosięgnąć ich głosem. Wówczas pojawiły się równocześnie po obu brzegach dwie promienne postacie, które zbliżyły się, każda ze swej strony, jak gdyby śpiesząc mu na pomoc. Zwrócił zrazu głowę na prawo i ujrzał starca o poważnym i surowym obliczu, z bosymi nogami, mającego za całą odzież jedynie włosienicę. Zdawało się don Juanowi, że wyciąga doń rękę. Spojrzawszy później na lewo, ujrzał kobietę wysokiego wzrostu, szlachetnych i powabnych rysów, podającą mu wieńiec z kwiatów, który trzymała w ręce. Równocześnie spostrzegł, że barka żegluje tam, gdzie on chce, bez wiosła, jedynie siłą jego woli.

Miał przybić do lądu od strony kobiety, kiedy krzyk z drugiego brzegu kazał mu odwrócić głowę i zbliżyć się ku tej stronie. Starzec miał oblicze jeszcze surowsze niż wprzód.

Ciało jego, o ile je odsłaniał, było okryte ranami, sine, splamione skrzepłą krwią. W jednej ręce trzymał cierniową koronę, w drugiej dyscyplinę opatrzoną kolcami.

Na ten widok groza zdjęła don Juana; zwrócił się szybko ku lewemu brzegowi. Zjawisko, które go tak oczarowało, znajdowało się tam jeszcze; włosy kobiety bujały z wiatrem, oczy płonęły nadprzyrodzonym ogniem, a zamiast wieńca trzymała w ręce miecz. Don Juan zatrzymał się chwilę, nim przybił do brzegu; wówczas, przyglądając się baczniej, ujrzał, iż brzeszczot jest czerwony od krwi, a ręka nimfy również jest krwawa. Przerażony, obudził się nagle. Otworzył oczy, nie mógł wstrzymać krzyku na widok nagiej szpady, która lśniła o parę stóp od łóżka.

Ale nie piękna nimfa trzymała tę szpadę. Don Garcja przyszedł obudzić przyjaciela i widząc koło łóżka broń osobliwej roboty, oglądał ją z miną znawcy. Na klindze był napis: „Dochowaj wiary”; rękojeść, jak już wspomnieliśmy, miała herb, nazwisko i zawołanie Maranów.

– Ładną, widzę, masz szpadę, kolego – rzekł don Garcja. – Musiałeś sobie odpocząć. Zbliża się noc, przejdziemy się nieco, a kiedy przyzwoi ci obywatele pójdą spać, pośpieszymy, jeśli twoja wola, wyprawić serenadę dla naszych bogini.

Don Juan i don Garcja przechadzali się jakiś czas nad brzegiem Tornesu, patrząc na kobiety, które przybyły odetchnąć chłodem lub oczkować z galantami. Stopniowo liczba przechodniów była coraz mniejsza, wreszcie znikli zupełnie.

– Oto chwila – rzekł don Garcja – gdy całe miasto należy do studentów. *Pillos* nie odważyliby się zamącić naszych niewinnych zabaw. Co się tyczy straży nocnej, to gdybyśmy przypadkiem mieli z nią wejść w zatarg, nie potrzebuję ci mówić, że tej kanalii nie ma co oszczędzać. A gdyby hultaje byli w zbytnej przewadze i gdyby trzeba nam było wziąć nogi za pas, bądź bez obawy: znam tu każdy zaułek. Bacz tylko, aby się trzymać tuż za mną, i bądź pewny, że wszystko pójdzie dobrze.

Mówiąc zarzucił płaszcz na lewe ramię w ten sposób, aby osłonić prawie całą twarz, a zarazem zostawić wolną prawą rękę. Don Juan zrobił toż samo, po czym obaj skierowali się w stronę ulicy, gdzie mieszkała dona Fausta i jej siostra. Kiedy przechodzili koło kruchty jakiegoś kościoła, don Garcja gwizdnał. Ukazał się jego paż, z gitarą w ręku. Don Garcja wziął gitarę i odprawił go.

– Widzę – rzekł don Juan, wchodząc w ulicę Valladolid – widzę, że chcesz, bym osłaniał twoją serenadę; bądź pewien, że wywiążę się z tego ku twemu zadowoleniu. Sewilla, moje rodzone miasto, miałaby prawo wyprzeć się mnie, gdybym nie umiał obronić ulicy od natrętów!

– Nie mam zamiaru zostawiać cię na straży – odparł don Garcja. – Ja mam tu swoją lubkę, ale i ty także. Każdy niech poluje na swoją zwierzynę. Pst! oto dom. Ty do tej żaluzji, ja do tej, żywo!

Don Garcja, nastroiwszy gitarę, zaintonował dość miłym głosem piosenkę, w której, jak zwykle, była mowa o łzach, westchnieniach itd. Nie wiem, czy on sam był jej autorem.

Przy trzeciej lub czwartej zwrotce żaluzje w obu oknach podniosły się bez szelestu i dał się słyszeć lekki kaszel. To znaczyło, że dama słucha. Muzycy ponoć nigdy nie grają wtedy, kiedy się ich prosi albo słucha. Don Garcja złożył gitarę na słupku kamiennym i rozpoczął półgłosem rozmowę z jedną ze słuchaczek.

Don Juan, podniósłszy oczy, ujrzał w oknie kobietę, która przyglądała mu się z widoczną uwagą. Nie wątpił, że to siostra dony Fausty, ta, którą zarówno własna jego skłonność, jak i wybór przyjaciela przeznaczyły na panią jego myśli. Ale był jeszcze nieśmiały, niedoświadczony, nie wiedział, jak zacząć. Naraz chusteczka spadła z okna i słodki głosik wykrzyknął:

– Och! Jezu! Chusteczka mi spadła!

Don Juan podniósł natychmiast i podał na końcu szpady. Była to sposobność do nawiązania rozmowy. Głosik zaczął od podziękowania, po czym spytał, czy ów tak dworny kawaler nie był przypadkiem tego rana w kościele św. Piotra. Don Juan odparł, że był i że postradał tam spokój duszy.

– A to jak?

– Ujrzawszy panią.

Lody pękły. Don Juan był z Sewilli, umiał na pamięć wszystkie mauretańskie historie, których język miłosny jest tak bogaty. Nie mogło mu zabraknąć wymowy. Rozmowa trwała blisko godzinę. Wreszcie Teresa krzyknęła, że słyszy ojca i że trzeba kończyć. Dwaj galanci nie wprzód opuścili ulicę, aż ujrzeni dwie białe rączki wychylające się zza żaluzji, aby rzucić każdemu z nich po gałązce jaśminu. Don Juan poszedł spać z głową pełną miłosnych obrazów. Don Garcja wstał do szynku i zabawił tam niemal do rana.

Nazajutrz znowuż westchnienia i serenady. Toż samo następnych nocy. Po przyzwoitym oporze damy zgodziły się wymienić z kochankami pukle włosów; operacja odbyła się za pomocą sznurka, który zbiegł na dół wioząc tam i z powrotem upragnione przedmioty. Don Garcja, który nie był skłonny zadowalać się lada czym, wspomniawszy o drabince sznurowej lub o dorobieniu klucza, ale nazwano go zuchwalcem. Propozycja została jeżeli nie odrzucona, to przynajmniej odroczone na czas nie oznaczony.

Od miesiąca blisko don Juan i don Garcja gruchali dość jałowo pod oknami bogdanek. Pewnej bardzo ciemnej nocy stali na zwykłym posterunku i rozmowa trwała od jakiegoś czasu ku zadowoleniu wszystkich czworga, kiedy na rogu ukazało się kilku ludzi zawiniętych w płaszcze; paru z nich miało instrumenty muzyczne.

– Sprawiedliwe nieba! – wykrzyknęła Teresa. – To don Christował wyprawia nam serenade. Oddalcie się, na miłość boską, albo zdarzy się jakieś nieszczęście.

– Nie ustąpimy nikomu tak pięknego miejsca! – wykrzyknął don Garcja i podnosząc głos zawołał do pierwszego, który się zbliżył: – Kawalerze, miejsce jest zajęte i damy wcale sobie nie życzą waszej muzyki. Zatem, jeśli łaska, szukajcie szczęścia gdzie indziej.

– To któryś z tych obwiesiów szkolarzy ośmiela się nam zagradzać drogę! – wykrzyknął don Christował. – Nauczę go, czym to pachnie zalecać się do mojej damy!

To mówiąc, dobył szpady. Równocześnie błysnęły szpady dwóch jego towarzyszy. Don Garcja, owijając z cudowną zręcznością płaszcz koło ramienia, śmignął rapierem i krzyknął:

– Do mnie, studenci! – Ale nie było ani jednego w pobliżu. Grajkowie, lękając się zapewne o całość instrumentów, uciekli wołając straży, gdy obie damy w oknie wzywały na pomoc wszystkich świętych z nieba.

Don Juan, który znajdował się pod oknem bliższym don Christowała, pierwszy przyjął jego impet. Przeciwnik był zręczny i, co więcej, miał w lewej ręce żelazną tarczę, którą się posługiwał dla obrony, gdy don Juan miał tylko szpadę i płaszcz. Żywo przypierany przez don Christowała, przypomniał sobie bardzo w porę pchnięcie imć Ubertiego, nauczyciela szermierki. Upadł na lewą rękę, prawą zaś, pomykając pod tarczą don Christowała, wbił mu ją między żebra z taką siłą, że brzeszczot złamał się, wszedłszy w ciało na piędź głęboko. Don Christował wydał krzyk i upadł zlany krwią. Podczas tej operacji, która trwała krócej niż jej

opowieść, don Garcja bronił się skutecznie dwóm wrogom, którzy ujrzawszy swego wodza na ziemi, uciekli co tchu.

– A teraz nogi za pas – rzekł don Garcja – nie pora na zabawę. Bywajcie, śliczne damy.

I pociągnął za sobą don Juana, przerażonego tym, co uczynił. O dwadzieścia kroków od domu don Garcja zatrzymał się, aby spytać towarzysza, co zrobił ze szpadą.

– Moja szpada! – wykrzyknął don Juan, spostrzegając dopiero wówczas, że jej nie ma... – Nie wiem... musiałem ją upuścić.

– Przekleństwo! – zawołał don Garcja. – Twoje nazwisko wyryte jest na rękojeści.

Równocześnie ukazali się ludzie z pochodniami, którzy wyszli z sąsiednich domów i skupili się koło umierającego. Z drugiego końca ulicy zbliżał się szybko zbrojny oddział.

Był to najwidoczniej patrol, ściągnięty wołaniem grajków i zgiełkiem walki.

Don Garcja, naciągnawszy kapelusz na oczy i okrywając płaszczem twarz, aby go nie poznano, rzucił się, mimo niebezpieczeństwa, w środek tego zbiegowiska, w nadziei, iż odnajdzie szpadę, która zdradziłaby niechybnie winnego. Don Juan ujrzał, jak wali na prawo i lewo, gasząc światła i wywracając wszystko, co mu stanęło na drodze. Zjawił się niebawem, biegnąc ze wszystkich sił i trzymając w każdej ręce po szpadzie; cały patrol biegł za nim.

– Ach, don Garcjo – wykrzyknął don Juan, biorąc szpadę, którą mu podawał – ileż, dzięków jestem ci winien!

– Zmykajmy! Zmykajmy! – wołał Garcja. – Leć za mną, a gdyby który hultaj naciskał cię zbyt blisko, nadzieję go tak jak tamtego.

Po czym jęli pędzić z całą szybkością, jakiej mogła im użyczyć przyrodzona krzepkość, pomnożona lękiem przed panem koregidorem, urzędnikiem, który był jeszcze straszliwszy dla studentów niż dla złodziei.

Don Garcja, który znał Salamankę jak pacierz, był mistrzem w wykręcaniu się po ulicach i gubieniu się w wąskich zaułkach, gdy towarzysz jego, mniej doświadczony, z trudem silił się mu nadażyć. Zaczynało im braknąć tchu, kiedy na rogu jakiegoś zaułka spotkali gromadę studentów, którzy przechadzali się śpiewając i brząkając na gitarach. Skoro tylko spostrzegli, że dwóch kamratów uchodzi przed pościgiem, chwycili kamienie, drągi i wszelką możliwą broń. Gwardziści, zdyszani, uznali za właściwsze nie wszczynać zwady. Cofnęli się przezornie, a dwaj winowajcy schronili się do pobliskiego kościoła, aby wytchnąć chwilę.

W bramie don Juan chciał włożyć szpadę do pochwy, nie uważając za przyzwoite ani chrześcijańskie wchodzić do domu Bożego z orężem w dłoni. Ale pochwa stawiała opór, klinga wchodziła z trudnością: krótko mówiąc, spostrzegł, że szpada, którą trzymał w ręce, to nie jego szpada. W pośpiechu don Garcja chwycił pierwszą z brzegu broń, którą znalazł na ziemi; była to szpada zabitego lub kogoś z jego orszaku. Rzecz była poważna; don Juan powiadomił o tym przyjaciela, którego nawykł uważać za dobrego doradcę.

Don Garcja zmarszczył brew, zagryzł wargi, zmiął rondo kapelusza i zaczął się przechadzać, gdy don Juan, oszołomiony fatalnym odkryciem, był pastwą zarówno niepokoju, jak wyrzutów. Po kwadransie dumań, w czasie których don Garcja miał ten takt, iż ani razu nie powiedział: „Po cóż gubić szpadę?”, ujął go pod ramię i rzekł:

– Chodź ze mną, już mam.

W tej samej chwili wyszedł z zakrystii ksiądz i skierował się w ulicę; don Garcja zatrzymał go.

– Wszak to z uczonym licencjatem Gomezem mam zaszczyt...? – rzekł skłoniwszy się głęboko.

– Nie jestem jeszcze licencjatem – odparł ksiądz, widocznie pogłaskany tym, iż wzięto go za licencjata. – Nazywam się Manuel Tordoya, do usług.

– Mój ojciec – rzekł don Garcja – jesteś właśnie tym, kogo szukałem; chodzi o kwestię sumienia; o ile zaś fama mnie nie omyliła, ty, ojciec, jesteś autorem owego słynnego traktatu „De casibus conscientiae”, który tyle narobił hałasu w Madrycie?

Ksiądz, idąc na lep grzechu próżności, odparł, zakłopotany, że nie jest autorem tego dzieła (które, po prawdzie, nigdy nie istniało), ale że wiele zajmował się podobnymi materiałami. Don Garcja, nie słuchając jego tłumaczeń, ciągnął w ten sposób:

– Oto, ojcze, w kilku słowach sprawa, w której chciałbym twojej rady. Jednego z moich przyjaciół, dziś, przed godziną, dopadł na ulicy jakiś człowiek i rzekł: „Kawalerze, mam się bić o parę kroków stąd; przeciwnik ma szpadę dłuższą od mojej; chciej mi pożyczyć szpady, iżby broń była równa”. Mój przyjaciel zamienia z nim szpadę. Czeka chwilę na rogu, aż walka się skończy. Nie słysząc już szczęku oręża, zbliża się; cóż widzi? Martwe ciało, przeszyte tą szpadą, którą właśnie pożyczył. Od tej chwili rozpacza, wyrzuca sobie swą uczynność, lęka się, iż dopuścił się śmiertelnego grzechu. Co do mnie, staram się go uspokoić; sądzę, iż to jest grzech jedynie powszedni, zważywszy, że gdyby nie użyczył szpady, byłby przyczyną, iż ci ludzie biliby się nierówną bronią. Co myślisz o tym, ojcze? Czy nie jesteś mego zdania?

Ksiądz, młody jeszcze kazuista, nastawił uszy i wodził ręką po czole jak człowiek, który szuka cytatu. Don Juan nie wiedział, dokąd don Garcja zmierza; ale nie mówił nic, bojąc się strzelić byka.

– Mój ojcze – ciągnął Garcja – rzecz jest snadź bardzo drażliwa, skoro tak wielki uczony jak ty waha się ją rozstrzygnąć. Jutro, jeśli pozwolisz, wrócimy, aby się dowiedzieć o twoim wyroku. Tymczasem, proszę, zechciej sam zmówić lub kazać zmówić kilka mszy za duszę zmarłego.

To mówiąc, wsunął parę dukatów w rękę księdza, co go do reszty nastroiło korzystnie dla młodych ludzi tak nabożnych, tak skrupulatnych, a zwłaszcza tak szczodrych. Przyrzekł, iż nazajutrz w tym samym miejscu da im swoją opinię na piśmie. Don Garcja obsypał go podziękowaniami; po czym dodał niedbałym tonem, jak coś, co nie ma wielkiego znaczenia:

– Byle tylko sądy nie chciały nas pociągnąć do odpowiedzialności za tę śmierć! Na ciebie liczymy, ojcze, iż pojednasz nas z Bogiem.

– Co się tyczy sądów – rzekł ksiądz – nie macie czego się lękać. Przez to, że pożyczył swojej szpady, przyjaciel twój nie jest wobec prawa współnikiem.

– Tak, ojcze, ale morderca uciekł... Zbadają ranę, znajdą może zakrwawioną szpadę... czy ja wiem co? Ci sędziowie to podobno straszni ludzie.

– Wszakże – rzekł ksiądz – pan był świadkiem, że szpada była pożyczona?

– Oczywiście – odparł don Garcja. – Mogę to stwierdzić przed wszystkimi trybunałami w całym królestwie. Zresztą – dodał podstępnie – ty sam, ojcze, będziesz mógł dać świadectwo prawdzie. Nim jeszcze ta sprawa była komukolwiek znana, zgłosiliśmy się wszak do ciebie, aby zasięgnąć twojej fachowej rady. Mógłbyś nawet, ojcze, zaświadczyć wymianę... A oto dowód.

Wziął szpadę z rąk don Juana.

– Spójrz, ojcze, na tę szpadę – rzekł – czyż ona nadaje się do tej pochwy?

Ksiądz skinął głową, jak człowiek przekonany o wiarygodności historii, którą mu opowiadano. Ważył w milczeniu dukaty w dłoni i wciąż znajdował w nich nieprzeparty argument na korzyść młodzieńców.

– Zresztą, ojcze – rzekł don Garcja tonem wysoce nabożnym – co nam znaczy świecka sprawiedliwość? Nam chodzi o pojednanie się z niebem.

– Do jutra, moje dzieci – rzekł ksiądz na rozstanie.

– Do jutra – odparł don Garcja – całujemy ci ręce i liczymy na ciebie.

Skoro ksiądz odszedł, don Garcja podskoczył z radości.

– Niech żyje symonia! – krzyknął. – Poprawiła się nasza sytuacja, jak sądzę. Jeśli sądy się nami zajmą, ten dobry ojciec, w zamian za dukaty, które już dostał, i te, które się spodziewa z nas wyłudzić, gotów będzie zaświadczyć, że jesteśmy w tej sprawie niewinniejsi niż nowo narodzone dziecię. Idź teraz do siebie, miej się na baczności i nie otwieraj, póki się dobrze nie upewnisz, komu; ja przejdę się po mieście, dowiem się, co słyhać.

Znalazłszy się w swoim pokoju, don Juan rzucił się w ubraniu na łóżko. Całą noc nie zmrużył oka, myślał wciąż o morderstwie, które popełnił, a zwłaszcza o następstwach. Za każdym razem, kiedy usłyszał odgłos ludzkich kroków, wyobrażał sobie, że to straż przychodzi go uwięzić. Mimo to tak był zmęczony i głowę miał jeszcze tak ciężką po studenckim obiedzie, że usnął wreszcie o świcie.

Spał już od kilku godzin, kiedy obudził go służący, oznajmiając, iż zakwefiona dama chce z nim mówić. Równocześnie niemal dama weszła do pokoju. Była zawinięta od stóp do głów w czarny płaszcz, spod którego widać było tylko jedno oko. Zwróciła to oko kolejno to na służącego, to na don Juana, jak gdyby prosząc go o rozmowę bez świadków. Służący wyszedł. Dama usiadła, mierząc don Juana wzrokiem z wielką uwagą. Po chwili milczenia zaczęła w te słowa:

– Szlachetny kawalerze, postępek mój może pana zdziwić i musisz mieć o mnie z pewnością liche mniemanie; ale gdyby kto znał pobudki, które mnie sprowadzają, nie potępiłby mnie z pewnością. Pojedynkowałeś się wczoraj z jednym z tutejszych kawalerów...

– Ja, pani! – wykrzyknął don Juan błędąc – nie wychodziłem z tego pokoju.

– Zbyteczna udawać wobec mnie; chcę ci dać przykład szczerości.

To mówiąc, rozchyliła płaszcz; don Juan poznał donę Teresę.

– Szlachetny don Juanie – ciągnęła oblewając się rumieńcem – muszę ci wyznać, że dzielność twoja zjednała ci najwyższą mą sympatię. Spostrzegłam, mimo mego wzruszenia, że szpada twoja złamała się i że ją porzuciłeś w pobliżu bramy. W chwili gdy wszyscy tłoczyli się koło rannego, zesłam i ujęłam rękojeść twojej broni. Oglądając ją, wyczytałam twoje nazwisko; zrozumiałam, w jakim byłbyś niebezpieczeństwie, gdyby się dostała w ręce twoich wrogów. Oto ona, szczęśliwa jestem, że ci ją mogłam oddać.

Rzecz prosta, że don Juan padł jej do nóg, rzekł, iż zawdzięcza jej życie, ale że jest to dar bezużyteczny wobec tego, iż przyjdzie mu umrzeć z miłości. Donie Teresie było spieszo, chciała bezzwłocznie odejść; słuchała wszelako don Juana z taką rozkoszą, iż nie mogła się zdobyć na rozstanie. Godzina blisko spłynęła w ten sposób, wypełniona przysięgami wiecznej miłości, całowaniem rąk, prośbami z jednej strony, słabą odmową z drugiej. Nagle wejście don Garcji przerwało to sam na sam. Nie był to człowiek, który by się zgorszył czymś podobnym. Pierwszym jego staraniem było uspokoić donę Teresę. Pochwalił wielce jej odwagę, jej przytomność umysłu, w końcu poprosił, aby zechciała się wstawić za nim do siostry i wyjednała mu łaskawsze przyjęcie. Dona Teresa przyrzekła wszystko, czego żądał, owinęła się szczerlnie w płaszcz i odeszła, przyrzekłszy znaleźć się z siostrą jeszcze tego wieczora na przechadzce w umówionym miejscu.

– Wszystko jak najlepiej – rzekł don Garcja, skoro zostali sami. – Nikt cię nie podejrzewa. Koregidor, który ma mnie na wątrobie, uczynił mi ten zaszczyt, iż zrazu pomyślał o mnie. Przekonany był, powiada, że to ja zabiłem don Christowala. Wiesz, co go odwiodło od tej myśli? To, że mu powiedziano, iż spędziłem cały wieczór z tobą. Masz, mój chłopcze, reputację takiej świętości, że możesz nią obdzielać drugich. Słowem, to fakt, że nikt nie myśli o nas. Spryt tej dzielnej Tereni oszczędził nam obaw na przyszłość. Zatem nie troszczmy się już o to i myślmymy wyłącznie o zabawie.

– Ach, Garcjo – wykrzyknął z żalem don Juan – to bardzo smutna rzecz zabić swego bliźniego!

– Jest inna, jeszcze smutniejsza – odparł don Garcja – kiedy bliźni nas zabije, a trzecia, przewyższająca smutkiem tamte obie, to spędzić dzień bez obiadu. Dlatego zapraszam cię wraz z kilkoma chwatami, którzy będą uszczęśliwieni z twego towarzystwa.

To mówiąc wyszedł.

Miłość przygłuszyła już znacznie wyrzuty naszego bohatera. Próżność zdławiła je do reszty. Studenci, których spotkał na obiedzie u don Garcji, dowiedzieli się odeń, kto był istotnym zabójcą don Christowala. Ów Christowal był to kawaler słynny z odwagi i zręczności,

postrach studentów; toteż śmierć jego mogła ich tylko ucieszyć, a szczęśliwego przeciwnika obsypano powinszowaniami. Wedle ich głosu don Juan był chlubą, kwiatem, ramieniem uniwersytetu. Wypili z zapałem jego zdrowie, a student pewien z Murcji zaimprovizował sonet, w którym porównał go do Cyda i Bernarda del Carpio. Wstając od stołu, don Juan czuł jeszcze niejaki ciężar na sercu; ale gdyby miał moc wskrzeszenia don Christowala wątpliwe jest, czy byłby to uczynił, z obawy postradania czci i chluby, jaką ta śmierć zjednała mu w całym uniwersytecie.

Z nadejściem wieczoru obie strony zjawiły się punktualnie na schadzce, której miejscem było wybrzeże rzeki Tornes. Dona Teresa ujęła za rękę don Juana (nie podawano jeszcze wówczas ręki kobietom), a dona Fausta don Garcję. Po krótkiej przechadzce obie pary rozstały się bardzo rade, z obietnicą, że nie poniechają żadnej sposobności, by ujrzeć się znowu.

Pożegnawszy się z damami, młodzi ludzie natknęli się na kilka Cyganek, tańczących w takt bębenków w gromadce szkolarzy. Przyłączyli się do nich. Tancerki spodobały się don Garcji, który postanowił wziąć je na wieczerzę. Zaproszenie spotkało się z wdzięcznym przyjęciem. Don Juan, jako *fidus Achates*, musiał brać udział w hulance. Jedna z Cyganek powiedziała mu, że wygląda na klasztornego braciszka; podrażniony, silił się dowieść czynem, że przydomek źle jest zastosowany: tańczył, grał i pił co najmniej za dwóch.

Z trudem doprowadzono go do domu po północy; był mocno podpity i tak wściekły, że chciał podpalić Salamankę i wypić cały Tornes, aby nie dopuścić do ugaszenia pożaru.

Tak oto don Juan tracił, jeden po drugim, szczęśliwe przymioty, jakie dała mu natura i wychowanie. Po trzech miesiącach pobytu w Salamance pod kierunkiem don Garcji uwiódł biedną Teresę; towarzysz jego dokonał swego dzieła o jaki tydzień wcześniej. Zrazu don Juan kochał swą lubą całym uczuciem, jakie chłopiec w jego wieku ma dla pierwszej kobiety, która mu się oddała; ale don Garcja dowiódł mu bez trudu, że stałość jest to urojona cnota; wytłumaczył mu, co więcej, że jeśli zechce na orgiach uniwersyteckich odróżniać się od towarzyszy, wyda tym samym na szwank dobrą sławę Teresy. Albowiem (mówił) jedynie miłość namiętna i uwieńczona tryumfem poprzestaje na jednej kobiecie. Zresztą, liche towarzystwo, w jakim don Juan utonął, nie zostawiało mu chwili spokoju. Rzadko pojawiał się na wykładach, lub też, wycieńczony bezsennością i rozpustą, drzemał na uczonych lekcjach najznakomitszych profesorów. W zamian za to był zawsze pierwszy i ostatni na promenadzie; co się zaś tyczy nocy, spędzał ją regularnie w szynkowni lub jeszcze gorzej, o ile nie mogła mu jej poświęcić dona Teresa.

Jednego razu otrzymał liścik od swojej damy, oznajmiający mu z żalem, iż schadzka wyznaczona na tę noc jest niemożliwa. Sędziwej krewnej, przybyłej do Salamanki, oddano pokój Teresy, która miała spać z matką. Zawód ten bardzo umiarkowanie obszedł don Juana, który nie był w kłopotcie o spędzenie wieczoru. W chwili gdy wychodził zaprzątnięty projektami, zakwefiona kobieta oddała mu bilecik, znowuż od dony Teresy. Udało się jej uzyskać inny pokój i wszystko wraz z siostrą przygotowała do schadzki. Don Juan pokazał bilecik don Garcji. Wahali się jakiś czas; następnie, machinalnie i jakby z nawyku, wdrapali się na balkon swych bogdanek i zostali u nich na noc.

Dona Teresa miała na piersi dość pokaźne znamię. Było to olbrzymią łaską, kiedy don Juan dostąpił pierwszy raz oglądania go. Jakiś czas wydawało mu się ono czymś najbardziej uroczym. To porównywał je do fiołka, to do anemonu, to do kwiatu alfalfy. Ale niebawem to znamię, które było w istocie bardzo ładne, przestało z nastaniem sytości mu się podobać.

– Ot, wielka czarna plama, to i wszystko – mówił wzdychając. – Szkoda, że jest tak zepszecona. Pfuj, to przypomina wieprzową skórę na słoninie. Niech kaduk porwie to znamię! – Jednego dnia spytał Teresę, czy nie radziła się lekarza o sposób usunięcia go. Na co biedna paniuszka odpowiedziała, czerwieniąc się po białka, że nie ma w świecie mężczyzny – wyjąwszy jego – który by widział tę plamę; zresztą niania mówiła jej, że takie znamię przynosi szczęście.

Pewnego wieczora don Juan, przybywszy na schadzke dość kwaśny, ujrzał znowuż to znamie, które mu się wydało większe niż kiedykolwiek. – Żywy obraz dużego szczura – mówił sam do siebie przyglądając się plamie. – W istocie, to potworne! To piętno przekleństwa, podobne temu, którym naznaczono Kaina. Trzeba oszaleć, aby utrzymywać stosunki z podobną kobietą. – Był przykry do ostatnich granic. Dokuczał bez powodu biednej Teresie, która się rozplakała, i opuścił ją o świcie bez jednego pocałunku. Don Garcja, który wyszedł wraz z nim, kroczył jakiś czas w milczeniu; po czym zatrzymał się nagle i rzekł:

– Przyznaj, don Juanie, żeśmy się porządnie wynudzili tej nocy. Co do mnie, już mi to kością w gardle staje, mam wielką ochotę wyprawić moją pannicę do stu diabłów!

– Głupstwo byś zrobił – rzekł don Juan – Fausta jest uroczym stworzeniem, biała jak łąbądź i zawsze w dobrym humorze. A przy tym tak cię kocha! Doprawdy, jesteś bardzo szczęśliwy.

– Biała jest, to prawda; przyznaję, że jest biała; ale nie ma kolorów: przy siostrze wydaje mi się niby sowa przy gołębicy. To ty jesteś szczęśliwy.

– Tak sobie – odparł don Juan. – Ta mała jest milutka, ale to dziecko. Nie można się z nią rozsądnie dogadać. Głowę ma nadzianą rycerskimi romansami, wytworzyła sobie o miłości najdziksze pojęcia. Nie masz wprost pojęcia o jej wymaganiach!

– Bo ty jesteś za młody, Juanie, nie umiesz sobie ułożyć kochanki. Kobieta, widzisz, to jak koń; jeśli jej pozwolisz nabrać złych narowów, jeśli jej nie wpoisz przekonania, że nie darujesz najłżejszego kaprysu, nigdy z niej nic nie zrobisz.

– Powiedz mi, Garcjo: czy ty naprawdę traktujesz swoje kochanki tak jak swoje konie? Czy często używasz pręta, aby przepędzić ich kaprysy?

– Rzadko; ale ja jestem za dobry. Posłuchaj: chcesz mi ustąpić Teresy? Przrzekam, że do dwóch tygodni będzie jak rękawiczka. Ofiaruję ci w zamian Faustę. Czy mam jeszcze wydać reszty?

– Handel byłby niezły – rzekł don Juan z uśmiechem – gdyby i nasze damy zgodziły się na to. Ale dona Fausta nie ustąpi cię nigdy. Za wiele straciłaby na zamianie.

– Jesteś zbyt skromny; ale uspokój się. Tak ją pognębiłem wczoraj, że pierwszy z brzegu będzie jej po mnie jak anioł z nieba dla potępieńca. Czy wiesz, Juanie – ciągnął don Garcja – że ja mówię bardzo serio?

A don Juan śmiał się do rozpuku z powagi, z jaką przyjaciel wygłaszał te szaleństwa.

Tę budującą rozmowę przerwało nadejście paru studentów; myśli pobiegły innym torem. Gdy nadszedł wieczór i dwaj przyjaciele usiedli przy butelce, don Garcja znów się zaczął skarżyć na kochankę. Otrzymał właśnie list od dony Fausty, pełen serdecznych słów i tkliwych wymówek, poprzez które przebijał jej miły dowcip i jej nawyk ujmowania każdej rzeczy z komicznej strony.

– Ot – rzekł don Garcja – podając list don Juanowi i ziewając szeroko – przeczytaj ten piękny kawałek. Znów schadzka na dziś wieczór! Ale niech mnie czarci porwą, jeśli pójdę!

Don Juan przeczytał list, który mu się wydał czarujący.

– W istocie – rzekł – gdybym miał kochankę taką jak twoja, jedynym mym staraniem byłoby uczynić ją szczęśliwą.

– Bierz ją tedy, mój chłopcze! – wykrzyknął don Garcja. – Bierz ją, nasyc się nią do woli. Przelewam na ciebie swoje prawa. Zrobmy lepiej – dodał wstając, jakby olśniony nagle – zagrajmy o nasze kochanki. Oto karty. Zrobmy partię lombra. Stawiam donę Faustę, ty dawaj na stół Teresę.

Don Juan, śmiejąc się do łez z konceptu, wziął karty i stasował. Mimo że prawie zupełnie nie uważał na grę, wygrał. Don Garcja, bynajmniej nie stroskany przegraną, zażądał pióra i inkaustu i sporządził coś w rodzaju obligu na imię dony Fausty, której zalecał oddać się do rozporządzenia okaziciela, zupełnie tak jakby kazał swemu intendentowi wyliczyć sto dukatów któremuś z wierzycieli.

Don Juan, śmiejąc się ciągle, ofiarował don Garcji rewanż. Ale ten odmówił. – Jeśli masz nieco odwagi – rzekł – weź mój płaszcz i udaj się do wiadomej furtki. Zastaniesz tam tylko Faustę, wobec tego, że Teresa nie spodziewa się ciebie. Idź za nią bez słowa; skoro raz znajdziesz się w jej pokoju, może będzie chwilę zdziwiona, może nawet uroni parę łez, ale niech cię to nie kłopotczy. Bądź pewien, że nie ośmieli się krzyknąć. Pokaż jej mój list; powiedz, że jestem ohydny zbrodniarzem, potworem, czym ci się żywnie podoba; dodaj, że ma łatwy i szybki sposób zemścić się, i bądź pewien, że ta zemsta wyda się jej bardzo słodka.

Z każdym słowem don Garcji diabeł zatapiał głębiej pazury w serce don Juana i szeptał mu, że to, co uważał dotąd za czczy żart, mogłoby się dlań skończyć w nader przyjemny sposób. Przeszał się śmiać, rumieniec żądy ubarwił mu czoło.

– Gdybym był pewien – rzekł – że Fausta się zgodzi...

– Czy się zgodzi! – wykrzyknął bezecnik. – Co z ciebie za żółtodziób, mój kamracie, aby myśleć, że kobieta może się wahać między dawnym kochankiem a nowym! Wierzaj, podziękujecie mi oboje jutro, nie wątpię, a jedyna nagroda, o którą cię proszę, to abyś mi pozwolił w zamian, umizgnąć się do Teresy.

Następnie, widząc, że don Juan jest już niemal przekonany, rzekł:

– Namyśl się. Co do mnie, nie pójde do Fausty dziś wieczór; jeśli ty jej nie zechcesz, dam ten liścik grubemu Fadrykowi i on skorzysta z gratki.

– Na honor, niech się dzieje, co chce! – wykrzyknął don Juan chwytając list i, aby sobie dodać odwagi, wychylił duszkiem szklanę wina.

Pora schadzki zbliżała się. Don Juan, którego wstrzymywała jeszcze reszta sumienia, pił na umór, aby je zagłuszyć. Wreszcie zegar wybił godzinę. Don Garcja zarzucił swój płaszcz na barki don Juana i odprowadził go aż do furtki; po czym, dawszy umówiony znak, życzył mu dobrej nocy i oddalił się bez najmniejszego wyrzutu.

Natychmiast drzwiczki otworzyły się. Dona Fausta już czekała.

– To ty, don Garcjo? – spytała cicho.

– Tak – odparł don Juan jeszcze ciszej, z twarzą ukrytą w fałdach płaszcza. Skoro drzwi się zamknęły, zaczął wstępować po ciemnych schodach za swoim przewodnikiem.

– Weź kraj mojej mantylki – rzekła – i idź za mną najciszej, jak zdołasz.

W kilka chwil znalazł się w izdebce Fausty. Jedna lampka oświecała ją słabym blaskiem. Zrazu don Juan, nie zdejmując płaszcza ani kapelusza, stał w miejscu, tuż przy drzwiach, nie śmiejąc odsłonić twarzy. Dona Fausta patrzyła nań jakiś czas bez słowa, po czym podeszła wyciągając ręce. Wówczas don Juan, odrzucając płaszcz, odpowiedział tym samym gestem.

– Jak to! To pan, don Juanie?! – wykrzyknęła. – Czy don Garcja chory?

– Chory? Nie – odparł don Juan. – Ale nie może przyjść. Przysłał mnie na swoje miejsce.

– Och! Co za przykrość! Ale powiedzcie mi, wszak to nie inna kobieta broni mu przyjść?

– Zna pani jego słabostki?...

– Och, jakże siostra ucieszy się z pańskiego przybycia! Biedna mała! Myślała, że pan nie przyjdzie... Pozwól, don Juanie, pójde ją uwiadomić.

– Nie potrzeba.

– Pan ma jakąś dziwną minę, don Juanie... Ty masz dla mnie jakąś złą wiadomość... Mów! Czy don Garcji zdarzyło się nieszczęście?

Aby sobie oszczędzić kłopotliwej odpowiedzi, don Juan podał biednej dziewczynie ohydny bilecik don Garcji. Przeczytała spiesznie, ale nie zrozumiała zrazu. Odczytała jeszcze raz, nie mogąc uwierzyć oczom. Don Juan przyglądał się jej z uwagą; widział, jak na przemian wodzi ręką po czole, przeciera oczy; wargi jej drgają, śmiertelna bladeść okryła twarz. Musiała oburącz trzymać papier, żeby nie upadł na ziemię. Wreszcie, zrywając się z rozpaczliwym wysiłkiem, zawołała:

– To wszystko kłamstwo! To okropny fałsz! Don Garcja nigdy by tego nie napisał! Don Juan odparł:

– Znasz jego pismo. Nie umiał ocenić skarbu, który posiadał... a ja przyjąłem, bo cię ubóstwiam.

Obrzuciła go spojrzeniem najgłębszej wzgardy i zaczęła odczytywać list z bacznością adwokata, który podejrzewa fałszerstwo. Oczy jej, nadmiernie rozszerzone, wpiły się w papier. Od czasu do czasu spod nieruchomej powieki wymykała się duża łza i spadała spłynawszy po licu. Naraz uśmiechnęła się uśmiechem obłąkanej i krzyknęła:

– To żart, nieprawdaż, to żart?! Don Garcja jest tu, zaraz przyjdzie!...

– To nie żart, Fausto. Nic prawdziwszego nad miłość moją do ciebie. Byłbym bardzo nieszczęśliwy, gdybyś mi nie uwierzyła.

– Nędzniku! – wykrzyknęła dona Fausta. – Ale, jeśli ty mówisz prawdę, jesteś większym jeszcze zbrodniarzem niż don Garcja.

– Miłość usprawiedliwia wszystko, piękna Faustyńko. Don Garcja rzuca cię, weź mnie na pocieszenie. Widzę na twym płótnie Bachusa i Ariadnę; pozwól mi być twoim Bachusem.

Nie odpowiadając słowa, chwyciła ze stołu nóż i trzymając go nad głową postąpiła ku don Juanowi. Ale on spostrzegł ruch, chwycił ją za rękę, rozbroił bez trudu, po czym uważając się w prawie ukarania jej za ten nieprzyjacielski krok, ucałował ją kilkakrotnie i chciał pociągnąć na kanapę. Dona Fausta była wątpła i delikatna, ale gniew dodał jej siły; opierała się don Juanowi, to czepiając się mebli, to broniąc się rękami, nogami i zębami. Zrazu don Juan zniósł kilka ciosów z uśmiechem, ale niebawem gniew zawrzał w nim równie silnie jak miłość. Przydusił Faustę, nie lękając się uszkodzić jej delikatnej skóry. Był niby podrażniony zapachem, który chce za wszelką cenę pokonać przeciwnika, gotów udusić go, jeśli trzeba, byle zwyciężyć. Wówczas Fausta uciekła się do ostatniej broni, jaka jej została. Dotąd uczucie wstydu broniło jej wołać pomocy; ale widząc, iż lada chwilę może być pokonana, napelniła dom swoim krzykiem.

Don Juan zrozumiał, że nie chodzi już o posiadanie ofiary i że przede wszystkim winien myśleć o swoim bezpieczeństwie. Chciał odepchnąć Faustę i dostać się do drzwi, ale ona czepiała się jego sukien, nie mógł się uwolnić. Równocześnie dał się słyszeć hałas otwieranych drzwi; kroki i głosy zbliżały się, nie było chwili do stracenia. Zebrał siły, aby odtrącić donę Faustę, ale trzymała go za kaftan z taką siłą, że okręcił się jedynie, nie zyskując nic prócz zmiany pozycji. Fausta znalazła się od strony drzwi, które otwierały się do wewnątrz. Krzyczała ciągle. W tej chwili otworzyły się drzwi; człowiek z muszkietem zjawił się w progu. Wydaje krzyk zdumienia, po którym następuje wystrzał. Lampa zgasła, don Juan uczył, że ręce dony Fausty zwolniły uścisk i że coś ciepłego i mokrego spływa po jego dłoniach. Padła lub raczej osunęła się na podłogę; kula strzaskała jej krzyżę; ojciec zabił ją zamiast gwałciiciela. Don Juan, czując się wolny, rzucił się ku drzwiom poprzez dym muszkietu. W drodze otrzymał uderzenie kolbą od ojca i pchnięcie szpadą od lokaja, ale żaden z tych ciosów nie wyrządził mu wielkiej szkody. Dobywszy szpady silił się przebić sobie drogę i zgasić światło, które niósł lokaj. Przerażony jego natarciem, sługa cofnął się. Alonzo de Ojeda, człowiek krewki i nieustraszony, rzucił się bez wahania na don Juana; ten odbił kilka ciosów, mając zrazu zamiar jedynie się bronić, ale biegłość w szermierce sprawia, iż riposta po zastawie staje się ruchem machinalnym i niemal bezwolnym... Po krótkiej walce ojciec dony Fausty wydał głębokie westchnienie i padł śmiertelnie ranny. Don Juan, mając wolne przejście, pomknął jak strzała na schody, stamtąd ku furtce, którą wydostał się w mgnieniu oka na ulicę, nie ścigany przez służbę, która skupiła się koło umierającego pana. Dona Teresa, która nadbiegła na huk muszkietu, widziała tę straszną scenę i padła zemdlona obok ojca. Znała jedynie połowę swego nieszczęścia.

Don Garcja kończył właśnie ostatnią butelkę, kiedy don Juan, blady, okryty krwią, z błędnymi oczami, podartym płaszczem i przekreślonym rabatem, wpadł do pokoju i rzucił się zdyśzany na fotel, nie mogąc wymówić słowa. Tamten zrozumiał natychmiast, że zaszło coś poważnego. Pozwolił don Juanowi odetchnąć, poczym spytał o szczegóły; w mgnieniu oka pojął

wszystko. Don Garcja, który niełatwo wychodził ze zwykłej flegmy, wysłuchał bez mrugnięcia okiem bezładnej opowieści przyjaciela; następnie napełnił szklanekę i podając mu ją rzekł:

– Pij, potrzebujesz tego. Głupia sprawa – dodał napiwszy się sam. – Zabić ojca to nie lada co... Hm, bywały tego przykłady, zacząwszy od Cyda. Najgorsze to, że nie masz pięciuset ludzi, ubranych białą, samych twoich krewniaków, którzy by cię ochronili od straży miejskiej i krewnych nieboszczyka... Zajmijmy się tym, co najpilniejsze...

Przeszedł parę razy po pokoju, jakby dla zebrania myśli.

– Zostać w Salamance – podjął – po takiej awanturze to by było szaleństwo. Don Alonzo de Ojeda nie byle szlachetka; przy czyni służba musiała cię poznać. Przypuśćmy na chwilę, że cię nie poznano; zyskałeś sobie obecnie na uniwersytecie tak piękną reputację, że nie zważają się przypisać ci tej bezimiennej zbrodni. Wierzaj mi, trzeba zmykać, im prędzej, tym lepiej. Nabyłeś tu trzy razy więcej nauki, niż przystało szlachcicowi z dobrego domu. Zostaw Minerwę i popróbuj trochę Marsa; to ci lepiej posłuży, masz wszystkie warunki po temu. Biją się we Flandrii. Idźmy tłuc heretyków; to najlepszy sposób, aby okupić nasze grzeszki na tym świecie. Amen! Kończę jak na kazaniu.

Słowo „Flandria” podziało na don Juana magicznie. Miał uczucie, że opuścić Hiszpanię to znaczy uciec przed samym sobą. Wśród trudów i niebezpieczeństw wojennych nie będzie miał czasu na wyrzuty.

– Do Flandrii! do Flandrii! – wykrzyknął – Chodźmy tłuc się we Flandrii!

– Z Salamanki do Brukseli to kawał drogi – odparł poważnie don Garcja – a w twoim położeniu nie można zwlekać ani godziny. Pamiętaj, że jeżeli pan koregidor cię złapie, trudno ci będzie odbyć kampanię inaczej niż na galerach J.K. Mości.

Narodziwszy się chwilę z przyjacielem don Juan zrzucił z siebie szybko suknie studenta. Przywdział skórzany kaftan, taki jak wówczas nosili żołnierze, kapelusz z dużym rondem, i nie omieszkał wypchać pasa tyłoma dukatami, ile ich tylko don Garcja mógł dostarczyć. Wszystkie te przygotowania zajęły ledwie kilka minut. Puścił się w drogę pieszo, wyszedł z miasta nie poznany przez nikogo, idąc całą noc i cały ranek, póki skwar słoneczny nie zmusił go do spoczynku. W pierwszym mieście, które napotkał, kupił konia i, przyłączywszy się do gromadki podróżnych, dobił bez przeszkód do Saragossy. Tam został kilka dni pod mianem don Juana Carrasco. Don Garcja, który opuścił Salamankę w dzień po nim, puścił się inną drogą i spotkał się z nim w Saragossie. Nie zabawili tam długo. Pomodliwszy się bardzo spieszenie przed ołtarzem cudownej Matki Boskiej (nie bez pozierania przy tym na aragońskie piękności), obaj, każdy mając przy boku tęgiego pacholka, udali się do Barcelony, gdzie wsiedli na statek do Civita Vecchia. Zmęczenie, morska choroba, nowość krajobrazu i wrodzona płochliwość don Juana, wszystko złożyło się na to, aby zatrzeć w jego pamięci straszliwe sceny, które zostawił za sobą. Kilka miesięcy uciechy, jakie dwaj przyjaciele poznali we Włoszech, kazały im zaniedbać istotnego celu podróży; ale skoro w kalecie zaczęło się przerzedzać, przyłączyli się do gromadki rodaków, jak oni dzielnych i nie bogatych w złoto, i puścili się do Niemiec.

Skoro przybyli do Brukseli, każdy zaciągnął się do kompanii tego kapitana, który mu przypadł do serca. Dwaj przyjaciele postanowili rozpocząć służbę pod rozkazami don Manuela Gomare: najpierw był rodem z Andaluzji, po wtóre miał opinię, że wymaga od żołnierzy jedynie odwagi i dobrze wyostrzonej broni, poza tym patrzył przez palce na kwestię dyscypliny.

Zachwycony ich dzielnym wyglądem, kapitan obchodził się z nimi dobrze i wedle ich pragnień, to znaczy używał ich we wszystkich niebezpiecznych okazjach. Los sprzyjał im: gdzie wiele kamratów znalazło śmierć, tam oni nie otrzymali nawet rany i zwrócili na siebie uwagę generałów. Uzyskali stopień chorążych jednego i tego samego dnia. Z tą chwilą, pewni szacunku i życzliwości przełożonych, wyznali swoje prawdziwe nazwiska i podjęli zwyczajny tryb życia, to znaczy trawili dzień na grze lub pijaństwie, a noc na serenadach, wyprawianych

dla najpiękniejszych kobiet w miasteczku, gdzie mieli leże zimowe. Otrzymali przebaczenie rodziców, co ich wzruszyło dość średnio, oraz przekazy na bankierów w Antwerpii. Zrobili z nich dobry użytek. Byli młodzi, bogaci, dzielni i sprytni, toteż podboje ich były liczne i szybkie. Nie będą się rozwodził nad szczegółami; niech wystarczy czytelnikowi, iż skoro ujrzeli ładną kobietę, wszystkie sposoby były im dobre, aby ją zdobyć. Obietnice, przysięgi były jedynie igraszką dla tych niecnych rozpustników; a jeśli braciom lub mężom nie podobało się ich postępowanie, mieli jako odpowiedź szpady z dobrej stali i serca bez litości.

Wojna rozpoczęła się na nowo z wiosną.

W potyczce, która obróciła się nieszczęśliwie dla Hiszpanii, kapitan Gomare otrzymał śmiertelną ranę. Don Juan, który widział, jak pada, podbiegł ku niemu i zawołał kilku żołnierzy, aby go unieśli; ale dzielny kapitan, zbierając resztkę sił, rzekł:

– Pozwólcie mi umrzeć tutaj; czuję, że to koniec. Tu czy pół mili dalej, wszystko jedno. Oszczędź swoich żołnierzy; będą mieli dość zajęcia; widzę Holendrów, którzy zbliżają się w znacznej sile.

Dzieci – rzekł do żołnierzy, którzy się krzątali koło niego – śpieszcie do sztandarów i nie troszczcie się o mnie.

W tej chwili nadbiegł don Garcja i spytał go, czy nie ma jakiej ostatniej woli, którą by należało wykonać po jego śmierci.

– Czegóż, u licha, chcesz, abym pragnał w takiej chwili?...

Namyślał się chwilę.

– Nigdy dużo nie myślałem o śmierci – podjął – i nie sądziłem, aby była tak bliska... Dostać rad byłbym mieć tutaj jakiego księdza... Ale wszystkie nasze mnichy są przy taborach... Ciężko jest człowiekowi umierać bez spowiedzi!

– Oto mój brewiarz – rzekł don Garcja podając mu manierkę z winem. – Zaczerpnij w nim otuchy.

Oczy starego żołnierza zasnuwały się już mgłą. Nie zwrócił uwagi na koncept don Garcji, ale wiarusy, które go otaczały, były mocno zgorzone.

– Don Juanie – rzekł umierający – zbliż się, moje dziecko. Pójdź, robię cię moim spadkobiercą. Weź tę sakiewkę, zawiera wszystko, co posiadam; lepiej, żeby się dostała tobie niż tym heretykom. Jedyna rzecz, o którą cię proszę, to abys kazał odprawić kilka mszy za spokój mej duszy.

Don Juan przyrzekł, ściskając mu rękę, podczas gdy don Garcja zwracał mu po cichu uwagę na różnicę, jaka zachodzi między poglądami człowieka, który oddaje ostatnie technienie, a tymi, które wygłasza siedząc przy stole i przy pełnej butelce. Parę kul świsnęło mu koło uszu, zwiastując Holendrów. Żołnierze wrócili do szeregów. Każdy pożegnał spiesznie kapitana Gomare i myślał już tylko o tym, aby wykonać odwrót w porządku. Było to dość trudne. Nieprzyjaciel był w przeważającej liczbie, drogi rozmokłe od deszczu, a żołnierze znużeni długim marszem. Mimo to Holendrzy nie mogli ich ukąsić i poniechali pościgu z nadejściem nocy, nie zdobywszy ani jednego sztandaru i nie chwyciwszy ani jednego jeńca, oprócz rannych.

Wieczorem dwaj przyjaciele, siedząc w namiocie z kilkoma oficerami, rozprawiali o potyczce. Ganiiono zarządzenia dowódcy i widziano po fackie jasno, co trzeba było uczynić. Następnie zaczęli mówić o zabitych i rannych.

– Kogo jak kogo – rzekł don Juan – ale kapitana Gomare długo będę żałował. Był to dzielny oficer, dobry kompan, prawdziwy ojciec dla żołnierzy.

– Tak – rzekł don Garcja – ale przyznam się, że zdumiał mnie niemało swoim strapieniem o to, że nie ma klechy pod bokiem. To dowodzi tylko, że łatwiej być dzielnym w słowach niż w czynach. Niejeden drwi sobie z niebezpieczeństwa na odległość, a błędnie, kiedy się doń zbliży. Ale, ale, don Juanie, skoro jesteś jego spadkobiercą, powiedz nam, co jest w sakiewce, którą ci zostawił.

Don Juan otworzył ją pierwszy raz i ujrzał około sześćdziesięciu sztuk złota.

– Skoro jesteśmy przy pieniądzach – rzekł don Garcja, nawykły uważać sakiewkę przyjaciela za własną – czemu byśmy nie mieli zrobić partyjki faraona, zamiast popłakiwać nad zabitymi kamratami?

Propozycja przypadła wszystkim do smaku; przyniesiono parę bębnow, które, przykryte płaszczem, posłużyły za stół do gry. Don Juan rozpoczął partię, wspierany radami don Garcji, ale nim zaczął stawiać, wyjął z sakiewki dziesięć sztuk złota, które zawinął w chustkę i schował do kieszeni.

– Cóż ty, u diaska, chcesz z tym zrobić?! – wykrzyknął don Garcja. – Żołnierz, który składa pieniądze! I to w wilię bitwy!

– Wiesz, don Garcjo, że nie wszystkie pieniądze są moje. Don Manuel uczynił mi zapis *sub poena nomina*, jak mawialiśmy w Salamance.

– Niech czart porwie tego dudka! – wykrzyknął don Garcja. – Toć on, do stu tysięcy kaduków, ma zamiar oddać tych dziesięć dukatów pierwszemu klesze, na którego się natkniemy!

– Czemu nie? Przyrzekłem.

– Milcz! Na brodę Mahometa, wstyd mi przynosisz, nie poznaję cię.

Gra szła swoim trybem; szczęście było zrazu zmienne, ale niebawem obróciło się wyraźnie przeciwko don Juanowi. Daremnie silił się przemóc kartę; po godzinie wszystkie pieniądze, jakie posiadał, wraz z pięćdziesięcioma dukatami kapitana Gomare, przeszły do rąk bankiera. Don Juan chciał iść spać, ale don Garcja zaciekł się, krzyczał, że musi się odegrać.

– Dalej, mości Roztropnicki – rzekł – doładź no te ostatnie dukaty, które schowałeś tak troskliwie. Jestem pewien, że nam przyniosą szczęście.

– Pomyśl, don Garcjo, przyrzekłem!...

– Et, dzieciak z ciebie! Na dużo się zdadzą te msze teraz. Gdyby kapitan był tutaj, raczej byłby złupił kościół, niż przepuścił kartę bez stawki.

– Masz więc pięć dukatów. Nie stawiaj ich na jeden raz.

– Żadnych słabości! – rzekł don Garcja. – I postawił pięć dukatów na króla. Wygrał, postawił znowu i przegrał w następnym rozdaniu.

– Dawaj tych ostatnich pięć! – wykrzyknął blednąc z gniewu. Don Juan bronił się dość słabo, wreszcie ustąpił; dał cztery dukaty, które poszły za tamtymi. Don Garcja rzucił karty w nos bankierowi i wstał wściekły. Rzekł do don Juana:

– Ty miałeś zawsze szczęście, a słyszałem, że ostatni talar ma dar odżegnywania nieszczęścia.

Don Juan był nie mniej wściekły od przyjaciela. Nie myślał już o mszach ani o swojej przysiędze. Postawił ostatniego dukata na asa i przegrał go w jednej chwili.

– Do czarta z duszą kapitana Gomare! – wykrzyknął. – Zdaje się, że jego pieniądze były urzeczzone.

Bankier spytał, czy chcą grać jeszcze; ale ponieważ nie mieli już pieniędzy, niełatwo się zaś kredytuje ludziom narażającym się co dzień na kulę, trzeba im było poniechać gry i szukać pociechy w kompanii pijaków. O duszy biednego kapitana zapomniano zupełnie.

W kilka dni potem Hiszpanie, otrzymawszy posiłki, podjęli ofensywę i posunęli się na przód. Szli przez miejsce, gdzie się niedawno bito. Umarli leżeli jeszcze nie pogrzebani. Don Garcja i don Juan popędzili konie, aby minąć te trupy, rażące zarówno wzrok, jak powonienie. Naraz żołnierz jadący przed nimi wydał głośny krzyk na widok ciała leżącego w rowie. Zbliżyli się i poznali kapitana Gomare, mimo iż był prawie nie do poznania. Rysy jego, wykrzywione i zmartwiałe w straszliwych konwulsjach, świadczyły, że ostatnim jego chwilom towarzyszyły okrutne męczarnie. Mimo że już oswojony z takimi obrazami, don Juan mimo woli zadrzał na widok tego trupa, którego oczy, szkliste i nabiegłe skrzeplą krwią, jak gdyby wpatrywały się weń groźnie. Przypomniawszy sobie ostatnie zlecenie biednego kapitana, zlecenie, któremu się tak sprzeniewierzył. Mimo to serce jego, które tak silnie starał się zatwardzić,

otrząsnęło się niebawem z tych wyrzutów. Kazał szybko wykopać rów, aby pogrzebać kapitana. Przypadkowo znalazł się jakiś kapucyn, który pospiesznie odmówił kilka pacierzy. Pokropiono trupa święconą wodą, przysypano ziemią i kamieniami, i żołnierze ruszyli dalej bardziej milczący niż zwykle; ale don Juan zauważył starego muszkietera, który długo szukał w kieszeni, znalazł wreszcie talara i dał go kapucynowi mówiąc:

– To na mszę za duszę kapitana Gomare.

Tego dnia don Juan złożył dowody szczególnej odwagi i narażał się na ogień nieprzyjaciół z taką nieopatrnością, iż można by myśleć, że szuka śmierci.

– Bywa człowiek taki dzielny, kiedy nie śmierdzi groszem – mówili koledzy.

W niedługi czas po śmierci kapitana Gomare do kompanii, w której służyli don Juan i don Garcja, przyjęto młodego rekruta; wydawał się tęgi i odważny, ale o zagadkowym i skrytym charakterze. Nigdy nie widziano go, aby pił i grał z kolegami; spędzał godziny całe na ławce w strażnicy, patrząc na latające muchy albo bawiąc się kurkiem muszkietu. Żołnierze, którzy podrwiali z jego wstrzemięźliwości, dali mu przydomek Modesto. Pod tym mianem znali go wszyscy w kompanii, nawet przełożeni nie dawali mu innego miana.

Kampania zakończyła się oblężeniem Berg-op-Zoom; był to, jak wiadomo, jeden z najbardziej morderczych epizodów tej wojny, ile że oblężeni bronili się zaciekle. Jednej nocy dwaj przyjaciele mieli wspólną służbę na wałach, wówczas tak zbliżonych do murów fortecznych, iż posterunek ten był nader niebezpieczny. Wycieczki oblężonych powtarzały się raz po raz, a ogień był żywy i celny.

Połowa nocy minęła na nieustannych utarczkach; następnie oblężeni i oblegający po równi ulegli zmęczeniu. Z jednej i z drugiej strony zaprzestano strzelaniny, głęboka cisza zaległa na równinie. Od czasu do czasu przerywały ją jedynie rzadkie wystrzały, mające dowieść, że jeśli poniechano walki, sprawuje się, bądź co bądź, czujne, straże. Było około czwartej rano; jest to chwila, w której człowiek, spędziwszy bezseną noc, doznaje wrażenia dotkliwego chłodu oraz jakiegoś szczególnego przygnębienia, spowodowanego zmęczeniem i chęcią snu. Nie ma uczciwego żołnierza, który by nie przyznał, iż w podobnym stanie ducha i ciała zdolny jest do słabości, za którą będzie się rumienił po wschodzie słońca.

– Króćset bomb! – wykrzyknął don Garcja drepzcząc w miejscu, aby się rozgrzać i otulając się szczelnie płaszczem. – Czuję, że szpik krzepnie mi w kościach, sądzę, że dziecko holenderskie zatłukłoby mnie z łatwością, mając za całą broń dzbanek od piwa. Dalibóg, nie poznaję sam siebie. Toć zatrzęsłem się cały od tej salwy. Ba! gdybym był świętoszkiem, mógłbym łatwo wziąć ten stan za ostrzeżenie nieba.

Wszyscy obecni, a zwłaszcza don Juan, zdziwili się niepomnie słysząc w jego ustach: Niebo, gdyż nie zajmował się nim nigdy lub jeśli je wspomniał, to aby zeń sobie drwić. Wzdając, że ten i ów uśmiecha się na te słowa, don Garcja, party uczuciem próżności, zakrzyknął:

– Niech tylko nikomu nie przyjdzie do głowy, że ja się boję Holendrów, Boga albo diabła, bo po złuzowaniu wart miałby ze mną do czynienia!

– Holendrów dobrze; ale co się tyczy Boga i Złego, to trzeba się ich bać – rzekł stary kapitan ze szpakowatym wąsem i różańcem okręconym o rękę szpady.

– Cóż mi mogą zrobić? – spytał. – Piorun nie niesie tak celnie jak muszkiet protestancki.

– A dusza? – rzekł kapitan, żegnając się na to straszliwe przekleństwo.

– A dusza... trzeba by przede wszystkim wiedzieć, czyją mam. Któż mi powiedział, że ja mam duszę? Księża. Otóż wynalazek duszy przynosi im tak ładne dochody, że nie ulega wątpliwości, iż oni są jej autorami, tak jak pasztet wymyślili pasztetnicy, aby go sprzedawać.

– Don Garcja, ty źle skończysz – rzekł stary kapitan. – Nie trzeba mówić takich rzeczy w okopach.

– W okopach czy gdzie indziej mówię, co myślę. Milczę już zresztą, bo memu koledze don Juanowi kapeluszczyk zleci do rowu, tak mu włosy jeżą się na głowie. On nie tylko wierzy w duszę; on wierzy i w dusze czyścicowe.

– Ja nie jestem filozofem – rzekł don Juan śmiejąc się – i zazdroścę ci nieraz twojej wspaniałej obojętności na rzeczy pozaziemskie. Przyznaję, choćbyś się miał śmiać ze mnie, bywają chwile, w których to, co opowiadają o potępionych, przyprawia mnie o niemiłą zadumę.

– Najlepszy dowód bezsilności diabła – to, że jesteś dziś ze mną na tych wałach. Na honor, panowie – rzekł don Garcja, klepiąc don Juana po ramieniu – gdyby istniał diabeł, już byłby porwał tego chłopca. Mimo że tak młody, macie w nim obraz istnego piekielnika. Oporządził więcej kobiet i utrupił więcej mężczyzn, niżby tego mogło dokazać dwóch ojców franciszkanów i dwóch walenckich zbirów.

Nie dokończył ostatniego słowa, kiedy padł strzał od szanca dotykającego hiszpańskiego obozu. Don Garcja podniósł rękę do piersi i krzyknął:

– Ranny jestem!

Zachwiał się i prawie natychmiast upadł. Równocześnie ujrano, iż człowiek jakiś ucieka, ale ciemność zasłoniła go przed pościgiem.

Rana don Garcji okazała się śmiertelna. Strzał oddano z bardzo bliska, a broń nabita była kilkoma kulami. Ale zatwardziały bezbożnik ani na chwilę nie zaparł się samego siebie. Posłał do diabła tych, którzy napomknęli mu o spowiedzi, po czym rzekł do don Juana:

– Jedno tylko martwi mnie po śmierci, to iż kapucyni wytłumaczą ci, że to był sąd boży na mnie. Przyznaj wraz ze mną, że nie ma nic naturalniejszego nad to, że żołnierz ginie od kuli. Powiadają, że strzał padł od naszej strony; to pewnie jakiś zazdrośnik kazał mnie zamordować przez zemstę. Każ go sumiennie powiesić, jeśli złapiesz. Słuchaj, don Juanie, mam dwie kochanki w Antwerpii, trzy w Brukseli, i inne jeszcze, których sobie nie przypominam... pamięć mi się mąci... Zapisuję ci je... w braku czego lepszego... Weź jeszcze moją szpadę... a zwłaszcza nie zapomnij pchnięcia, którego cię nauczyłem... Bądź zdrow... i zamiast mszy niech wszyscy kamraci urządzią tęgą hulankę po moim pogrzebie.

Takie mniej więcej były jego ostatnie słowa. O Boga, o tamten świat nie zatroszczył się tak samo, jak wtedy, gdy był w pełni sił i życia. Umarł z uśmiechem na ustach, próżność dała mu siłę podtrzymania do końca wstrętnej roli, którą odgrywał tak długo. Modesto nie pojawił się już. Cała armia była przekonana, że to on zamordował don Garcję; ale wszyscy gubili się w próżnych domysłach co do pobudek, jakie go mogły popchnąć do tego zamachu.

Don Juan żałował don Garcji więcej, niż gdyby stracił rodzzonego brata. Powiadał sobie, szalony! że jemu zawdzięcza wszystko. On wtajemniczył go w wiedzę życia, on zdjął mu z oczu grubą łuskę, która je przesłaniała. „Czym ja byłem, nimem go poznał?” pytał sam siebie, a miłość własna powiadała mu, że stał się istotą wyższą od innych ludzi. Słowem, wszystko zło, jakie w istocie wyrządziła mu znajomość z tym bezbożnikiem, on zmieniał na dobro i miał dlań całą wdzięczność, jaką uczeń winien mieć dla mistrza.

Smutne wrażenie, jakie nań wywarła ta śmierć tak nagła, przetrwało dość długo w jego umyśle, powodując na kilka miesięcy odmianę życia. Ale stopniowo don Juan wrócił do dawnych przyzwyczajęń, zbyt już zakorzenionych, aby jeden wypadek mógł je zmienić. Zaczął znów grać, pić, bałamucić żony i bić się z mężami. Co dnia miał nowe przygody. Dziś wdzierał się na wyłom, jutro wspinał się na balkon, rano krzyżował szpadę z mężem, wieczór pił z ladacznicami.

Wśród tej rozpusty dowiedział się o śmierci ojca; matka przeżyła męża ledwie o kilka dni, tak iż obie wiadomości otrzymał na raz. Bankierzy, zgodnie z jego własną ochotą, radzili mu, aby wrócił do Hiszpanii i objął w posiadanie majorat oraz wielkie dobra, które mu przypadły w dziedzictwie. Od dawna już zyskał ulaskawienie za śmierć don Alfonsa de Ojeda, ojca dony Fausty, i uważał tę sprawę za zupełnie załatwioną. Zresztą miał ochotę spróbować się na szerszej scenie. Myślał o rozkoszach Sewilli i o licznych pięknościach, które czekają bez wątpienia tylko na jego przybycie, aby mu otworzyć ramiona. Zrzuciwszy tedy zbroję, puścił się do Hiszpanii. Zabawił jakiś czas w Madrycie; ściągnął na siebie uwagę na walce byków bo-

gactwem stroju oraz zręcznością w gonitwie; dokonał paru podbojów, ale nie zatrzymał się tam długo.

Przybywszy do Sewilli, olśnił wielkich i małych swoim przepychem i wspaniałością. Co dnia wydawał nowe uczyty, na które zapraszał najpiękniejsze damy Andaluzji. Co dnia nowe uciechy, nowe orgie w jego wspaniałym pałacu. Stał się królem zgrai rozpustników, którzy, zuchwali i wyuzdani wobec wszystkich, jego słuchali z ową uległością, którą zbyt często się spotyka w bandach niegodziwców. Słowem, nie było rozpusty, w której by się nie zanurzył; że zaś bogaty nicpoń jest niebezpieczny nie tylko dla siebie, przykład jego sprowadzał na manowce całą andaluzyjską młodzież, która sławiła go pod niebiosa i brała za przykład. Nie ulega wątpliwości, że gdyby Opatrzność ścierpiała dłużej jego rozpustę, trzeba by ognistego deszczu, aby uczynić sprawiedliwość z wyuzdaniem i zbrodniami Sewilli. Choroba, która przetrzymała don Juana w łóżku przez kilka dni, nie natchnęła go zastanowieniem; przeciwnie, prosił lekarza o zdrowie, po to, aby biec ku nowym wybrykom.

Podczas rekonwalescencji zabawiał się układaniem spisu wszystkich kobiet, które uwiódł, i mężów, których oszukał. Lista była metodycznie podzielona na dwie kolumny. Na jednej były imiona kobiet i ich pobieżny rysopis; obok nazwiska mężów i ich stan. Wiele miał trudu z tym, aby odnaleźć w pamięci imiona wszystkich tych nieszczęśnic: można przypuszczać, że ten katalog zgoła nie był wyczerpujący. Pokazał go któremuś z przyjaciół, który doń zaszedł w odwiedzinę; że zaś we Włoszech cieszył się łaskami kobiety, która ważyła się chełpić, że jest kochanką papieża, lista zaczynała się od jej imienia, imię zaś papieża widniało w spisie mężów. Następnie szedł panujący, potem książęta, margrabiowie i tak dalej, aż do rękodzielników.

– Spójrz, mój drogi – rzekł do przyjaciela – spójrz, nikt nie zdołał mi ujść, od papieża aż do szewca: nie ma klasy, która by mi nie spłaciła swojej dziesięciny.

Don Torribio – tak zwał się przyjaciel – przejrzał katalog i oddał mu go powiadając triumfalnie:

– Nie jest zupełny!

– Jak to nie zupełny?! Kogóż brakuje na mej liście mężów?

– BOGA odparł don Torribio.

– Boga? Prawda, nie ma zakonnic. Kroćset bomb! Dzięki, żeś mi zwrócił uwagę. Dobrze! Klnę się słowem szlachcica, że nim upłynie miesiąc, znajdzie się na mojej liście, przed Jego Świątobliwością papieżem, i że cię tu zaproszę na kolacyjkę z zakonnicą. W którym klasztorze w Sewilli są ładne mniszeczki?

W kilka dni później don Juan rozpoczął kampanię. Jął odwiedzać kościoły przy klasztorach żeńskich, klękając blisko krat, które oddzielają małżonki Pana od reszty wiernych. Tam rzucał bezwstydne spojrzenia na te lekliwe dziewice, niby wilk, gdy wszedłszy do owczarni, szuka najtłuściejszej owieczki na pierwszą ofiarę. Zauważył niebawem w kościele Najśw. Panny Różańcowej młodą zakonnicę; czarującą jej piękność podnosił jeszcze wyraz melancholii rozlany w jej rysach. Nigdy nie podnosiła oczu ani nie odwracała głowy; zdawała się zupełnie pochłonięta boską tajemnicą, którą święcono w jej obecności. Po lekkim poruszeniu warg łatwo było poznać, że modli się z większą żarliwością i namaszczeniem niż wszystkie towarzyszki. Widok jej przywiódł don Juanowi dawne wspomnienia. Zdało mu się, że już gdzieś widział tę kobietę, ale nie mógł sobie przypomnieć, gdzie i kiedy. Tyle portretów odcisnęło się mniej lub więcej wyraźnie w jego pamięci, że niepodobieństwem było, aby się nie zmaciły. Dwa dni z rzędu wracał do kościoła, stając wciąż w pobliżu kraty, nie mogąc wszelako doprowadzić do tego, aby siostra Agata podniosła oczy. Dowiedział się, że takie nosi imię.

Trudność zdobycia osoby, tak dobrze strzeżonej przez swój stan i przez swą skromność, pobudziła jedynie żądze don Juana. Najważniejszym, a zarazem najtrudniejszym zadaniem było zwrócić na siebie uwagę. Próżność mówiła mu, że gdyby mógł tylko ściągnąć spojrzenia

siostry Agaty, partia byłaby wygrana więcej niż w połowie. Oto sposób, na który wpadł, aby zmusić piękną mniszkę do podniesienia oczu. Ukląkłszy tak blisko niej, jak tylko było możliwe, i korzystając z chwili Podniesienia, kiedy wszyscy się pochylili, wsunął rękę przez kratę i wylał przed siostrą Agatą flakonik pachnideł, który przyniósł z sobą. Przenikliwa woń, która się nagle rozeszła, skłoniła młodą mniszkę do podniesienia głowy; że zaś don Juan znajdował się na wprost niej, nie mogła go nie spostrzec. Na twarzy jej odmalowało się zdumienie, zbladła śmiertelnie, wydała słaby krzyk i padła zemdlona na kamienną posadzkę. Towarzyszki podbiegły ku niej i zaniósły ją do celi. Don Juan, odchodząc bardzo rad z siebie, myślał:

– Ta zakonniczka jest doprawdy urocza; ale im dłużej się jej przyglądam, tym bardziej mi się wydaje, że ona musi figurować na mej liście!

Nazajutrz w porze mszy zjawił się punktualnie koło kraty. Ale siostry Agaty nie było na zwykłym miejscu, w pierwszym rzędzie zakonnice; przeciwnie, klęczała niemal ukryta wśród towarzyszek. Mimo to don Juan spostrzegł, iż patrzy często ukradkiem w jego stronę. Wyciągnął stąd pomyślną wróżbę dla swej miłości. „Mała boi się mnie, pomyślał, obłaskawi się niebawem”. Po mszy spostrzegł, iż wchodzi do konfesjonału; ale po drodze przeszła koło kraty i upuściła, niby przez nieuwagę, różaniec. Don Juan miał zbyt wiele doświadczenia, aby uwierzyć w to rzekome rozartagnienie. Zrozumiał natychmiast, że byłoby dlań ważne dostać ten różaniec; ale oddzielała go kratka; zdawał sobie sprawę, iżby go podnieść, trzeba czekać, aż wszyscy wyjdą. Aby doczekać tej chwili, oparł się o filar, w postawie pełnej zadumy, z ręką na oczach, ale z rozsuniętymi palcami, tak że nie tracił ani jednego ruchu siostry Agaty. Kto by go ujrzał w tej pozycji, wziąłby go za dobrego chrześcijanina, pogrążonego w nabożnym dumanii.

Zakonnica wyszła z konfesjonału i uczyniła kilka kroków, aby zniknąć w krużgankach; ale spostrzegła rychło, lub raczej udała, że spostrzega, brak różańca. Powiodła oczyma i ujrzała, że upadł blisko kraty. Wróciła i schyliła się, aby go podnieść. W tej samej chwili don Juan ujrzał, że coś białego wysuwa się za kratę. Był to małeńki kawałek papieru złożony we czworo. Zakonnica oddaliła się natychmiast.

Rozpustnik, zdziwiony, że mu się powiodło prędzej, niż się spodziewał, odczuwał raczej żal, że nie napotkał więcej przeszkód. Był to niby żal myśliwca, który ściga jelenia, spodziewając się długiej i uciążliwej pogoni; naraz zwierzę pada w samym zaczątku pościgu, odbierając myśliwemu przyjemność i chwałę, jakie sobie obiecywał z polowania. Bądź co bądź podniósł szybko bilecik i wyszedł z kościoła, aby go przeczytać swobodnie. Oto co zawierał:

To ty, don Juanie? Więc to prawda, że mnie nie zapomniałeś? Byłam bardzo nieszczęśliwa, ale zaczynałam się przyzwyczajać do swego losu. Będę obecnie sto razy nieszczęśliwsza. Powinna bym cię nienawidzić... przelałeś krew mego ojca... ale nie mogę ani cię nienawidzić, ani zapomnieć. Miej litość nade mną. Nie przychodź już do kościoła; zbyt wiele mąk mi zadajesz. Żegnaj, żegnaj, umarłam dla świata. Teresa

– Ach! to Teresita! – rzekł do siebie don Juan.

– Byłem pewny, że ją gdzieś widziałem. Następnie przeczytał jeszcze raz bilecik:

„Powinna bym cię nienawidzić...” To znaczy – ubóstwiam cię. „Przelałeś krew mojego ojca!...” Chimena mówi toż samo do Rodryga. „Nie przychodź już do kościoła”. To znaczy – czekam cię jutro. Doskonale! Mam ją.

I poszedł na obiad.

Nazajutrz zjawił się punktualnie, mając gotowy list w kieszeni; zdziwił się wielce nie widząc siostry Agaty. Nigdy msza nie wydała mu się dłuższą. Był wściekły. Klął ile wlezie skrupuły Teresy, po czym udał się na przechadzkę nad brzeg Gwadalkwiwiru, aby obmyślić sposób, i oto jaką obrał drogę.

Klasztor Najśw. Panny Różańcowej słynny był wśród klasztorów Sewilli dla znakomitych konfitur, które siostry przyrządzały. Udał się do rozmównicy, spytał o odźwierną i kazał sobie dać spis wszystkich konfitur, jakie mają na sprzedaż.

– Czy nie macie przypadkiem cytryn a la Marana? – spytał najnaturalniej w świecie.

– Cytryn a la Marana, panie kawalerze? Pierwszy raz w życiu słyszę o tej konfiturze.

– Ależ to dziś najmodniejsze! Dziwię się, że w takim zakładzie jak wasz nie wyrabia się jej masami.

– Cytryny a la Marana?

– A la Marana – powtórzył don Juan, wymawiając wyraźnie każdą sylabę. – Niepodobna, aby która z mniszek nie znała przepisu. Spytaj ich, siostrzo, czy nie znają tych konfitur. Jutro wrócę.

W chwilę później w całym klasztorze była mowa jedynie o cytrynach a la Marana. Najbieglejsze cukierniczki nigdy o nich nie słyszały. Jedynie siostra Agata znała sposób. Trzeba dodać wody różanej, fiołkowej, etc. do zwyczajnych cytryn, potem...

Podjęła się wszystkiego. Kiedy don Juan wrócił, zastał słoik cytryn a la Marana; były co prawda bardzo niesmaczne, ale pod pokrywką znajdował się bilecik, kreślony ręką Teresy. Nowe prośby, aby się jej wyrzekł, aby zapomniał... Biedna dziewczyna siła się oszukać samą siebie. Religia, przywiązanie córki i miłość zmagaly się w sercu nieszczęśliwej; ale łatwo było poznać, że miłość jest najsilniejsza.

Nazajutrz don Juan posłał do klasztoru pazia ze skrzynką cytryn, z których chciał mieć konfiturę. Polecił je w szczególności zakonnicy, która sporządziła wczorajszy przysmak. Na dnie skrzynki znajdowała się zmyślnie ukrytą odpowiedź na listy Teresy. Pisał:

Byłem bardzo nieszczęśliwy. Fatalność wiodła moje ramię. Od tej złowrogiej nocy nie przestałem myśleć o tobie. Nie śmiałem żywić nadziei, że mnie nie znieawidzisz. Wreszcie odnalazłem cię. Przestań mówić o ślubach, któreś wyrzekła. Nim ślubowałaś u stóp ołtarza, należałaś do mnie. Nie mogłaś rozrządzać sercem, które było moje... Przychodzę upomnieć się o skarb, który mi jest droższy od życia. Zginę albo znów będziesz moją. Jutro proszę cię do rozmównicy. Nie śmiałem się tam zjawić, nie uprzedziwszy cię. Bałem się, aby twoje wzruszenie nie zdradziło nas. Uzbrój się w odwagę. Napisz mi, czy odźwierną dałoby się przekupić.

Dwie krople wody zręcznie pryśnięte na papier miały oznaczać łzy wylane przy pisaniu listu.

W kilka godzin później ogrodnik klasztorny przyniósł odpowiedź i ofiarował swe usługi. Odźwierna jest nieprzejednana, siostra Agata godzi się przyjść do rozmównicy, ale jedynie po to, aby wymienić wiekuiste pożegnanie.

Nieszczęsna Teresa zjawiała się w rozmównicy półzywa. Musiała się trzymać oburącz kraty, aby nie upaść. Don Juan, spokojny i nieczuły, sycił się wzruszeniem, o jakie ją przyprawił. Zrazu, aby uspić baczność odźwiernej, mówili swobodnie o przyjaciołach, których Teresa zostawiła w Sewilli i którzy kazali ją pozdrowić. Następnie, korzystając z chwili, gdy odźwierna była daleko, rzekł cicho i prędko:

– Jestem gotów ważyć się na wszystko, aby cię stąd wydostać. Jeśli trzeba podłożyć ogień pod klasztor, spalę go. Nie chcę słyszeć o niczym. Należysz do mnie. Za kilka dni będziesz moją albo zginę; ale wiele osób zginie wraz ze mną.

Odźwierna podeszła bliżej. Dona Teresa nie mogła złapać oddechu, nie mogła wyrzec słowa. Tymczasem don Juan mówił obojętnym tonem o konfiturach, o robótkach, którymi trudnią się mniszki, obiecywał odźwiernej, że jej przyśle poświęcony różaniec z Rzymu i że daruje klasztorowi brokatową suknię, aby przystroić świętą patronkę w dzień jej imienia. Po półgodzinie rozmowy skłonił się Teresie z miną poważną i pełną szacunku, zostawiając ją w

stanie wzruszenia i rozpaczony niepodobnym do opisanego. Pobiegnęła zamknąć się w celi i ręka jej, posłuszniejsza niż język, nakreśliła długi list, pełen wyrzutów, próśb i lamentów. Ale nie mogła się wstrzymać od wyznania swej miłości i szukała wobec samej siebie usprawiedliwienia błędu w myśli, iż dość zań pokutuje odmawiając prośbom ukochanego. Don Juan groził wciąż, że się posunie do ostateczności. Ma stu chwatów na swoje usługi. Świętokradztwo nie przeraża go. Umrze z rozkoszą, byle mógł jeszcze raz mieć w ramionach swą lubą. Co mogło uczynić słabe dziecko, nawykłe ulegać ubóstwianemu człowiekowi? Noce trawiła we łzach, w dzień się nie mogła modlić, obraz don Juana ścigał ją wszędzie; nawet kiedy odprowadzała z towarzyszkami pobożne ćwiczenia, ciało jej wykonywało gesty osoby, która się modli, ale serce tonęło całe w nieszczęsnej namiętności.

Po upływie kilku dni nie miała już siły się opierać. Oznajmiła don Juanowi, że jest gotowa na wszystko. Uważała się za zgubioną, tak czy inaczej, i powiedziała sobie, że skoro ma zginąć, lepiej zakosztować chwili szczęścia. Don Juan, uszczęśliwiony, przygotował wszystko do porwania. Wybrał noc bez księżyca. Ogrodnik doręczył Teresie jedwabną drabinę, za pomocą której miała przebyć mury. Paczkę zawierającą świeckie suknie ukryto w umówionym miejscu w ogrodzie; niepodobna było pojawić się na ulicy w stroju mniszki. Don Juan miał czekać na nią pod murem. W pewnym oddaleniu będzie stała kolaska zaprzężona w silne muły, aby szybko uwieźć Teresę do majątku don Juana. Tam, bezpieczna od pościgu, pędzić będzie szczęśliwe i spokojne życie przy boku kochanka. Oto był plan nakreślony przez don Juana. Kazał uszyć przyzwoite suknie, wypróbował drabinę, dołączył wskazówki o sposobie jej umocowania, słowem, nie zaniedbał niczego. Ogrodnik był pewny, zbyt wiele miał korzyści w dochowaniu wiary, aby można było o nim wątpić. Co więcej, zarządzono wszystko, aby go zamordować następnej nocy. Zdawało się, że spisek uknuty jest tak zręcznie, iż nic nie może go udaremnić.

Aby się ustrzec od podejrzeń, don Juan wyjechał do zamku Marana na dwie doby przed wykradzeniem. W zamku tym spędził niemal całe dzieciństwo; ale od powrotu do Sewilli nie zajrzał tam. Przybył z zapadnięciem nocy, a pierwszą jego troską była wieczerza. Kazał następnie zapalić w swoim pokoju dwie wielkie świece woskowe, na stoliku leżała książka z plugawymi powiastkami. Przeczytawszy kilka stronic, uczuł senność; zamknął książkę i zgasił jedną świecę. Mim zgasił drugą, powiódł roztargnionym wzrokiem po pokoju; naraz spostrzegł w alkowie obraz przedstawiający męki czyścicow, ten sam, któremu tak często przyglądał się dzieckiem. Mimo woli oczy jego zwróciły się na człowieka, któremu wąż wyjada wnętrzności; mimo że ta scena budziła w nim jeszcze większą groźbę niż niegdyś, nie mógł się od niej oderwać. Przypomniał sobie nagle twarz kapitana Gomare i straszliwy skurcz, jakim śmierć wykrzywiła jego rysy. Ta myśl przejęła go dreszczem, uczuł, że włosy mu się jeżą. Mimo to, zbierając odwagę, zgasił i drugą świecę, w nadziei, iż ciemność zwolni go od wstrętnych obrazów, które go prześladowały. Ciemność spotęgowała jeszcze jego lęk. Oczy don Juana wciąż zwracały się ku obrazowi, którego nie mógł widzieć; ale był mu tak znany, iż malował się w jego wyobraźni dokładnie jak w dzień. Niekiedy nawet zdawało mu się, że postacie rozjaśniają się i stają się świecące, jak gdyby ogień czyścicowy, odmalowany przez artystę, był istotnym płomieniem. Wreszcie, pod wpływem wzmagającego się niepokoju, zaczął wołać głośno na lokajów, aby zabrali obraz, który przejmuje go takim lękiem. Skoro się zbiegli, don Juan zawstydzził się swej słabości. Pomyślał, że służba drwiłaby zeń, gdyby się dowiedziała, iż zląkł się obrazu. Powiedział tylko głosem najnaturalniejszym, na jaki się mógł zdobyć, aby zapalono świece i zostawiono go samego. Wziął się z powrotem do czytania, ale jedynie oczy jego przebiegały książkę, duch był przy obrazie. Miotany niepokojem, spędził noc nie zmrzywszy oka.

Skoro zaczęło dzień, wstał spieszenie i udał się na polowanie. Ruch i świeżość poranka uspokoiły go nieco; skoro wrócił do zamku, wrażenia zbudzone widokiem obrazu pierzchły. Siadł do stołu i pił obficie. Był nieco odurzony, kiedy szedł spać. Z jego rozkazu narządzono

łóżko w innym pokoju i, jak można się domyślić, nie przeniesiono tam obrazu; ale don Juan zachował jego wspomnienie, dość silne, aby mu nie pozwoliło zasnąć do późna.

Strachy te nie obudziły w nim żalu za przeszłe życie. Wciąż zajęty był zamierzonym porwaniem; wydawszy odpowiednie rozkazy służbie, puścił się do Sewilli w największy skwar, aby tam stanąć aż w nocy. W istocie była ciemna noc, kiedy przejeżdżał koło wieży del Lloro, gdzie nań czekał jeden ze służących. Podano mu konia, spytał, czy kolaska i muły gotowe. W myśl rozkazów don Juana miały nań czekać w uliczce dość blisko klasztoru, aby mógł się tam szybko dostać wraz z Teresą, a nie dość blisko, aby wzbudzić podejrzenia rontu, w razie gdyby ich spotkano. Wszystko było gotowe; rozkazy wykonano najpункtualniej. Don Juan stwierdził, że ma jeszcze godzinę czasu, nim będzie mógł dać sygnał umówiony z Teresą. Służący zarzucił mu wielki ciemny płaszcz na ramiona, i tak doszedł do Sewilli bramą Triana, kryjąc pilnie twarz, aby go nie poznano. Upał i znużenie sprawiły, iż usiadł na ławce w pustej ulicy. Siadłszy, zaczął gwizdać i nucić melodie, które mu przychodziły na pamięć. Od czasu do czasu spoglądał na zegarek i widział z żalem, że wskazówka nie posuwa się tak szybko, jakby pragnęła jego niecierpliwość... Naraz posępna i uroczysta muzyka zabrzmiała mu w uszach. Poznał śpiew, jakim Kościół święci ceremonię pogrzebu. Niebawem z poprzecznej ulicy wyszedł kondukt i zbliżył się ku niemu. Dwa sznury pokutników niosły zapalone świece, poprzedzając trumnę okrytą czarnym aksamitem, niesioną przez kilku ludzi ubranych w staroświecką, z białymi brodami, ze szpadą przy boku. Dwa sznury pokutników w żałobie, niosących świece tak jak pierwsi, zamykały pochód. Cały ten kondukt posuwał się poważnie i z wolna. Nie było słychać odgłosu kroków na bruku; można by rzec, że każda postać raczej sunie, niż stąpa. Długie i sztywne fałdy szat i płaszczów zdawały się nieruchome niby marmurowe szaty posągów.

Na ten widok don Juan doznał zrazu uczucia owego wstrętu, jaki myśl o śmierci budzi w rozkoszniku. Wstał i chciał się oddalić; ale mnogość pokutników i pompa orszaku zdumiały go i obudziły jego ciekawość. Skoro procesja skierowała się do sąsiedniego kościoła, którego brama otwarła się z hałasem, don Juan przytrzymał za rękaw jedną z postaci niosących świece i spytał uprzejmie, co za osobistość mają tam grzebać. Pokutnik podniósł głowę; twarz jego była blada i wychudła jak twarz człowieka, który przebył długą i bolesną chorobę. Odpowiedział grobowym głosem:

– Hrabiego don Juana de Maranę.

Ta dziwna odpowiedź sprawiła, że włosy zjeżyły się don Juanowi na głowie; ale w chwilę później odzyskał zimną krew i uśmiechnął się. „Musiałem się przestyszeć, pomyślał, albo ten starzec się omylił”. Wszedł do kościoła z konduktem. Śpiewy żałobne zaczęły się na nowo, a towarzyszył im grzmiący głos organów; księża ubrani w żałobne kapy zaintonowali *De profundis*. Mimo iż silił się zachować pozór spokoju, don Juan czuł, że krew ścina mu się w żyłach. Zbliżył się do drugiego pokutnika i spytał:

– Co za nieboszczyka grzebiecie?

– Hrabiego don Juana de Maranę – odparł pokutnik głuchym i przeraźliwym głosem. Don Juan oparł się o kolumnę, aby nie upaść. Czuł, że omdlewa, cała odwaga opuściła go. Wśród tego nabożeństwo odprawiało się dalej, a sklepienie kościelne potęgowało jeszcze hałas organów i głosów śpiewających straszliwe *Dies irae*. Don Juan miał uczucie, że słyszy chór aniołów w dzień Sądu. Wreszcie przemagając się chwycił za rękę księdza, który go mijał. Ręka była zimna jak marmur.

– Na imię nieba! ojczel! – wykrzyknął. – Za kogo się modlicie i kto wy jesteście?

– Modlimy się za hrabiego don Juana de Maranę – odparł ksiądz, wpatrując się weń pilnie z wyrazem bólu. – Modlimy się za jego duszę, która jest w stanie grzechu śmiertelnego, a my jesteśmy dusze, które dzięki mszom i modłom jego matki wydostały się z czyścicowego ognia. Spłacamy synowi dług matki; ale ta msza to ostatnia, jaką nam wolno odprawić za duszę don Juana de Marany.

W tej chwili zegar na wieży uderzył. Była to godzina umówiona na porwanie Teresy.

– Czas nadszedł! – krzyknął głos wychodzący z ciemnego kąta w kościele. – Czas nadszedł! Czy jest nasz?

Don Juan odwrócił głowę i ujrzał straszliwe zjawisko. Don Garcja, blady i zakrwawiony, zbliżał się wraz z kapitanem Gomare, którego rysy były zniekształcone ohydnie. Don Garcja, zrzucając gwałtownym ruchem wieko na ziemię, powtórzył: „Czy jest nasz?” W tej samej chwili podniósł się spoza niego olbrzymi wąż i, przerastając don Garcję o kilka stóp, gotował się jak gdyby rzucić do trumny. Don Juan krzyknął: „Jezus” i padł zemdlony na bruk.

Noc była późna, kiedy przechodzący ront ujrzał człowieka leżącego bez ruchu u bram kościoła. Gwardziści zbliżyli się sądząc, że to trup zamordowanego człowieka. Poznali hrabiego de Maranę i próbowali go otrzeźwić, skrapiając mu twarz zimną wodą; ale widząc, że przytomność nie wraca, odnieśli go do domu. Jedni mówili, że jest pijany, drudzy, że oberwał kije od jakiegoś zazdrosnego męża. Nikt, a przynajmniej żaden uczciwy człowiek nie lubił go w Sewilli i każdy miał jakieś słówko do powiedzenia. Jeden błogosławił kij, który go tak dobrze oporządził, drugi pytał, ile butelek może się mieścić w tym bezwładnym cielsku. Słudzy don Juana odebrali swego pana z rąk straży i pobiegli po chirurga. Puszczono mu obficie krew, niebawem odzyskał zmysły. Zrazu wyrzucał jedynie oderwane słowa, bezładne krzyki, szloch, jęki. Stopniowo zaczął się rozglądać po otaczających przedmiotach. Spytał, gdzie jest i co się stało z kapitanem Gomare, z don Garcją i konduktem. Słudzy sądzeni, że oszalał. Jednakże, zażywszy kordiała, kazał sobie przynieść krucyfiks i całował go przez kilka chwil, wylewając strumienie łez. Wreszcie polecił, aby mu sprowadzono spowiednika.

Obudziło to powszechne zdumienie, tak bardzo znana była bezbożność don Juana. Ten i ów ksiądz, wezwany przez jego ludzi, odmówił przekonany, że niedowiarek szykuje jakiś złośliwy żart. Wreszcie mnich z zakonu św. Dominika zgodził się go odwiedzić. Zostawiono ich samych; don Juan, rzucając się do stóp księdza, opowiedział mu swoje widzenie; następnie wyspowiadał się. Wyznając kolejno swoje grzechy, przerywał co chwila pytając, czy podobna, aby tak wielki grzesznik uzyskał kiedy przebaczenie niebios. Zakonnik opowiadał, że miłosierdzie Boga jest nieskończone. Upomniawszy go, aby wytrwał w skrusze, i udzieliwszy mu pociech, jakich religia nie odmawia największym zbrodniarzom, dominikanin odszedł, przyrzekając wrócić wieczorem. Don Juan spędził cały dzień na modlitwie. Skoro dominikanin wrócił, don Juan oświadczył mu, iż postanowił usunąć się ze świata, gdzie sprawiał tyle zgorszenia, i zmasać pokutą zbrodnie, którymi się splamił. Mnich, wzruszony jego łzami, dodawał mu otuchy; aby zaś wypróbować, czy będzie miał odwagę wytrwać w postanowieniu, odmalował mu w straszliwych barwach regułę klasztorną. Ale za każdym umartwieniem, które opisywał, don Juan wołał, że to o wiele za mało i że zasłużył, aby się z nim obejść o wiele surowiej.

Zaraz nazajutrz oddał pół mienia swoim krewnym, którzy byli biedni; drugą część poświęcił na założenie szpitala i zbudowanie kaplicy; rozdał znaczne sumy ubogim i kazał odmówić liczne msze za dusze czyścicowe, zwłaszcza za duszę kapitana Gomare oraz tych nieszczęśliwych, którzy padali bijąc się nim w pojedynku. Wreszcie zgromadził wszystkich przyjaciół i kajał się wobec nich za zły przykład, który dawał im tak długo; odmalował im w porywających słowach wyrzuty, o jakie go przyprawia minione życie, oraz nadzieje, jakie ośmiela się żywić na przyszłość. Ten i ów rozpustnik wzruszył się i nawrócił; inni, niepoprawni, opuścili go z zimnym szyderstwem.

Nim wstąpił do klasztoru, który wybrał na schronienie, don Juan napisał do dony Teresy. Wyznał jej swoje bezpieczne zamysły, opowiedział swoje życie, swoje nawrócenie, zachęcając ją, aby skorzystała z jego przykładu i szukała zbawienia w pokucie. Powierzył ten list dominikaninowi, pokazawszy mu jego zawartość.

Biedna Teresa długo czekała w ogrodzie klasztornym na umówiony znak. Spędziwszy kilka godzin w strasznym niepokoju, widząc wreszcie, że dnieje, wróciła do celi, wydana na łup

najżywszej boleści. Nieobecność don Juana tłumaczyła tysiącem przyczyn bardzo odległych od prawdy. Kilka dni upłynęło w ten sposób, bez żadnej wiadomości, bez żadnego poselstwa, które by mogło złagodzić jej rozpacz. Wreszcie mnich, odbywszy naradę z przełożoną, uzyskał pozwolenie widzenia się z nią i doręczył list pokutującego uwodziciela. Gdy czytała, czoło jej okryło się perlistym potem; to była czerwona jak ogień, to blada jak śmierć. Zdołała wszelako mężnie dokończyć czytania. Wówczas dominikanin spróbował odmalować jej pokutę don Juana i wieszował jej, iż uniknęła strasznego niebezpieczeństwa, jakie czekało ich oboje, gdyby zamiaru ich nie udaremniło oczywiste wdanie się Opatrzności. Ale na wszystkie upomnienia Teresa wołała jeno: „On mnie nigdy nie kochał!” Nieszczęśliwa popadła w złośliwą gorączkę; próżno medycyna i religia otoczyły ją swoją opieką; odepchnęła jedną, była nieczuła na drugą. Wyzionęła ducha po kilku dniach, powtarzając ciągle: „On mnie nigdy nie kochał!”

Oblókszy suknie zakonne, don Juan okazał, iż nawrócenie jego było szczere. Nie było umartwienia ani pokuty, które by mu się nie wydały zbyt łagodne; przeor musiał często nakładać granice udręczeniom, jakimi doświadczał swe ciało. Przedstawiał mu, iż w ten sposób skraca swoje dni i że niewątpliwie więcej hartu w tym, aby dłużej cierpieć umiarkowane katusze, niż aby skończyć od razu pokutę, odbierając sobie życie. Skoro upłynął czas nowicjatu, don Juan złożył śluby i, pod mianem brata Ambrożego, nadal budował klasztor surowością swego nabożeństwa. Pod grubym habitem nosił włosienicę; wąska skrzynka, za krótka na jego wzrost, służyła mu za łożo. Jarzyny gotowane w wodzie były całym jego pożywieniem; jedynie w święta i na wyraźny rozkaz przeora godził się pożywać chleb. Noce spędzał przeważnie na czuwaniu i modlitwie, leżąc krzyżem. Słowem, był wzorem tej pobożnej gminy, jak niegdyś był wzorem rozwiązłych rówieśników. Zaraza, która wybuchła w Sewilli, dała mu sposobność roztoczenia nowych cnót, jakie zrodziło w nim nawrócenie. Chorych pomieszczono w szpitalu, który on ufundował; pielęgnował ubogich, spędzał dni całe przy ich łożku, katechizując ich, dodając otuchy, pocieszając. Tak wielkie było niebezpieczeństwo zarazy, że ani za najwyższą zapłatę nie można było znaleźć ludzi, którzy by zechcieli chować zmarłych. Don Juan pełnił to zadanie; chodził do opuszczonych domów i grzebał rozkładające się trupy, leżące nieraz od kilku dni. Wszędzie błogosławiono go; że zaś, w czasie tego strasznego moru ani razu nie zapadł, ludzie nabożni twierdzili, że Bóg sprawił dlań nowy cud.

Już od kilku lat don Juan, lub brat Ambrożo, mieszkał w klasztorze, a życie jego było nieprzerwanym pasmem pobożnych praktyk i umartwień. Wspomnienie minionego żywota było wciąż przytomne jego pamięci, ale zadowolenie sumienia, spowodowane odmianą, złagodziło wyrzuty.

Jednego dnia po południu, gdy słońce prażyło najdotkliwiej, wszyscy bracia w klasztorze zażywali – jak dozwala obyczaj – nieco wczasu. Jedynie brat Ambrożo pracował w ogrodzie, z gołą głową, w słońcu; było to jedno z umartwień, jakie sobie nałożył. Pochylając się nad łopatą, ujrzał cień człowieka, który się zatrzymał przy nim. Sądził, że to któryś mnich zaszedł do ogrodu; jakoż, nie przerywając pracy, pozdrowił go słowami *Ave Maria*. Żadnej odpowiedzi. Zdziwiony tym nieruchomym cieniem, podniósł oczy i ujrzał rosłego młodzieńca, okrytego płaszczem aż do ziemi. Twarz osłaniał kapelusz z białym i czarnym piórem. Człowiek ten przyglądał mu się w milczeniu z wyrazem złośliwej radości i głębokiej wzdargy. Patrzyli na siebie bystro kilka chwil. Wreszcie, nieznajomy, postępując o krok i unosząc kapelusz, aby odsonić swe rysy, rzekł:

– Poznajesz mnie?

Don Juan przyjrzał mu się uważniej, ale nie poznał.

– Przypominasz sobie obleżenie Berg-op-Zoom? – spytał nieznajomy – Zapomniałeś żołnierza zwanego Modesto?...

Don Juan zadrżał. Nieznajomy ciągnął zimno:

– Żołnierza zwanego Modesto, który strzałem z muszkietu zabił twego godnego przyjaciela don Garcję zamiast ciebie, w którego mierzył?... Modesto – to ja. Mam jeszcze inne miano, don Juanie. Zowię się don Pedro de Ojeda; jestem synem don Alfonsa de Ojeda, którego zabiłeś; jestem bratem dony Fausty de Ojeda, którą zabiłeś; jestem bratem dony Teresy de Ojeda, którą zabiłeś.

– Bracie – rzekł don Juan, klękając przed nim – jestem nędznikiem okrytym zbrodniami. Aby je zmazać, noszę ten strój; wyrzekłem się świata. Jeśli jest taki sposób, aby uzyskać twoje przebaczenie, wskaż mi go. Najcięższa pokuta nie przestraszy mnie, jeśli zdołam sprawić, abys mnie nie przeklinał.

Don Pedro uśmiechnął się gorzko.

– Dajmy pokój obłudzie, panie de Marana, ja nie przebaczam. Co do moich przekleństw, możesz na nie liczyć. Ale ja nie jestem tak cierpliwy, aby czekać na ich skutek. Mam przy sobie coś skuteczniejszego niż przekleństwa.

To mówiąc odrzucił płaszcz, spod którego ukazały się dwa długie rapiery; Wydobył je z pochew i zatknął w ziemię oba.

– Wybieraj, don Juanie – rzekł. – Powiadają, żeś tęgi rębacz; ja także chlubię się pewną zręcznością w tej sztuce. Zobaczmyż, co potrafisz.

Don Juan uczynił znak krzyża i rzekł:

– Bracie, zapominasz o ślubach, które złożyłem. Nie jestem już don Juanem, którego znalazłeś, jestem brat Ambroży.

– A więc, bracie Ambroży, jesteś moim wrogiem; jakiegokolwiek imię nosisz, nienawidzę cię i chcę się mścić na tobie.

Don Juan znowuż ukląkł przed nim:

– Jeżeli mojego życia chcesz, bracie, bierz je. Ukarz mnie, jak zechcesz.

– Nędzny obłudniku! Myślisz, że mnie omamisz? Gdybym cię chciał zabić jak wściekłego psa, czyż byłbym się trudził dźwiganiem tej broni? Dalej, wybieraj prędko i broń swego życia.

– Powtarzam ci, bracie, nie mogę się bić, ale mogę umrzeć.

– Nędzniku! – wykrzyknął don Pedro wściekły – mówiono mi, żeś odważny: widzę, żeś jedynie podłym tchórzem!

– Odważny, bracie? Proszę Boga, aby mi dał odwagę, iżbym się nie poddał rozpacz, w jaką bez jego pomocy wtrąciłoby mnie wspomnienie mych zbrodni. Żegnaj, bracie, odchodzę. Widzę, że mój widok cię drażni. Obyś zrozumiał kiedyś, jak szczerą jest moja skrucha!

Postąpił kilka kroków, aby opuścić ogród, kiedy don Pedro chwycił go za rękaw.

– Ty albo ja – krzyknął – jeden z nas nie wyjdzie stąd żywy. Weź tę szpadę i niech mnie czart porwie, jeśli wierzę choć słówko twoim jeremiadom.

Don Juan spojrzał nań błagalnie i uczynił jeszcze krok, aby się oddalić, ale don Pedro chwycił go brutalnie za kołnierz:

– Więc ty myślisz, nikczemny morderco, że zdołasz się wyrwać z moich rąk?! Nie! Potarгам w strzepy tę obłudną suknię, pod którą kryje się diabelskie kopyto: wówczas może znajdziesz dość serca, aby się bić ze mną.

To mówiąc pchnął go gwałtownie na mur.

– Szlachetny Pedro de Ojeda – wykrzyknął don Juan – zabij mnie, jeśli chcesz, ale bić się nie będę! – I skrzyżował ramiona, wlepiając w don Pedra wzrok spokojny, ale dumny.

– Tak, zabiję cię, nędzniku! Ale wprzód postąpię z tobą tak, jak się postępuje z nikczemnikiem i tchórzem.

I dał mu policzek, pierwszy, jaki don Juan kiedykolwiek otrzymał. Twarz don Juana stała się purpurowa. Duma i krewkość młodzieńcza zbudziły się w jego duszy. Bez słowa rzucił się ku szpadom i pochwycił jedną. Don Pedro wziął drugą i stanął w obronnej postawie. Zapaśnicy runęli na siebie z równą gwałtownością. Szpada don Pedra ugrzęzła w wełnianej sukni don

Juana i prześliznęła się obok ciała nie raniąc, gdyż oręż don Juana utonął po rękojeść w piersi przeciwnika. Don Pedro wyzionął ducha natychmiast. Don Juan, widząc wroga u swych stóp, spoglądał nań jakiś czas z tępym zdumieniem. Z wolna przyszedł do siebie i ogarnął rozmiar nowej zbrodni. Przykląkł przy trupie i silił się przywołać go do życia. Ale zbyt wiele widział ran, aby wątpić, że ta jest śmiertelna. Zakrwawiona szpada leżała u jego stóp, jak gdyby wzywając go, aby skarał sam siebie; ale oddalając szybko nową pokusę czarta, pobiegł do przeora i wpadł spieszenie do jego celi. Tam, leżąc u jego nóg, opowiedział mu straszliwą scenę, mówiąc wylewał potoki łez. Zrazu przeor nie chciał wierzyć; pierwszą jego myślą było, że umartwienia, jakie sobie zadawał brat Ambroży, przyprawiły go o utratę rozumu. Ale krew, która widniała na sukni i na rękach don Juana, nie pozwalała wątpić dłużej o straszliwej prawdzie. Przeor był to człowiek przytomny i bystry; pojął natychmiast rozmiar zgorzienia, jakie padłoby na klasztor, gdyby przygoda rozgłosiła się po mieście. Nikt nie widział pojedynku. Postanowił zataić go nawet mieszkańcom klasztoru. Kazał don Juanowi iść za sobą, i z jego pomocą przeniósł trupa do komórki, od której zabrał klucz. Następnie, zamknąwszy don Juana w celi, poszedł uwiadomić o wszystkim koregidora.

Wyda się może dziwne, że don Pedro, który już próbował zabić don Juana z zasadki, odrzucił myśl drugiego morderstwa i silił się sprzątnąć wroga w walce równą bronią; ale był to z jego strony jedynie akt piekielnej zemsty. Słyszał o pokucie don Juana, a sława jego świętości była tak powszechna, iż don Pedro nie wątpił, że gdyby go zamordował, posłałby go prosto do nieba. Miał tedy nadzieję, iż wyzwawszy go i zmusiwszy do pojedynku, zabije go w stanie grzechu śmiertelnego i zgubi w ten sposób wraz ciało jego i duszę. Widzieliśmy, jak ten szatański zamiar zwrócił się przeciw swemu twórcy.

Nietrudno było zdławić tę sprawę. Koregidor porozumiał się z przeorem co do sposobu usunięcia podejrzeń. Zakonnicy sądzili, że zmarły padł w walce z nieznanym przeciwnikiem i że go przeniesiono do klasztoru, gdzie rychło umarł z ran. Co się tyczy don Juana, nie będą się silił odmalować jego żalu i zgryzoty. Spełnił z radością wszystkie pokuty, które przeor mu nałożył. Całe życie zachował nad łóżkiem szpade, którą przeszył don Pedra, i nie zdarzyło mu się spojrzeć na nią, aby się nie modlił za duszę jego i dusze jego rodziny. Aby pognać resztę świeckiej dumy, która przetrwała jeszcze w jego sercu, przeor nakazał mu stawiać się co rano przed kuchtą klasztornym, który miał mu dać policzek. Otrzymałszy go, brat Ambroży nie omieszkiał nigdy nadstawić drugiego lica, dziękując kuchcie za to upokorzenie. Żył w klasztorze jeszcze dziesięć lat i nigdy żaden nawrót grzechów młodości nie zmącił jego pokuty. Umarł czczony jak święty, nawet przez tych, którzy znali dawną jego swawolę. Na łożu śmierci prosił jak o łaskę, by go pogrzebano w progu kościoła, tak aby każdy wchodzący deptał go nogami. Prosił również, aby na jego grobie wyryto napis: „Tu leży najgorszy człowiek, jaki był na świecie”. Ale nie uznano za właściwe wypełnić wszystkich zleceń, dyktowanych nadmierną pokorą. Pogrzebano go wpodług głównego ołtarza, w kaplicy, którą ufundował.

Wyryto, co prawda, na kamieniu pokrywającym śmiertelne szczątki napis, który sam ułożył, ale przydano doń pochwałę nawrócenia. Szpital jego, a zwłaszcza kaplicę, gdzie jest pochowany, zwiedzają wszyscy cudzoziemcy bawiący w Sewilli. Murillo przystroił tę kaplicę swymi arcydziełami. „Powrót syna marnotrawnego” i „Sadzawka w Jerycho”, które się dziś podziwia w galerii marszałka Soult, zdołały niegdyś mury Szpitala Miłosierdzia.

Tamango

Kapitan Ledoux był to dobry marynarz. Zaczął od prostego majtka, później został zastępcą sternika. W bitwie pod Trafalgarem odłam drzewa strzaskał mu lewą rękę; amputowano mu ją, po czym odprawiono go z dobrym świadectwem. Ale spoczynek nie odpowiadał mu zgoła; toteż gdy nastęczyła się sposobność, objął służbę w charakterze podporucznika na pokładzie korsarskiego statku. Pieniądze uzyskane z paru wypraw pozwoliły mu zaopatrzyć się w książki i poznać teorię żeglugi, której praktykę znał już doskonale. Z czasem został kapitanem statku korsarskiego o trzech armatach i sześćdziesięciu ludziach załogi, a żeglarze z Jersey chowają jeszcze pamięć jego sprawek. Pokój zmartwił go bardzo. Uciął w czasie wojny mająteczek, który spodziewał się pomnożyć kosztem Anglików. Z musu ofiarował swoje usługi spokojnym kupcom; że zaś znany był jako człowiek śmiały i doświadczony, powierzono mu bez trudu okręt. Kiedy zabroniono handlu Murzynami i kiedy, aby go uprawiać, trzeba było oszukać nie tylko czujność celników francuskich, co nie było zbyt trudne, ale także, co było bardzo ryzykowne, wymknąć się krążownikom angielskim, kapitan Ledoux stał się szacownym człowiekiem dla handlarzy hebanu¹⁴.

Kapitan Ledoux różnił się bardzo od większości marynarzy, którzy, jak on, długo trawili życie na podrzędnych stanowiskach: nie miał owego głębokiego wstrętu do innowacji i owego ducha rutyny, który tacy ludzie zachowują często na wyższych stopniach. Kapitan Ledoux, przeciwnie, pierwszy doradzał swemu przedsiębiorcy wprowadzenie żelaznych skrzyń na wodę. Na jego statku kajdanki i łańcuchy, których zapas znajduje się na każdym okręcie „murzyńskim”, były sporządzone wedle nowego systemu i starannie lakierowane dla zabezpieczenia przed rdzą. Ale najwięcej czci u handlarzy niewolników przyniosła mu dokonana pod jego kierunkiem budowa brygu przeznaczonego dla tego handlu. Był to lekki żaglowiec, smukły, długi jak okręt wojenny, a mimo to zdolny pomieścić bardzo znaczną ilość czarnych. Nazwał go „Nadzieja”. Zarządził, aby przestrzeń pod pokładem, wąska i ciasna, miała jedynie trzy stopy i cztery cale wysokości, twierdząc, że ten wymiar pozwala niewolnikom normalnego wzrostu wygodnie siedzieć; a po cóż im wstawać? „Skoro przybędą do kolonii, powiadał Ledoux, wystoją się aż nadto!”

Czarni, oparci plecami o ścianę okrętu, w dwóch równoległych szeregach, zostawiali pośrodku wolną przestrzeń, która na wszystkich innych murzyńskich statkach służy jedynie do komunikacji. Ledoux wpadł na myśl, aby pomieścić w tej przestrzeni Murzynów, ułożonych prostopadle do tamtych. W ten sposób statek jego mieścił o jaki dziesiątek Murzynów więcej niż inny tej samej pojemności. Od biedy, można by natłoczyć ich jeszcze więcej; ale trzeba być ludzkim i zostawić Murzynowi przynajmniej pięć stóp wzdłuż, a dwie wszerz, aby mógł się swobodnie poruszać w czasie podróży trwającej do sześciu tygodni i dłużej. „Ostatecznie, powiadał Ledoux do swego przedsiębiorcy, aby usprawiedliwić to humanitarne zarządzenie. Murzyni to są też ludzie, jak i biali”.

„Nadzieja” Wyruszyła z Nantes w piątek, jak to później zauważyli ludzie przesądni. Inspektorzy, którzy starannie rewidują statki, nie zauważyli sześciu wielkich skrzyń wypełnionych łańcuchami i kajdanami. Nie zdziwił ich również olbrzymi zapas wody, jaki musiała dźwigać „Nadzieja”, która wedle swych papierów udawała się do Senegalu dla handlu drzewem i kością słoniową. Przeprawa nie jest zbyt długa, to prawda, ale przezorność nie może zaszkodzić. Gdyby tak zaskoczyła statek cisza morska, cóż by się poczęło bez wody?

„Nadzieja” ruszyła tedy w piątek, dobrze wyekwipowana i zaopatrzona we wszystko. Ledoux byłby może pragnął silniejszych masztów; mimo to, jak długo on dowodził statkiem, nie miał przyczyny się na nie uskarżać. Szczęśliwie i szybko zapłynął aż do brzegów Afryki. Zrzucił kotwicę w rzece Joala (o ile się nie mylę), w chwili gdy krążowniki angielskie zosta-

¹⁴ Miano, które nadają sami sobie ludzie trudniący się handlem niewolnikami.

wiły tę okolicę bez dozoru. Natychmiast miejscowi faktorzy zjawili się na pokładzie. Chwila była niezwykle pomyślna: Tamango, słynny wojownik i handlarz ludźmi, przywiózł na brzeg wielką liczbę niewolników i wyzbywał się ich po umiarkowanej cenie, jak człowiek, który czuje w sobie moc i środki rychłego zaopatrzenia rynku, skoro zbraknie towaru.

Kapitan Ledoux wsiadł do szalupy i udał się do Tamanga. Zastał go w słomianej chacie, którą wzniesiono mu naprędce, w towarzystwie dwóch żon i kilku podrzędnych kupców i poganiaczy. Tamango wystroił się na przyjęcie białego kapitana. Ubrany był w stary niebieski mundur, posiadający jeszcze wyłogi kaprała, ale na każdym ramieniu wisiały po dwa złote epolety przytroczone do jednego guzika i kołyszące się jeden z przodu, a drugi z tyłu. Ponieważ nie miał koszuli, a mundur był nieco kusy na jego wzrost, między białymi wywiniętymi połami munduru a płóciennymi kalesonami można było zauważyć duży kawał czarnej skóry, podobny do szerokiego pasa. Wielka kawaleryjska szabla wisiała u boku na sznurku; w ręce trzymał piękną angielską dubeltówkę. Tak wyekwipowany wojownik afrykański sądził, iż przewyższa elegancją najwykwintniejszego paryskiego lub londyńskiego dandysa.

Kapitan Ledoux patrzył nań jakiś czas w milczeniu, gdy Tamango, prostując się jak grenadier defilujący przed cudzoziemskim generałem, cieszył się wrażeniem, które, jak sądził, uczynił na białym człowieku. Ledoux, przyjrawszy mu się okiem znawcy, obrócił się do towarzyszącego mu porucznika i rzekł:

– Oto chwyt, którego sprzedałbym co najmniej za tysiąc talarów, gdybym go dowiózł zdrowo i cało do Martyniki.

Usiedli; majątek, który znał nieco język jolofski, służył za tłumacza. Po wymianie grzeczności chłopiec okrętowy przyniósł kosz butelek wódki; wypito, po czym kapitan, chcąc wprawić Tamanga w dobry humor, ofiarował mu mosiężny rożek na proch, ozdobiony portretem Napoleona. Podarek ten spotkał się z wdzięcznym przyjęciem, po czym wszyscy wyszli z chaty, siedli w cieniu naprzeciw baterii wódek i Tamango dał znak, aby sprowadzono niewolników, których miał na sprzedaż.

Zjawili się długim sznurem, przygięci znużeniem i strachem, z szyjami w widłach długich przeszło na sześć stóp, których końce spojone były na karku poprzecznym kawałkiem drewna. Kiedy się otwiera pochód, dozorca bierze na ramię rękojeść wideł pierwszego niewolnika, ten ujmuje wideł drugiego, idącego tuż za nim, drugi trzeciego itd. Gdy przychodzi moment postoju, przodownik wbija w ziemię rękojeść wideł i cały łańcuch zatrzymuje się. Każdy pojmie, że nie sposób myśleć o ucieczce, kiedy się dźwiga u szyi drąg sześciostopowy.

Przy każdym niewolniku, który przechodził, kapitan wruszał ramionami, znajdując, że mężczyźni są wątli, kobiety zbyt stare lub zbyt młode, i skarżył się na zwyrodnienie czarnej rasy.

– Wszystko się degeneruje – mówił. – Dawniej było zupełnie inaczej. Kobiety miały po pięć stóp sześć cali, a czterech mężczyzn obróciłoby kołowrót u fregaty, aby podnieść największą kotwicę.

Mimo to, wciąż krytykując, wybrał na początek partię czarnych z najsilniejszych i najpiękniejszych. Za tych może zapłacić po zwykłej cenie; ale co się tyczy innych, żądał znacznego opustu. Tamango bronił swoich interesów, zachwalał towar, prawił o nieurodzaju na ludzi i o niebezpieczeństwach tego handlu. W konkluzji oznaczył cenę, nie wiem już jaką, za niewolników, których biały kapitan godził się wziąć na pokład.

Skoro tłumacz przełożył na francuski propozycje Tamanga, Ledoux omal nie przewrócił się na wznak ze zdumienia i oburzenia; po czym wypluwając przez zęby okropne przekleństwo wstał, niby to chcąc zerwać wszelkie targi z tak szalonym człowiekiem. Wówczas Tamango zatrzymał go; z trudem zdołał go posadzić z powrotem. Otwarto świeżą butelkę i dyskuszja wszczęła się na nowo. Tym razem z kolei czarny uważał, iż propozycje białego są szalone i niedorzeczne. Krzyczano, sprzeczano się długo, wypito moc wódki; ale wódka wywierała bardzo różne działanie na obie strony. Im więcej Francuz pił, tym bardziej uszczuplał swą

ofertę; im bardziej Afrykańczyk pił, tym więcej ustępował ze swych pretensji. W ten sposób przy końcu koszyka doszli do porozumienia. Tanie bawełniane materie, proch, krzesiwo, trzy baryłki wódki, pięćdziesiąt licho naprawionych strzelb dano w zamian za stu sześćdziesięciu niewolników. Aby uświęcić umowę, kapitan uderzył w dłoń kompletnie pijanego Murzyna, po czym natychmiast oddano niewolników francuskim majtkom, którzy co rychlej zdjęli im widły drewniane, aby im włożyć obręcze i kajdany żelazne, co świadczy dowodnie o wyższości europejskiej cywilizacji.

Pozostało jeszcze jakich trzydziestu niewolników. Były to dzieci, starcy, słabe kobiety. Okręt był pełny.

Tamango, który nie wiedział, co robić z tymi odpadkami, ofiarował je kapitanowi po butelce wódki za sztukę. Propozycja była kusząca. Ledoux przypomniał sobie, że na przedstawieniu „Nieszporów Sycylijskich” w Nantes widział, jak sporo tęgich i grubych ludzi wchodziło do sali już pełnej, a mimo to zmieścili się dzięki ściśliwoci ciał ludzkich. Z trzydziestu niewolników wziął dwudziestu najsmuklejszych.

Wówczas Tamango zażądał jedynie po kieliszku wódki za każdego z dziesięciu pozostałych. Ledoux zastanowił się, że dzieci płacą i zajmują jedynie pół miejsca w dyliżansie. Wziął więc troje dzieci; ale oświadczył, że nie chce już ani jednego Murzyna. Tamango widząc, że mu zostało jeszcze siedmiu niewolników na karku, chwycił fuzję i złożył się do pierwszej z brzegu kobiety: była to matka trojga dzieci.

– Kup – rzekł do białego – albo ją zabiję. Kieliszek wódki albo strzelam.

– Cóż ty, u licha, chcesz, abym z nią pocałował? – odparł Ledoux.

Tamango dał ognia, niewolnica padła martwa.

– Dalej, drugi! – wykrzyknął Tamango, mierząc do zgrzybiałego starca. – Kieliszek wódki albo...

Jedna z żon trąciła go w ramię, strzał chybił. W starcu, którego Tamango miał zabić, poznała czarownika, który jej przepowiedział, że będzie królową.

Tamango, którego wódka rozwścieczyła, wpadł w szal widząc, iż ktoś przeciwstawia się jego woli. Uderzył brutalnie żonę kolbą i zwrócił się do Ledoux:

– Masz – rzekł – daję ci tę kobietę. Była ładna. Ledoux przyjrzał się jej z uśmiechem, po czym wziął ją za rękę:

– Znajdzie się dla niej pomieszczenie – rzekł.

Tłumacz był to ludzki człowiek. Dał Tamangowi tekturową tabakierkę i zażądał w zamian sześciu pozostałych niewolników. Oswobodził ich z widel i pozwolił im iść, gdzie im się podobą. Natychmiast rozbiegli się w różne strony, wielce zakłopotani powrotem do ojczyzny leżącej dwieście mil od brzegu.

Tymczasem kapitan pożegnał się z Tamangiem i zajął się co rychlej ładowaniem towaru. Nie było bezpiecznie zostawać długo w ujściu rzeki. Krażownicy mogły się zjawić, toteż postanowił odjechać nazajutrz. Co się tyczy Tamanga, ten ułożył się na trawie, w cieniu, i zasnął odurzony wódką.

Kiedy się obudził, statek rozwinął już żagle i płynął w dół rzeki. Tamango, z głową jeszcze ciężką od wczorajszej pijatyki, zażądał żony swej, Aiszy. Odpowiedziano mu, że miała nieść w jego niełaskę i że ją darował białemu kapitanowi, który zabrał ją na okręt. Na tę wiadomość Tamango, osłupiały, zaczął się bić po głowie, następnie chwycił fuzję i, ponieważ rzeka robiła kilka zakrętów, nim miała utonąć w morzu, pobiegł najkrótszą drogą w stronę przystani odległej o pół mili od ujścia. Tam spodziewał się znaleźć łódkę, którą będzie mógł dotrzeć do statku posuwającego się wolno krętym łożyskiem. Nie omylił się; w istocie miał czas skoczyć na łódkę i dobić do okrętu.

Ledoux zdumiał się widząc go, a bardziej jeszcze słysząc żądanie zwrotu żony.

– Co darowane, to darowane – odparł.

I odwrócił się doń plecami.

Czarny nalegał, ofiarując się zwrócić część przedmiotów, które otrzymał w zamian za niewolników. Kapitan zaczął się śmiać; oświadczył, że Aisza to bardzo dobra kobiecina i że pragnie ją zatrzymać. Wówczas Tamango wylał strumienie łez i zaczął wydawać przerażające krzyki bóleści, jak nieszczęśnik poddający się operacji chirurgicznej. To tarzał się po pokładzie wołając swą Aiszę, to tłukł głową o deski, jak gdyby chcąc się zabić. Kapitan, wciąż niewzruszony, pokazywał mu rękę, dając znaki, że czas mu wracać; ale Tamango zaciekł się. Posunął się tak daleko, iż ofiarował swoje złote epolety, fuzję i szablę. Wszystko na próżno.

Podczas tej sceny porucznik „Nadziei” rzekł do kapitana:

– Umarło nam tej nocy trzech niewolników, jest miejsce. Czemu nie mielibyśmy wziąć tego draba, który sam jeden więcej jest wart niż ci trzech zmarli?

Ledoux zastanowił się, że Tamanga można by sprzedać za dobrych tysiąc talarów; że ta podróż, zapowiadająca się bardzo zyskownie, będzie prawdopodobnie ostatnią jego wyprawą; że posiada już majątek i że, skoro poniecha handlu niewolnikami, mało mu zależy na tym, czy zostawi w Gwinei dobrą czy złą reputację. Zresztą brzeg był pusty, a wojownik afrykański był na jego łasce. Chodziło już tylko o to, aby mu odebrać broń; niebezpiecznie byłoby targać się nań, póki był jeszcze uzbrojony. Ledoux poprosił go tedy o strzelbę, jakby dla obejrzenia i upewnienia się, czy jest warta tyle, co piękna Aisza. Próbując kurków, strącił od niechcenia proch z zapalu. Porucznik znowuż zajął się szablą; i skoro tak rozbroili Tamanga, dwaj tędzy majtkowie rzucili się nań, przewrócili go na grzbiet i silili się spętać sznurem. Czarny stawiał iście bohaterski opór. Otrząsnawszy się ze zdumienia, mimo niższości swej pozycji, długo walczył przeciw dwóm majtkom. Dzięki swej niezwyklej sile, zdołał się podnieść. Uderzeniem pięści powalił człowieka, który go trzymał za kark, zostawił szmat ubrania w rękach drugiego majtka i rzucił się jak wściekły na porucznika, aby mu wydrzeć szablę. Ten ciął go w głowę, zadając mu ranę szeroką, ale płytką. Tamango upadł po raz drugi. Natychmiast spętano mu ręce i nogi. Bronił się wydając wściekłe okrzyki i miotając się jak dzik w sieci; ale kiedy ujrzał, że wszelki opór jest daremny, zamknął oczy i leżał zupełnie bez ruchu. Jedynie silny i szybki oddech dowodził, że jeszcze żyje.

– Do paralusza! – wykrzyknął kapitan Ledoux. – Czarni, których nam sprzedał, uśmieją się serdecznie widząc jego w niewoli. Tym razem uznają pewnie, że istnieje Opatrzność.

Tymczasem biedny Tamango krwawił silnie. Miłosierny tłumacz, który poprzedniego dnia ocalił życie sześciu niewolnikom, zbliżył się doń, opatrzył ranę i wyrzekł parę słów pociechy. Co mógł mu powiedzieć, nie wiem. Murzyn leżał nieruchomo jak trup. Dwaj majtkowie musieli go zanieść jak tobół pod pokład, na miejsce, które mu było przeznaczone. Przez dwa dni nie chciał pić ani jeść, ledwie że otwierał oczy. Towarzysze niewoli, niegdyś jego jeńcy, ujrżeli go z tępym zdumieniem. Lęk, który budził w nich jeszcze, był tak wielki, że żaden nie ośmielił się urągać niedoli tego, który był sprawcą ich własnej.

Mając życzliwy wiatr od lądu, okręt oddalał się szybko od brzegów Afryki. Nie lękając się już angielskich krążowników, kapitan myślał jedynie o olbrzymim zysku czekającym go w koloniach, dokąd się kierował. Jego heban chował się bez uszczerbków. Żadnych zaraźliwych chorób. Dwunastu czarnych jedynie, i to najslabszych, umarło z gorąca: drobnostka. Iżby towar ludzki jak najmniej ucierpiał od trudów podróży, kapitan dawał baczenie, aby codziennie wyprowadzano niewolników na pokład. Kolejno trzecia część tych nieszczęśników miała swoją godzinę celem uczynienia zapasów powietrza na całą dobę. Część załogi pilnowała ich, uzbrojona od stóp do głów, z obawy buntu; zresztą nigdy nie zdejmowano im zupełnie kajdan. Czasem majtek jakiś, umiejący grać na skrzypcach, raczył ich koncertem. Ciekawe było wówczas widzieć, jak wszystkie te czarne twarze obracały się ku grajkowi, traciły stopniowo wyraz tępej rozpacz, śmiały się szerokim śmiechem i klaskały w ręce, o ile łańcuchy pozwalały na to. Ruch jest dobry dla zdrowia, toteż jednym ze zbawiennych obyczajów kapitana Ledoux było kazać często tańczyć swoim niewolnikom, tak jak się każe wierzgać koniom załadowanym na długą przeprawę.

– Dalej, dzieci, dalej, bawcie się – mówił kapitan gromkim głosem, strzelając równocześnie z olbrzymiego pocztowego bata.

I biedni Murzyni zaczęli skakać i tańczyć.

Jakiś czas rana Tamanga trzymała go pod pokładem. Ukazał się wreszcie na pomoście; w pierwszej chwili, podnosząc z dumą głowę wśród trwożnej ciszy niewolników, objął smutnym, ale spokojnym spojrzeniem olbrzymią przestrzeń wody, która otaczała statek, następnie położył się, lub raczej osunął na pokład, nie troszcząc się nawet o ułożenie kajdan tak, aby go mniej uwierały.

Ledoux, siedząc w tyle okrętu, palił spokojnie fajkę. Obok niego Aisza, bez kajdan, ubrana w niebieską bawełnianą sukienkę, w skórkowych pantofelkach, trzymając tacę z napojami, była gotowa nalać na skinięcie swego władcy. Widoczne było, że spełnia wysokie funkcje przy osobie kapitana. Jeden z czarnych, który nienawidził Tamanga, dał mu znak, aby spojrzeć w tę stronę. Tamango zwrócił głowę, spostrzegł Aiszę, wydał krzyk i, zrywając się gwałtownie, pobiegł na tył okrętu, nim majtkowie pełniący straż zdążyli się sprzeciwić tak potwornemu naruszeniu dyscypliny morskiej.

– Aiszo! – krzyknął grzmącym głosem (tu Aisza wydała krzyk przerażenia). – Czy ty myślisz, że w krainie białych nie ma *Mama-Jumbo*?

Już majtkowie nadbiegli z podniesionymi kijami; ale Tamango, skrzyżowawszy ręce i jakby otepiały, wracał spokojnie na swoje miejsce, gdy Aisza zalała się łzami, jak gdyby skamieniała pod wpływem tych tajemnych słów.

Tłumacz wyjaśnił, co to jest ów straszliwy *Mama-Jumbo*, którego samo imię budzi tyle grozy.

– To taki murzyński straszak – mówił. – Każdy mąż boi się, aby mu żona nie robiła tego, co robi wiele żon we Francji, jak i w Afryce, i grozi jej przyjściem *Mama-Jumbo*. Ja, jak tu stoję, widziałem *Mama-Jumbo* i przejrzałem sztuczkę, ale czarni... to takie głupie, nie rozumieją nic. Wyobraźcie sobie, że jednego wieczora, gdy kobiety zabawiają się tańcem – *folgar*, jak się mówi w ich gwarze, naraz z ciemnego i gęstego lasku rozlega się dziwna muzyka, mimo że nie widać żadnego grajka, jako że wszyscy ukryci są w lasku. Były tam flety trzcinowe, drewniane bębny, *balafó* i gitary sporządzone z przeciętych kalabasów. Wszystko to grało melodię zdolną ściągnąć diabłów na ziemię. Ledwie kobiety usłyszą tę melodię, zaczynają drzeć, chcą uciekać, ale mężowie zatrzymują je. Wiedzą biedaczki dobrze, co je czeka! Naraz wychodzi z lasku duża biała postać, wysoka jak maszt okrętowy, z głową wielką jak ceber, oczami jak talerze i gębą jak paszcza diabelska ziejąca ogniem. Szła wolno, uszła nie więcej niż sto kroków od lasku. Kobiety wołały: „*Mama-Jumbo!*” I ryczały jak opętane. Wówczas mężowie do nich: – Mówcie, szelmy, mówcie, jakeście się sprawiały; jeśli skłamięcie, *Mama-Jumbo* pożre was żywcem. – Ta i owa była tak głupia, że się przyznała, i wówczas mąż zbił ją na kwaśne jabłko.

– A cóż to była za biała postać, ten *Mama-Jumbo*? – spytał kapitan.

– To był jakiś frant, ustrojony w wielkie białe prześcieradło, mający zamiast głowy dużą pustą dynię ze świecą w środku, na wielkim kiju. Ot i cały figiel; nie trzeba wiele sprytu, aby wywieść w pole czarnych. Bądź co bądź, to dobry wynalazek *Mama-Jumbo*, i chciałbym bardzo, aby moja żona weń wierzyła.

– Co do mojej – rzekł Ledoux – jeżeli się nie obawia *Mama-Jumbo*, obawia się imć pana Batoga; wie dobrze, jak bym ją urządził, gdyby mi splatała jakiego figla. My, w rodzinie Ledoux, nie jesteśmy zbyt cierpliwi; mimo że mam tylko jedną garść, potrafię nią jeszcze utrzymać jedną dziewczkę. Co do tego hultaja, który prawi o *Mama-Jumbo*, powiedzcie mu, aby się zachowywał przyzwoicie i aby nie straszył tej panienki, inaczej wygarbuję mu skórę tak, że z czarnej zrobi się czerwona niby surowy rostbef.

To rzekłszy, kapitan zszedł do kajuty, zawołał Aiszę i starał się ją pocieszyć; ale ani pieszczoty, ani uderzenia nawet (człowiek traci w końcu cierpliwość!) nie zdołały obłaskawić

pięknej Murzynki; strumienie łez płynęły z jej oczu. Kapitan wrócił na pokład zły i połajał służbowego oficera za obrót statku, jaki właśnie zarządził.

W nocy, kiedy prawie cała załoga spała głębokim snem, majtkowie pełniący straż usłyszeli najpierw poważny, uroczysty, posepny śpiew wychodzący spod pokładu, następnie zaś przesywający krzyk kobiecy. Tuż potem rozległ się na cały statek gruby głos kapitana, zięjący klątwami i groźbą, oraz świst jego strasznego bata. W chwilę później zaległa cisza. Nazajutrz Tamango ukazał się na pokładzie z rozciętą głową, ale z postawą równie dumną, równie nieugiętą jak wprzód.

Ledwie Aisza go ujrzała, porzuciła ławkę na tyle statku, gdzie siedziała obok kapitana, podbiegła szybko do Tamanga, klękła przed nim i rzekła z akcentem skupionej rozpaczki:

– Przebac mi, Tamango, przebac mi! Tamango patrzył na nią bystro przez minutę, po czym, zauważywszy, że tłumacz jest daleko, rzekł:

– Piłkę!

I położył się na pokładzie, obracając się plecami do Aiszy.

Kapitan złał ją ostro, dał jej nawet kilka policzków i zabronił jej odzywać się do eksmałżonka; ale nie postąpił mu w głowie domyślać się znaczenia krótkich słów, które wymienili; nie pytał też o nic w tym przedmiocie.

Tymczasem Tamango, zamknięty z innymi niewolnikami, zagrzewał ich we dnie i w nocy do bohaterskiego wysiłku dla odzyskania wolności. Przedstawiał im, jak niewielka jest liczba białych, zwracał uwagę na rosnące niedbalstwo straży; po czym, nie wypowiadając się zupełnie jasno, wtrącał, iż potrafi ich odwieźć do ojczyzny, wychwalał swą biegłość w sztukach tajemnych, zażywających wielkiej czci u dzikich, i groził pomstą diabła tym, którzy by się wzbraniali pomagać mu w przedsięwzięciu. Mówiąc, posługiwał się narzeczem, które rozumiała większość niewolników, a którym tłumacz nie władał. Reputacja mówcy, którego ci niewolnicy nawykli lękać się i słuchać, wspomagała cudownie jego wymowę; czarni nalegali, aby oznaczył dzień wyzwolenia o wiele wcześniej nawet, niż on się czuł na siłach o nie się pokusić. Odpowiedział sprzysiężonym mglisto, że czas jeszcze nie nadszedł i że diabeł, który pojawia mu się we śnie, nie uwiadomił go jeszcze; ale że powinni być gotowi na pierwszy sygnał. Tymczasem nie zaniedbywał żadnej okazji doświadczenia czujności straży. Jednego razu majtek, gapiąc się na stado latających ryb, zostawił fuzję opartą o parapet; Tamango wziął fuzję i zaczął nią obracać, komicznie naśladowując ruchy majtków odbywających ćwiczenia. Odebrano mu po chwili fuzję, ale przekonał się, że można dotknąć broni, nie budząc natychmiastowego podejrzenia; kiedy zaś przyjdzie czas, aby się nią posłużyć, śmiały byłby, kto by mu ją chciał wydrzeć z dłoni!

Jednego dnia Aisza rzuciła mu kawałek suchara, dając znak, który on jeden zrozumiał. Suchar zawierał małą piłkę: od tego narzędzia zależało powodzenie spisku. Tamango nie pokazał piłki towarzyszom; ale kiedy przyszła noc, zaczął mrużyć niezrozumiałe słowa, którym towarzyszyły dziwaczne gesty. Słyszając jego mamrotanie i odmiany głosu, można by rzec, iż prowadzi ożywioną rozmowę z niewidzialną osobą. Wszyscy niewolnicy drżeli, nie wątpiąc, że diabeł znajduje się w tej chwili wśród nich. Tamango położył koniec tej scenie, wydając krzyk radości.

– Towarzysze – zawołał – duch, którego zaklinałem, udzielił mi wreszcie tego, co przyrzekł; mam w rękach narzędzie naszego oswobodzenia. Teraz trzeba jedynie nieco odwagi, a będziecie wolni.

Dał dotknąć piłki swoim sąsiadom, i sztuczka, mimo że tak gruba, znalazła wiarę w jeszcze grubszych umysłach.

Po długim oczekiwaniu nadszedł wielki dzień zemsty i wolności. Spiskowcy, związani uroczystą przysięgą, ustalili po dojrzałej naradzie plan. Najśmielsi, z Tamangiem na czele, mieli, skoro się znajdą na pokładzie, owdądzić bronią swoich stróżów; inni pobiegą do kajuty kapitana, aby zagarnąć strzelby, które tam znajdują. Ci, którzy zdołali przepiłować kajdany,

mieli rozpocząć atak; ale, mimo wytrwałej pracy wielu nocy, większość niewolników nie mogła jeszcze wziąć czynnego udziału w zamachu. Toteż trzech silni Murzyni mieli za zadanie zgładzić człowieka noszącego w kieszeni klucze od kajdanków i oswobodzić natychmiast skutych towarzyszy.

Tego dnia kapitan Ledoux był w wyśmienitym humorze; wbrew zwyczajowi ułaskawił chłopca okrętowego, który zasłużył na chłostę. Pochwalił służbowego oficera za manewrowanie statkiem, oświadczył, że na Martynice, dokąd mieli zawinąć niebawem, każdy otrzyma gratyfikację. Wszyscy majtkowie, kołysani tak lubą myślą, czynili już w głowie użytek z tej gratyfikacji. Marzyli o wódce i o kobietach, kiedy wyprowadzono na pokład Tamanga i innych sprzysiężonych.

Z wielkim staraniem przepiłowali swoje kajdany tak, aby nie było widać, że są przecięte, a zarazem tak, aby najmniejszy wysiłek zdolny był je skruszyć. Zresztą dzwonił nimi tak dzielnie, iż słysząc można by myśleć, że dźwigają podwójny ciężar. Nawdychawszy się przez chwilę powietrza, wzięli się wszyscy za ręce i zaczęli tańczyć, podczas gdy Tamango zaintonował wojenny hymn swego rodu¹⁵, który śpiewał niegdyś idąc do bitwy. Taniec trwał jakiś czas, po czym Tamango, jak gdyby wyczerpany, położył się jak długi u stóp majtka, który się wspierał niedbale o parapet; wszyscy spiskowcy uczynili toż samo. W ten sposób każdego majtka otaczało kilku czarnych.

Naraz Tamango, który nieznacznie skruszył kajdany, wydając wielki krzyk, mający służyć za sygnał, chwytając za nogi majtka stojącego przy nim, przewraca go i przystępując mu stopą brzuch, wydziera fuzję, którą posługuje się, aby zabić służbowego oficera. Równocześnie dzicy otaczają, rozbrajają i mordują majtków. Ze wszystkich stron podnosi się krzyk wojenny. Starszy majtek, który miał klucze od kajdan, pada jeden z pierwszych. Natychmiast ciżba Murzynów zalewa pokład. Ci, którzy nie mogą znaleźć broni, chwytają deski lub wiosła z szalupy. Z tą chwilą zguba załogi europejskiej jest nieodwołalna. Kilku majtków broni się w tyle okrętu, ale brak im oręża i wiary w zwycięstwo. Ledoux żył jeszcze i nie stracił zwykłej odwagi. Spostrzegłszy, iż Tamango jest duszą sprzysiężenia, miał nadzieję, że gdyby go zdołał zabić, łatwo upora się ze współnikami. Rzuca się tedy na jego spotkanie z szablą w rękę, przyzywając go donośnym krzykiem. Natychmiast Tamango biegnie ku niemu. Trzymał strzelbę za lufę i posługiwał się nią jak maczugą. Dwaj wodzowie starli się na pomoście łączącym tył z przodem okrętu. Tamango ugodził pierwszy. Nieznacznym ruchem biały uniknął ciosu. Kolba, uderzywszy z siłą o podłogę, strzaskała się, a wstrząs był tak gwałtowny, że fuzja wypadła z rąk Tamanga. Był bez broni; Ledoux z uśmiechem szatańskiej radości podniósł ramię i miał go przeszyć, ale Tamango był zwinny jak pantery w jego kraju. Rzucił się w ramiona przeciwnika i chwycił go za rękę, w której ów trzymał szablę. Jeden silił się zatrzymać broń, drugi wyrzucił ją. W tej wścieklej walce padają obaj; ale Negr znalazł się na dole. Wówczas, nie tracąc przytomności, Tamango ścisnął przeciwnika ze wszystkich sił i ugryzł go w grdykę tak silnie, że krew trysnęła jakby pod zębem lwa. Szabla wysunęła się z mdlejącej ręki kapitana. Tamango chwycił ją, po czym, wstając z zakrwawioną paszczką i wydając okrzyk triumfu, przeszył wściekłymi ciosami półmartwego już wroga.

Zwycięstwo było pewne. Kilku pozostałych majtków próbowało błagać zbuntowanych o litość, ale wszyscy wraz z tłumaczem, który nigdy nie zrobił im krzywdy, padli w bezlitosnej rzezi. Porucznik zginął z chwałą. Schronił się na tył statku, koło małej armatki, z tych, które obraca się na osi i ładuje kartaczami. Lewą ręką skierował działo, prawą zaś, zbrojną w szablę, bronił się tak skutecznie, iż ściągnął ku sobie ciżbę czarnych. Wówczas pociągnął spust armaty i uczynił w tej zbitej masie szeroką ulicę trupów i konających. W chwilę później rozsiekano go.

¹⁵ Każdy wódz murzyński ma swój hymn.

Kiedy wrzucono do morza trupa ostatniego białego, poćwiartowanego i posiekanego w sztuki, nasytzeni zemstą czarni podnieśli oczy ku żaglom, które, wciąż wzdymane rzeźwym wiatrem, zdawały się słuchać jeszcze ich tyranów i wieść zwycięzców mimo triumfu do ziemi niewoli.

– Niceśmy tedy nie osiągnęli, – myśleli ze smutkiem. – Czy ten wielki fetysz białych chce nas odwieźć do naszego kraju, nas, którzy przelaliśmy krew jego panów?

Ten i ów wyraził mniemanie, że Tamango potrafi nakazać posłuszeństwo. Natychmiast przywołano Tamanga donośnym okrzykiem.

Nie kwapił się przybyć. Znalaziono go w kajucie sternika: stał z jedną ręką wspartą na zakrwawionej szabli kapitana; drugą podawał z roztargnieniem żonie swej, Aiszy, która całowała ją klęcząc. Radość zwycięstwa nie zmniejszyła ponurego niepokoju, który przejawiał się w całym jego zachowaniu. Mniej nieokrzesany od innych, lepiej pojmował trudności położenia.

Ukazał się wreszcie na pokładzie, udając spokój, którego nie czuł. Naglony setką bezładnych głosów, aby ujął ster, zbliżył się wolnym krokiem, jak gdyby chcąc opóźnić moment, który miał, dla niego i dla drugich, rozstrzygnąć o rozmiarach jego władzy.

Na całym statku nie było ani jednego Murzyna, choćby najgłupszego, który by nie zauważył wpływu, jaki pewne koło oraz umieszczona naprzeciw niego skrzynka wywierają na ruchy statku; ale mechanizm ten pozostał dla nich wielką tajemnicą. Tamango patrzył długo na busolę, poruszając wargami, jak gdyby czytał wypisane na niej litery; następnie podniósł rękę do czoła, z miną człowieka, który oblicza coś w głowie. Wszyscy czarni otaczali go z otwartymi ustami, z wylupionymi oczami, śledząc z trwogą najlżejszy jego ruch. Wreszcie, z tą mieszaniną obawy i pewności siebie, jakie daje nieuctwo, Tamango zakręcił gwałtownie kołem.

Jak rumak szlachetnej krwi, który staje dęba pod ostrogą niebacznego jeźdźca, tak piękny bryg „Nadzieja” skoczył po fali po tym niesłychanym obrocie. Można by rzec, iż oburzony, chce się zatopić wraz ze swym nie nauczonym sternikiem. Ponieważ nieodzowny stosunek pomiędzy kierunkiem żagli a steru zachwiało się nagle, okręt pochylił się tak gwałtownie, iż zdawało się, że runie w odmęt. Długie reje zanurzyły się w wodzie. Kilku ludzi padło na ziemię, kilku wyleciało przez burtę. Niebawem okręt podniósł się dumnie, jak gdyby chcąc jeszcze raz stawić czoło zniszczeniu. Wiatr zadał silniej i naraz z okropnym trzaskiem padły dwa maszty, złamane o kilka stóp nad pomostem, pokrywając pokład odłamkami drzewa i jak gdyby ciężką siecią lin.

Murzyni, przestraszeni, zaczęli się chronić pod pokład, wydając okrzyki przerażenia; ale ponieważ wiatr nie miał już punktu oparcia, okręt podniósł się i kołysał się łagodnie po falach. Wówczas najodważniejsi wyszli na pokład i oczyścili go z zalegających szczątków. Tamango stał nieruchomy, z łokciem wspartym na szafce z busolą, kryjąc twarz pod zgiętym ramieniem. Aisza stała obok niego, ale nie śmiała doń przemówić. Powoli dzicy zbliżyli się; wszczął się szmer, który niebawem zmienił się w burzę wyrzutów i klątw.

– Łotrze! szalbierzu! – krzyczeli. – To ty jesteś sprawcą wszystkich naszych nieszczęść; ty sprzedałeś nas białym, ty skłoniłeś nas, abyśmy się zbuntowali przeciw nim. Ty zachwalałeś nam swoją wiedzę, ty przyrzekłeś nas odwieźć do ojczyzny. Uwierzylimy ci, my szaleńcy! I oto omal nie zginęliśmy, ponieważ ty obraziłeś fetysza białych.

Tamango podniósł dumnie głowę; otaczający go czarni cofnęli się przestraszeni. Podniósł dwie strzelby, dał znak żonie, aby szła za nim, przeszedł przez tłum, który się rozstał, i skierował się ku dziobowi statku. Tam uczynił sobie jak gdyby szaniec z dwóch próżnych beczek i kilku desek; po czym siadł w tym okopie, z którego sterczały groźnie bagnety jego dwóch fuzji. Zostawiono go w spokoju. Wśród buntowników jedni płakali, inni podnosili ręce do nieba, wzywając swoich fetyszów i fetyszów białych; inni, na kolanach przed busolą, której podziwiali nieustanny ruch, błagali ją, aby ich zawiozła do ojczyzny; inni wreszcie kładli się na pomoście w tępym bezwładzie. Wśród tej gromady zrozpaczonych wyobraźcie sobie ko-

biety i dzieci wyjące z przerażenia i jakich dwudziestu rannych jęczących o pomoc, której nikt nie myślał im udzielić.

Naraz jakiś Murzyn ukazuje się na pokładzie; twarz miał promienną. Oznajmia, że odkrył miejsce, gdzie biali chowali wódkę; radość jego i zachowanie świadczą dowodnie, że właśnie jej spróbował. Nowina ta przerywa na chwilę krzyki nieszczęśliwych. Biegną do magazynu i raczą się trunkiem. W godzinę potem można ich było oglądać skaczących i śmiejących się na pokładzie, oddających się szalom najbardziej bydlęcego pijaństwa. Tańcom ich i śpiewom towarzyszyły jęki i szlochania rannych. Tak upłynęła reszta dnia i cała noc.

Rano, po przebudzeniu, nowa rozpacz. Przez noc wielu rannych zmarło. Okręt kołysał się po fali otoczony trupami. Morze było burzliwe, niebo pochmurne. Zwołano naradę. Kilku partaczy w sztuce magicznej, którzy nie śmieli zachwalać swego kunsztu w obecności Tamanga, ofiarowało kolejno swe usługi. Spróbowano wielu potężnych zaklęć. Po każdej bezskutecznej próbie, nowa rozpacz. W końcu znów obrócono oczy w stronę Tamanga, który nie opuścił jeszcze swego szańca. Bądź co bądź, on był najuczestniejszy i on jeden mógł ich wydobyć z okropnego położenia, w jakie ich wtrącił. Zbliżył się doń starzec, poseł pojednania. Prosił go, aby zechciał zabrać głos w radzie; ale Tamango, nieugięty jak Koriolan, głuchy był na jego prośby. W nocy wśród zamętu poczynił zapas sucharów i solonego mięsiwa. Zdawało się, iż postanowił żyć sam w swoim schronieniu.

Zostawała wódka. Ona bodaj pozwalała zapomnieć o morzu, o niewoli, o bliskiej śmierci. Śpi się, śni się o Afryce, widzi się lasy gumowe, chaty kryte słomą, baobaby, których cień okrywa całą wieś. Wczorajsza orgia zaczyna się na nowo. W ten sposób upływa kilka dni. Krzyczeć, płakać, wyrwać sobie włosy, potem upić się i spać – to było ich życie. Wielu zapiło się na śmierć, kilku rzuciło się w morze lub zakłuło się nożem.

Jednego ranka Tamango wyszedł ze swego fortu i posunął się aż do pnia strzaskanego masztu.

– Niewolnicy! – rzekł. – Duch ukazał mi się we śnie i objawił mi sposób ocalenia was stąd i zawiedzenia do ojczyzny. Wasza niewdzięczność zasługiwałyby, abym was opuścił, ale mam litość nad tymi kobietami i dziećmi, które krzyczą. Przebaczam wam: posłuchajcie!

Czarni spuścili głowy z szacunkiem i skupili się koło niego.

– Jedyne biali – ciągnął Tamango – znają potężne słowa, które poruszają owe wielkie drewniane domy, ale my możemy kierować do woli tymi lekkimi łodziami, które podobne są do naszych.

Ukazał szalupę i inne łodzie przy brygu.

– Napełnijmy je żywnością, wsiadajmy i żeglujmy w kierunku wiatru; mój i wasz Pan popędzi je ku ojczyźnie.

Uwierzono mu. Trudno było wyroić niedorzeczniejszy projekt. Nie znając użytku busoli, pod obcym niebem, mogli jedynie błądzić po omacku. W myśl swoich pojęć Tamango wyobrażał sobie, iż, wiosłując prosto przed siebie, trafi w końcu na jakiś ład zamieszkały przez czarnych; czarni bowiem posiadają ziemię, a biali żyją na okrętach. Tak mówiła niegdyś jego matka.

Niebawem wszystko było gotowe do drogi, ale jedynie szalupa i jedna łódź okazały się w możliwym stanie. Było to za mało, aby pomieścić około osiemdziesięciu Murzynów, pozostałych jeszcze przy życiu. Trzeba było porzucić wszystkich rannych i chorych. Większość prosiła, aby ich zabić przed rozstaniem.

Dwa wątle stateczki, spuszczone na wodę z wielkim trudem i obciążone ponad miarę, odpłynęły od okrętu po rozkołysanej fali, grożącej co chwila zatopieniem. Łódź oddaliła się pierwsza. Tamango z Aiszą zajęli miejsce w szalupie, która, o wiele cięższa i bardziej naładowana, została znacznie w tyle. Słysząc było jeszcze żalosne krzyki kilku nieszczęśników porzuconych na pokładzie „Nadziei”, kiedy silniejsza fala uderzyła o szalupę i napełniła ją wodą. W niespełną minutę szalupa zatonała. Łódź dojrzała tę katastrofę; wiosłarze zdwoili

wysiłek z obawy, iż będą musieli przygarnąć kilku rozbitków. Prawie wszyscy ci, którzy byli w szalupie, potonęli. Ledwie jakiś tuzin zdołał dotrzeć do statku. W tej liczbie byli Tamango i Aisza. Kiedy słońce zaszło, ujrzeli czółno znikające na widnokręgu; ale co się z nim stało, nie wiadomo.

Po cóż miałbym nużyć czytelnika wstrętnym opisem męczarni głodu? Około dwudziestu osób na ciasnej przestrzeni, to miotanych burzliwym morzem, to palonych upalnym słońcem, bije się co dnia o nędzne resztki zapasów. O każdy kawałek suchara trzeba walczyć; słaby umiera nie dlatego, że silny go zabija, ale że mu pozwala umrzeć. Po upływie kilku dni żywi zostali na pokładzie brygu „Nadzieja” jedynie Tamango i Aisza.

Jednej nocy morze było burzliwe, wiatr dał gwałtownie i ciemność była tak wielka, że stojąc w tyle statku nie widziało się jego dzioba. Aisza leżała na materacu w izdebce kapitana, a Tamango siedział u jej stóp. Oboje od dawna milczeli.

– Tamango! – wykrzyknęła wreszcie Aisza. – Wszystko to cierpisz z powodu mnie...

– Ja nie cierpię – odparł szorstko. I rzucił żonie na materac kawał suchara, który mu został.

– Zachowaj dla siebie – rzekła odsuwając łagodnie suchar – nie jestem już głodna. Zresztą, po co jeść? Czyż moja godzina nie nadeszła?

Tamango wstał bez odpowiedzi, wszedł chwiejnym krokiem na pokład i siadł u stóp strzaskanego masztu. Z głową zwieszoną na piersi gwizdał hymn swojego rodu. Nagle głośny krzyk rozległ się ponad szum wiatru i morza; ukazało się światło. Usłyszał i inne krzyki i duży czarny statek prześliznął się chyżo koło jego statku; tak blisko, że reje przeszły mu koło głowy. Ujrzał jedynie dwie twarze oświecone latarnią wiszącą u masztu. Ludzie ci wydali jeszcze jeden krzyk i w tej samej chwili okręt niesiony wiatrem zniknął w ciemności. Bez wątpienia majtkowie pełniący straż ujrzeli rozbitą statek; ale burzliwy czas nie pozwalał nawrócić. W chwilę później Tamango ujrzął błysk i usłyszał huk wystrzału; później ujrzął znów błysk, ale nie usłyszał żadnego huku, później nie widział już nic. Nazajutrz żaden żagiel nie pojawił się na horyzoncie. Tamango położył się z powrotem na materac i zamknął oczy. Żona jego Aisza umarła tej nocy.

Nie wiem, jak długo po tym, angielska fregata „Bellona” spostrzegła statek bez masztów, widocznie opuszczony przez załogę. Szalupa, przybiwszy doń, znalazła martwą Murzynkę i Murzyna tak wychudłego, że podobny był do mumii.

Był bezprzytomny, ale tlił w nim jeszcze ostatek życia. Zajął się nim chirurg, otoczył go staraniami, i kiedy „Bellona” przybyła do Kingston, Tamango był zupełnie zdrow. Spytano go o jego dzieje. Opowiedział, co wiedział. Miejscowi plantatorzy żądali, aby go powiesić jako zbuntowanego Murzyna; ale gubernator, człowiek ludzki, wziął go pod opiekę, uważając, iż zasługuje na uniewinnienie. Ostatecznie Tamango posłużył się jedynie godziwym prawem obrony; a przy tym ci, których pozabijał, to byli tylko Francuzi. Postąpiono z nim tak, jak się postępuje z Murzynomami przejętymi na skonfiskowanym statku handlarzy niewolników. Dano mu wolność, to znaczy kazano mu pracować dla rządu; ale miał za to sześć groszy dziennie i pożywienie. Był to bardzo okazały mężczyzna. Pułkownik 75 pułku ujrzął go i wziął, aby zeń uczynić cymbalistę w swoim pułku. Nauczył się trochę po angielsku, ale nie rozmawiał nigdy. Za to pijał bez miary rum i ratafię. Umarł w szpitalu na zapalenie płuc.

Spis treści
Carmen
Czyściowe dusze
Tamango